



ROMAIN ROLLAND

JAN KRZYSZTOF

TOM VIII.

PRZYJACIÓŁKI

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁ

F. MIRANDOLA

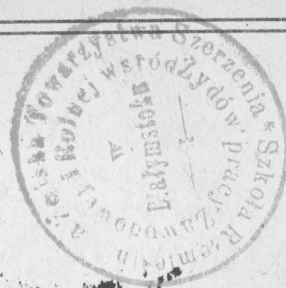


W A R S Z A W A ——— K R A K Ó W
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO



R.
R. 442
19.9.47

Drukarnia J. Czerneckiego w Krakowie.



Mimo rozgłosu, który przekroczył już nawet granice Francji, poprawiała się zwolna i nieznacznie sytuacja materialna Krzysztofa i Oliwera. Co czas jakiś popadali w kłopoty pieniężne i musieli z konieczności przyciągać paską. Dostawszy pieniądze puszczała się za to na bystre wody i raczyli potrójnymi porcjami jedzenia.

Postępowanie to, zwyczajne u biedaków i zrozumiałe, posiadało jednak swe wady, mianowicie organizmy obu były stale źle odżywione, co niezmiernie źle na stronę fizyczną i duchową przyjaciół oddziaływać musiało.

Właśnie wyszły im pieniądze i odczuwali wielkie braki. Krzysztof przepędził pół nocy na wstrętnej pracy przerabiania dla Hechta jakiegoś utworu. Położył się o świcie i spał teraz jak zabity, chcąc powetować sen stracony. Oliwer wczesnym rankiem wyszedł z domu na lekcję, gdzieś na drugim końcu Paryża.

Okolo ósmej zadzwonił dozorca domu, który zazwyczaj roznosił lokatorom pocztę. Zwykle wsuwał listy szparą między drzwiami a podłogą i szedł dalej. Dziś jednak dzwonił kilkakrotnie.

Krzysztof zaspany, wstał mrucząc coś głośno i poszedł otworzyć. Słuchał nie słysząc dobrze rozwickłego i nudnego opowiadania dozorca o jakimś artykule dziennikarskim, wziął listy, nie spojrzawszy na nie nawet, zatrzasnął drzwi niedbale, tak że zatrzask się nie zasunął, położył się i popadł w sen jeszcze głębszy.

Po godzinie zerwał się ponownie. Zbudziło go chodzenie po pokoju. Usiadł, spojrzał wkoło i ze zdziwieniem zauważył w drugiego końca łóżka jakąś nieznaną postać.

Przybyły skłonił mu się uroczyście.

Pewien dziennikarz znalazłszy drzwi niezamknięte wszedł bez ceremonii do środka.

Krzysztof skoczył wściekły na równe nogi:

— Za czymże tu pan wieszysz? He? — krzyknął przybytemu.

Porwał poduszkę i uczynił gest rzucenia jej gościowi na głowę. Gość, tak mile powitany uskończył wstecz i miał się ku odejściu, ale Krzysztof oprzytomniał i spytał o co właściwie idzie.

Okazało się że ma do czynienia ze sprawozdawcą dziennika „Nation“, który pragnął urządzić interview, na skutek artykułu, który się ukazał tegoż dnia rano w dzienniku „Grand Journal“.

— Cóż to u licha za artykuł? — zdziwił się.

Sprawozdawca wysoce zdumiony, iż Krzysztof go nie czytał oświadczył gotowość poinformowania o co idzie.

Krzysztof położył się z powrotem do łóżka. Gdyby nie był tak zaspany, niezawodnie wyrzuciłby natręta za drzwi, ale wygodniej było dużo leżeć i drzemać podczas kiedy tamten gadał.

Zakopał się w poduszki, zamknął oczy i udał, że śpi. I byłby może do końca odegrał dobrze swoją rolę, ale sprawozdawca nie dał się wytrącić z równowagi. Usiadł przy łóżku i zaczął czytać początek artykułu.

Po chwili Krzysztof otworzył oczy i nastawił uszu. Autor artykułu nazwał Jana Krzysztofa Kraffta największym geniuszem muzycznym czasów obecnych.

Krzysztof zapomniał nagle o swojej roli, okrzyk zdumienia wyrwał mu się z ust usiadł na posłaniu i zawołał:

— Powarjowali! Co oni wygadują! To kłamstwo!

Sprawozdawca skorzystał z tej przerwy i zadał Krzysztofowi szereg pytań, na które tenże odpowiedział nie namysłając się wcale.

Wziął do ręki dziennik i patrzył z podziwem na własny swój portret zajmujący całą pierwszą kolumnę. Ale nie zdążył przeczytać, gdyż tymczasem wszedł do pokoju drugi dziennikarz.

Teraz rozgniewał się Krzysztof na dobre.

Wrzasnął obom, by się wynosili natychmiast. Zaczęli się krzątać, chcąc przynajmniej obejrzeć mieszkanie, fotografie na ścianach, oraz zanotować sobie w pamięci wygląd oryginału.

Krzysztof wściekły, a jednocześnie śmiejąc się z tej przygody wziął ich za bary i niebardzo delikatnie wypchnął do sieni, poczem zaryglował drzwi.

Ale Opatrzność postanowiła widać, by Krzysztof nie miał spokoju dnia tego. Jeszcze się nie skończył ubierać, gdy ponownie zapukano do drzwi. Tym razem było to pukanie znane, umówione pomiędzy najbliższymi przyjaciółmi. Krzysztof otworzył i nagle znalazł się wobec trzeciego nieznajomego.

Chciał go natychmiast wyrzucić za drzwi.

Ale nieznajomy zaprotestował i przedstawił się jako autor artykułu. Jakże było wyrzucać za drzwi kogoś, kto nazywał go geniuszem. Krzysztof musiał, tając wstręt znosić wylewy podziwu, jakich mu nie szczędził przybyły.

Był niezmiernie zdumiony tą sławą, która tak niespodziewanie nań spadła i zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie wystawił, nie wiedząc zgola o tem, jakiegoś wielkiego dzieła w operze? Ale nie miał czasu zdać sobie z tego sprawy, gdyż wrócił sprawozdawca i oświadczył, że ma polecenie zabrania, jak stoi, z jego wola, czy też przemocą do redakcji dziennika, gdzie nań czeka naczelnny redaktor we własnej osobie wielki Arseniusz Gamache.

Automobil trąkotał przed bramą, szofer nie zamknął nawet motoru, odjazd musiał nastąpić niezwłocznie.

Krzysztof bronił się jeszcze, ale będąc niedoświadczonym w perypetyjach tego rodzaju, jednocze-

śnie, mimo wewnętrznego oporu uległ przekonywującym, przyjacielskim namowom i dał się w końcu zawieść.

W kilka minut potem stał przed oblicznością potentata, przed którym drżał cały Paryż. Był to silny, wesoły pięćdziesięcioletni mężczyzna niskiego wzrostu, krępy, o wielkiej, krągłej głowie osadzonej na grubej szyi, twarz jego była czerwona, o wypasionych policzkach. Szpakowate włosy miał ostrzyżone w szczotkę, gadał w przeciwieństwie do ogółu Francuzów powoli, z namaszczeniem podkreślając ważność owych enuncjacji, a w tonie jego był dźwięk rozkazu. Narzucił się Paryżanom dzięki niewzruszonemu zaufaniu, jakie miał do siebie.

Był nawskroś człowiekiem interesu i umiał postępować z ludźmi, pozatem był egoistą, naiwnym w wyznawaniu tegoż egoizmu, ale przebiegłym w metodach postępowania, miał wielki temperament, zajęty był ciągle sobą i identyfikował interes własny z interesem Francji, a nawet całej ludzkości.

Korzyść własną uważał za rzecz jednoznaczną ze *salus publica*, czyli z kwotą dochodu, jaką mu dawało pismo. Przekonany był głęboko, że każdy zarzut przeciw niemu skierowany, godzi jednocześnie w samą Francję, a pozatem gotów był przewrócić do góry nogami całą maszynę państwową, gdy szło o zniszczenie osobistego wroga.

Przytem zdarzały mu się momenty wielkoduszności. Był idealistą po dobrym obiedzie i lubił w takich chwilach, wzorem Boga Ojca podnosić z prochu ziemi od czasu do czasu jakiegoś biedaka, aż na swoje wyżyny, aby w ten sposób unaocznić światu swoją potęgę, budującą coś z niczego, tworzącą ministerja, będącą w stanie, gdyby tylko chciał obsadzać królami trony i walić je znowu w nicość.

Uważał, że powołany jest do wszystkiego i tworzył sam genjuszów jeżeli mu przyszła taka fantazja.

Tego właśnie dnia spodobało mu się „zrobić” Krzysztofa.

* * *

Oliwer, nie wiedząc zgoła co czyni, wprawił w ruch to koło szczęścia. Niezdolny zrobić kroku, gdy szło o niego samego, nienawidzący wszelkiej reklamy, unikający dziennikarzy jak morowego powietrza, uważał się zobowiązanym czynić zgoła co innego gdy szło o interesy przyjaciela.

W tym względzie podobnym był do owych czeigodnych kobiet, nienagannych małżonek i matek, bez namysłu oddających się pierwszemu lepszemu, który może posunąć w świecie nicponia syna, czy ułatwić mu karierę.

Ponieważ zamieszczał w dziennikach różne artykuły i był w ustawicznych stosunkach z wielu krytykami i miłośnikami sztuki, nie poruszał żadnej sposobności i gdzie się dał mówił szeroko o talentie Krzysztofa. Okazywał w tem ogromny spryt i zręczność, która go samego zastanawiała.

Od pewnego czasu spostrzegł, że ludzie zaczynają pochwał Krzysztofa słuchać z coraz większą uwagą. Zdziwiło go to nawet. Uczuł, iż zbudziło się pewne zaciekawienie, że przez sfery literackie i towarzyskie płynie prąd tajemniczy, jakiś szmer niepochwytany, ale niezaprzeczalny. Gdzie leżał powód tego? czy uwagę zbudziły notatki po dziennikach zamieszczone z racji wystawienia utworów Krzysztofa w Anglii i Niemczech? Niewiadomo. Konkretnego, miejscowego powodu, nie było właściwie wcale.

Było to niewątpliwie jedno z owych zjawisk tak dobrze znanych spryciarstwu paryskiemu, był to przejaw instynktu, wyrobienie węchu, który sprawia, że Paryżanin wie zawsze lepiej naprzód jaki wiatr powieje i notuje to ściślej i szybciej niż aparaty meteorologiczne obserwatorium św. Jakóba.

Przez owo ogromne, nerwowe miasto przepływają elektryczne prądy, dreszcze domysłów, toczą się fale przecucia sławy, poprzedzając ją. Śpi jeszcze w ukryciu, a istnieje już w pobrząku salonów. Jest to owo: *nescio quid majus nascitur Iliade*, które wyłania się nagle dnia pewnego w określonym momencie, w artykule reklamowym, w potężnej fanfarze, otrębującej głośno, dla

najgorszych nawet uszu, dosyć wyraźnie, imię nowego bożka, któremu pokłon winni wszyscy.

Zdarza się zresztą często, że właśnie owa fanfara odstrasza najlepszych nawet przyjaciół tryumfatora uciekają przerażeni, a tymczasem oni sami ponoszą całą odpowiedzialność za to, co się stało.

W ten sposób Oliwer sam spowodował ów artykuł w „Grand Journal'u”. Wykorzystał zainteresowanie się Krzysztofem opinii, rozdmuchiwał je i podsycał ciągle, poddając zręcznie szczegóły i ciekawe epizody.

Mimo to wystrzegał się zawiązywania stosunków bezpośrednich między Krzysztofem a dziennikarzami, albowiem obawiał się jakiegoś głupstwa z jego strony. Jednak, na wyraźną propozycję przedstawiciela „Grand Journal'u” urządził za plecami przyjaciela i bez jego wiedzy zgoda, spotkanie pomiędzy nim, a Krzysztofem w jednej z kawiarni. Przybyły sprawozdawca zaciekał się niezmiernie nowym geniuszem, a zaniepokojenie jego wzrosło jeszcze bardziej skutkiem tych wszystkich ostrożności i przygotowań tajemniczych. Krzysztof wyrósł w jego oczach na coś istotnie bajecznego.

Oliwer nie miał dotąd do czynienia z reklamą, nie wiedział tedy, że porusza ogromną machinę, która stawia zrazu opór, ale raz puszczona w ruch, zatrzymać się nie daje, ani dowolnego kierowania sobą już nie dopuszcza.

Szedł tegoż dnia na wiadomą lekcję. Nagle spostrzegł w kiosku numer „Grand Journal'u” z ogromnym portretem Krzysztofa i oniemiał formalnie. Na taki cios maczugi przygotowanym nie był. Przede wszystkim przez myśl mu nie przeszło, by to nastąpić miało tak prędko. Był pewny, że dziennik przede wszystkim zbierze wszystkie informacje zanim wystąpi z artykułem, zaczeka do chwili, kiedy obezna się dostatecznie z materiałem. Oliwer był poprostu naiwny. Przecież dziennik nie czynił tego wszystkiego dla Krzysztofa! czynił to dla siebie samego. Odkrywając nową gwiazdę, miał oczywiście na celu swój

interes, a także ten zamiar, by konkurentowi odkrycie to sprzątnąć z przed nosa.

Oczywiście należało się spieszyć, choćby nawet było faktem oczywistym, że pojęcia się niema o dziełach wynoszonych pod niebiosa.

Rzadko zresztą zdarza się, by dany twórca zgłaszał protest. Będąc wychwalanym, uważa się z reguły za doskonale zrozumianego.

„Grand Journal” zaczął od tego, że nawymyślał niesłychane rzeczy na temat nędzy Krzysztofa, który przedstawiony był jako ofiara niemieckiego wladztwa siłą pięści, jako apostoł wolności, zmuszony koniecznością do ucieczki z cesarskich, imperjalistycznych Niemiec, do Francji, kolebki wszelkiej wolności i humanitaryzmu. Był to piękny pretekst do wylewu szowinistycznych frazesów. Następował potem iście szaleńczy hymn ku czci jego talentu, którego nie znano zgoda poza nieznaczącymi nie melodjami, pochodzącymi z czasu pierwszych jego poczynañ w Niemczech, jakich to rzeczy wstydił się i radby był je poniszczyć z kretelem.

Autor artykułu, nie znający naprawdę ani jednego z utworów Krzysztofa, wiedział natomiast wszystko co zamierza uczynić, znał każdy jego najtajniejszy plan i wszystkie ideały muzyczne.

Kilka słów podchwyconych z ust Krzysztofa, czy też Oliwera, parę wynurzeń Góujarta, który uważał się za poinformowanego najdokładniej, wystarczyło autorowi w zupełności, by nakreślić obraz duchowy Jana Krzysztofa Kraffa, wielkiego geniusza republikańskiego muzyka-wodza demokracji światowej.

Jednocześnie znalazł autor artykułu wdzięczne pole do wycieczki przeciw współczesnym muzykom francuskim, przede wszystkim przeciw najoryginalniejszym i najbardziej niezależnym, nie przyznającym się do żadnej polityki, a więc także nie do demokracji.

Pozostawił przy życiu kilku jeno muzyków jako wyjątki, a to dlatego, ponieważ spodobały mu się ich przekonania polityczne. Szkoda wprawdzie, że równie doskonałe nie były ich utwory, ale było to

rzeczą podrzędną, gdy szło o wielkie zalety patriotycznego i demokratycznego sposobu myślenia.

Główną rzeczą w artykule była pochwała Krzysztofa, w dalszej linii szło autorowi o krytykę innych. Rzecz wiadoma. Ile razy czyta się w Paryżu pochwałę czyjaś, pytać zawsze należy: a kogo tam mięszają z błotem?

Oliwer zaczerwienił się ze wstydu czytając „Grand Journal” i powiedział do siebie:

— A tom znowu narobił bigosu:

Z wysiłkiem niesłychanym odbył lekcję i prosto z niej pobiegł do domu. Tutaj dowiedział się ku wielkiemu swemu smutkowi, że Krzysztof wyszedł niedawno z dziennikarzami.

Czekał nań z obiadem. Ale Krzysztof nie przyszedł. Mijały godziny, a smutek Oliwera wzrastał ciągle:

Myślał: — Ileż on tam nagada głupstw!

Nakoniec koło godziny trzeciej wrócił Krzysztof do domu. Był rozgniony i szczęśliwy. Obiadował z Arseniuszem Gamachem i podpił sobie trochę szampanem. Nie rozumiał zgoła trwożnych pytań Oliwera. Nie pamiętał niemal co robił i mówił. Dziwił się tylko, że to Oliwera może niepokoić.

— Co robiłem? Oczywiście jadłem... jadłem za trzech... od dawna nie jadłem takich doskonałości.

Zaczął mu na palcach wyliczać dania.

— A wina... hm... piłem najróżniejsze wina... powiadam ci... piłem, jak szewc...

Oliwer wypytywał się kto brał udział w tej uczcie.

— Był oczywiście Gamache! — odparł — Przypyszny chłop... szczerze złoto... potem Klodomir autor artykułu... serdeczne chłopisko... potem kilku dziennikarzy, których nie znam... bardzo weseli... i uprzemi... powiadam ci... serdeczni ludzie... prawdziwa śmietanka... prawdziwi ludzie kultury!

Oliwer nie zdawał się przekonany, a Krzysztof dziwił się, że tak mało się rzeczą interesuje.

— Czytałeś artykuł? spytał.

— Naturalnie! — odparł Oliwer. — A ty, czy przeczytałeś go uważnie?

— Tak... tak... to jest przeczytałem... nie miałem czasu czytać od deski do deski...

— No, więc przeczytajże go teraz jeszcze raz! Krzysztof czytał. Przy pierwszym ustępie roześmiał się wesoło.

— A to osły! — zawołał.

Zaczął się śmiać do rozpuku.

— Ot! — powiedział potem — rzecz wiadoma. Krytycy nie wiedzą nic. Do bani z hołotą!

Ale czytając dalej, zaczął się złościć.

— To rzeczywiście zbyt głupie! To mnie może ośmieszyć. „Republikańska muzyka”. Rzecz oczywiście idyotyczna!... Mniejsza zresztą o tę całą paplaninę... Ale to, że przeciwstawiono moją rzekomą „republikańską sztukę”, sztuce „kościelnej” mistrzów dawnych... którą się dusza moja żywiła i żywi dotąd... to rzeczywiście przechodzi wszelkie granice... Przekłętę durnie: Zrobią ze mnie w końcu błazna!

Złościł się na myśl, że strącano ze stanowisk ku czci jego, utalentowanych muzyków francuskich, których cenił mniej czy więcej, których uznawał co najmniej... którzy znali swoje choćby rzemiosło i wywiązywali się zeń zaszczytnie. Co jednak najokropniejsze, to to, że podsuwano mu w sposób najbezcześniejszy, zgoła haniebny sposób myślenia odnośnie do własnej ojczyzny.

— Nie... nie! — zawołał — tego znieść nie sposób... trzeba to natychmiast unicestwić! Napiszę mu list!

Oliwer powstrzymywał:

— Nie — powiedział — nie teraz, jesteś podniecony. Napiszesz jutro, gdy się wyśpisz!

Ale Krzysztof uparł się przy swoim. Twierdził, że mając coś zrobić, nie może czekać do jutra. Obiecał tylko Oliwerowi, że mu list pokaże. Było to rzeczywiście bardzo potrzebne. List został odpowiednio poprawiony. Krzysztofowi zależało głównie na sprostowaniu imputowanych mu najniesłuszniej niekorzy-

stnych sądów o Niemczech. Gdy wszystko było w porządku, Krzysztof nie mogąc wytrzymać zakleił kopertę i pobiegł zanieść list do skrzynki.

Wróciwszy, powiedział:

— No, teraz rzecz w części przynajmniej naprawiona. List ten ukaże się jutro.

Oliwer potrząsnął głową z powątpiewaniem, potem zaś spytał stroskany:

— Krzysztofie... nie powiedziałeś przypadkiem czegoś niestosownego przy stole?

I spojrzał mu badawczo w oczy.

— Ja... ależ nie... skądże to pytanie?

— Na pewne?

— Całkiem pewnie! — potwierdził — ty strajało... ty podejrzliwie jeden! — odrzekł wesoło.

Oliwera uspokoiło to trochę. Natomiast sam Krzysztof zaczął się trwożyć. Przypomniawszy sobie, że od razu rozgadał się i plótł, co mu przyszło na myśl. Ogarnięty od pierwszej chwili przyjemnym nastrojem, ani na chwilę nie sądził, że możnaby nie ufać ludziom. Wszakże byli tak serdeczni, tak życzliwi. W istocie byli takimi wobec niego. Czuje się zawsze życzliwość dla kogoś, komu się uczyniło dobrze, a Krzysztof okazywał radość tak szczerą, że się udzieliła wszystkim biesiadnikom.

Podbił odrazu Arseniusza Gamache swą ujmującą swobodą, wesołymi żarcikami, olbrzymią żarliwością i szybkością, z jaką wlewał napoje w gardło, nie okazując najmniejszego podniecenia. Ogromnie się spodobał naczelnemu redaktorowi, który sam był zdrów jak rydz, mógł jeść i pić straszliwie, posiadał żelazną naturę chłopską i żywił pogardę dla wszystkich Paryżan, tych chorych na żołądek niemrawców, którzy liczą kęsy wkładane do ust, pierwszej wszystko obwchawszy i kosztują wino po kropli.

Wydał nań zaraz przy stole wyrok.

Uznał go za człowieka jak się należy.

Natychmiast zaproponował mu, by swego „Gargantue“ wystawił w Operze, ba...nawet lepiej jeszcze we „Wielkiej Operze“.

Krzysztof rozbawiony propozycją zaczął się śmiać na całe gardło, a Gamache rzucił się telefonować do Ministerstwa Sztuk Pięknych czy do dyrekcji Opery. Chciał pokazać, że go muszą bez szemrania usłuchać.

Krzysztof, z wielką jeno biedą zdołał go odwieść od tego, zgoła niestosownego postępku, chociaż prawdę mówiąc, byłoby to sensacją, gdyż wówczas mieszczuchom paryskim, uczęszczającym do Opery szczytem sztuki wydawało się „Potępienie Fausta“ albo „Dziwιάta symfonia“.

Przygoda owa przywiodła Krzysztofowi na pamięć komedię, którą urządzono mu przed rokiem z jego symfonicznym dramatem „Dawidem“ i nie zastanawiając się długo opowiedział szeroko dzieje swego przedstawienia, które wziął w rękę poseł Roussin w tym celu, by wprowadzić na deski wielkiego teatru swoją kochankę.

Gamache, który nienawidził Roussina był w siódmym niebie, a Krzysztof podniecony winem pociągnięty uwagą życzliwą słuchaczy, przechodził z jednej historyjki w drugą.

Były one wszystkie tego rodzaju, że nie nadały się do opowiadania w towarzystwie, ale posiadały tyle aktualności, że słuchacze czuli się uszczęśliwieni i zanotowali sobie w pamięci każdy szczegół.

O tem wszystkim Krzysztof zapomniał ledwo wstał od stołu, teraz dopiero pytania Oliwera zbudziły wspomnienie tego niepotrzebnego gadulstwa. Uczuł zimny dreszczyk spływający wzdłuż kręgosłupa. Albowiem nie było się co ludzi. Zbyt dużo zebrał doświadczeń, by nie przewidywać co teraz nastąpi. Opar winą ulotnił się, nastój pierzchnął, widział tedy przed sobą wszystko, jakby się już stało w rzeczywistości. Niedyskretne wynurzenia, w sposób okropny powiększone i zniekształcone dostaną się w formie złośliwych potwarzy do dzienników, jego zaś pomysły artystyczne zostaną przemienione w broń ostrą i kaleczącą różne osobistości.

Nie ludzi się teraz co do wagi swego sprostowania listowego. Wiedział dobrze, porówni z Oliwe-

rem, że oponować dziennikarzowi znaczy to jeno psuć daremnie atrament. Dziennikarz musi mieć przecież zawsze ostateczną rację.

Wszystko, co przewidywał Krzysztof spełniło się dosłownie. Plotki pojawiły się natychmiast, o liście prostującym słych zaginał. Gamache poprzestał na tem, że mu kazał powiedzieć, iż zaszczyt mu przynoszą jego skrupuły i szlachetny sposób myślenia, ale tajemnicę tych skrupułów i wszystko inne zachował skrupulatnie dla siebie samego.

Podsunięte Krzysztofowi fałszywe opinie i wyrzucenia, rozeszły się szeroko, wywołując złośliwe uwagi po dziennikach paryskich i przenikły do Niemiec, gdzie oburzono się, że niemiecki artysta może wyrażać się w sposób tak bezwzględny o swojej ojczyźnie.

Krzysztof myślał, że czyni bardzo dowcipnie, podkreślając bardzo wyraźnie, przy sposobności interview z innym dziennikarzem, swą gorącą miłość ojczyzny i państwa niemieckiego, które daje, jego zdaniem, obywatelom niemieckim tę samą co najmniej, wolność co republika francuska.

Oświadczenie to złożył przedstawicielowi pisma konserwatywnego, który nie zaniedbał podsunąć mu zaraz tendencji antirepublikańskich.

— Coraz lepiej! — zawołał Krzysztof — Cóż u licha ma do czynienia moja muzyka z polityką?

— To już nasz obyczaj! — powiedział Oliwer — Wspomnij tylko walki, jakie staczano na grzbiecie biednego Beethowena. Jedni robili zeń Jakobina, drudzy klekę, jedni rewolucjonistę, drudzy zaś służalca możnych. On zaś... pragnął serdecznie dać jednym i drugim kopniaka!

— No dobrze... ja zrobię to samo!

Miał Krzysztof do tego wielką ochotę. Ale miał też słabość do ludzi wogóle, a już wprost po przyjacielsku traktował każdego, który mu dał bodaj jedno dobre słowo. To też Oliwer był bardzo strapiiony ile razy musiał go samego zostawić.

Krzysztof przyrzekał najuroczyściej, że będzie się pilnował, jednak zawsze popadł w błąd zbytnej szczerości i zaufania. Mówił poprostu wszystko, co mu przyszło do głowy.

Zjawiały się kobiety-dziennikarze i podawały się za przyjaciółki Krzysztofa. Oczywiście ujęty za serce, opowiadał im z wylaniem swoje przeżycia miłosne... Innym razem powiedział coś, co miało ten skutek, że nadużyto jego nazwiska dla celów mówienia źle o różnych osobach.

Powracał Oliwer i zastawał go skruszonego i pełnego żalu.

— Znowu głupstwo się stało? — pytał.

— Oczywiście... ciągle to samo! — przyznawał.

— Jesteś niepoprawny! — biadał Oliwer.

— Powinno by się trzymać mnie zawsze pod kluczem! Ale tym razem... basta! Przysięgam ci!

— Aż do następnej recydywy?

— Nie, nie... serjo... ostatni raz!

Następnego dnia odezwał się Krzysztof tryumfująco:

— Wiesz co? Oto zjawił się jakiś dziennikarz, a ja go wyrzuciłem za drzwi!

— Nie należy przesadzać! — powiedział Oliwer — Strzeż się! To są złe psy! Napadają na czołowieka, który się broni. Bardzo łatwo jest im mścić się. Wyciągają co im potrzeba z pierwszego lepszego słowa nieostrożnie wyrzeczonego.

Krzysztof potarł ręką czoło.

— Ach... mój Boże!

— Cóż takiego?

— Przypominam sobie, że mu coś powiedziałem w samym już progu.

— Cóż to było?

— Słowa cesarza...

— Cesarza?

— Tak... wprawdzie nie wypowiedział ich sam cesarz, ale zawsze ktoś z jego otoczenia.

— Biedaku! Znajdziesz je na czele artykułu! — wykrzyknął Oliwer.

Krzysztof zadrzał. Ale dnia następnego znalazł co innego, mianowicie najdokładniejszy opis swego mieszkania, w którym sprawozdawca wcale nie był, oraz rozmowę, jakiej z nim zgoła nie prowadził. Im więcej się o nim szerzyło pogłoszek, tem były gorsze. W pismach zagranicznych wyposażono je w coraz to większe nonsensy. Pisma francuskie nie chcąc pozostać w tyle, puszczały się na takie n. p. kawały. Donoszono z całą pewnością, jako że Krzysztof z czasu pobytu w Paryżu znajdował się w takiej nędzy, iż musiał komponować kuplety na gitarę. Pewne angielskie pismo zawiadomiło nawet swych czytelników, iż grywać musiał dla chleba, wędrując z gitarą z jednego podwórza na drugie.

Nie same przeto pochwały miał sposobność czytać. Starczyło bowiem, że był w łaskach takiego „Grand Journal’u“, by inne dzienniki na nim psy wieszały. Nie uważał żaden z nich za rzecz słuszną i zgodną z osobistym honorem przyznać się do porażki, do tego, że przeoczono prawdziwy talent, który odkrył światu dopiero dziennik konkurencyjny. Jedni pokpiwali z tego odkrycia, inni znów żalowali Krzysztofa. Goujart zły strasznie, iż mu porwano taki kasek z przed nosa, wystąpił z artykułem, którego zadaniem miało być sprostowanie omyłek i stwierdzenie faktycznego stanu rzeczy.

Zaczął tedy od określenia sylwetki Krzysztofa, swego dawnego przyjaciela, którego pierwszymi krokami w Paryżu osobiście kierował. Przyznawał co prawda, iż jest to talent nie powszedni, nie krył się jednak z tem (mógł to powiedzieć, wszakże łączy ich zażyła przyjaźń), że talent ów posiada mnóstwo luk i niedostateczności. Jego zdaniem, złą przysługę oddają mu ci, którzy zasypują go pochlebstwami i wbijają w dumę. Psują tem bowiem jeno młodego człowieka, któremu niezbędnie potrzebnym jest mądry, wykształcony, wytrawny i życzliwy mentor... coś w rodzaju samego Goujarta... oczywiście.

Muzycy ze swej strony śmiali się do rozpuku. I mieli słusność. Dzienniki ośmieszały Krzysztofa

strasznie. To też głośno objawiali pogardę urągliwą dla kolegi, protegowanego przez pismaków. Wszyscy żywili... oczywiście pozornie... głęboką odrazę do *vulgum pecus* i wzbraniali się przyjmować podarków Artakserksesa... których im tenże wcale nie przysyłał.

Jedni miotali na Krzysztofa obelgi, drudzy miażdżyli go swoim prostackim współczuciem. Niektórzy rzucali się na Oliwera, byli to przeważnie jego koledzy.

Radowało ich, iż mają teraz sposobność pomśzczenia się na nim za jego nieprzedajność i za to, że wszelkie napaści pozostawiał bez odpowiedzi. Oliwer nie odpowiadał nie przez pogardę, nie uniał bowiem pogardzać nikim, był jeno zatwardziałym samotnikiem i wielbicielem ciszy i pokoju.

Najtrudniej przebaczyć to ludziom, że się bez nich ktoś obchodzi. To też niektórzy posunęli się aż do insynuacji, jakoby Oliwer miał osobisty interes w artykułach „Grand Journal’u“.

Byli i tacy, którzy uznali za swój obowiązek wziąć Krzysztofa przed Oliwerem w obronę. Ze łzami w oczach wskazywali na bezsumienność Oliwera, który wypychał delikatnego, rozmarzonego, przeciw życiu zgoła nie uzbrojonego artystę, bezlitośnie na targowisko wielkiego świata, gdzie niewątpliwie musi zginąć bez ratunku.

Przedstawiali Krzysztofa jako głupawego, rachitycznego chłopca, którego nie można samego wypuścić na ulicę w celu przechadzki. Podkopuje się — twierdzili — przyszłość tego człowieka, którego dobre chęci i pilna, usilna praca, mimo wszelkiego braku zdolności, przecież coś lepszego warte. Te chmury kądziel, biadali pocziwcy, muszą go do reszty ogłupić. To straszne! Czyż nie należałoby raczej wstrzymać się, poczekać, zostawić go w zapomnieniu jeszcze przez lata całe, a dopiero potem sądy wydawać, gdy na to zasłuży?

— Kto pracuje, musi także jeść! Ktoż mu da na chleb powszedni? — mógł spytać Oliwer radców.

Ale pytanie to nie wytrąciłoby tych panów z równowagi. Odpowiedzieliby niewątpliwie bezzwłocznie:

— Cóż to szkodzi?... Niedostatek jest najlepszą szkołą artysty. Oczywiście musi się pocierpieć! Cóż na tem zależy?

Takie twierdzenia najsmadniej wygłaszali ludzie z towarzystwa, opływający nie tylko w dostatki, ale żyjący wystawnie. Stoicyzm pasibrzucha, jestto rzecz ogólnie znana. Tak też odpowiedział milioner, gdy pewnego razu ktoś zwrócił się doń z prośbą o pomoc dla ginącego z głodu artysty.

— Ależ drogi panie! — zdziwił się — Wszakże panu dobrze wiadomo, że sam Mozart zginął przedwcześnie z niedostatku! To rzecz znana!

Zdziwionoby się niezawodnie i uważanoby to za niesmaczne, gdyby Oliwer oświadczył, że Mozart niczego bardziej nie pragnął jak żyć jaknajdłużej, oraz, że Krzysztof żywi to samo niezłomne postanowienie.

Wszystkie owe pogłoski, plotki i waśni dały się wreszcie Krzysztofowi we znaki. Zadawał sobie pytanie, czy to będzie już tak ciągle. Ale po dwu tygodniach nagle ucichło wszystko. Dzienniki przestały się nim zajmować. Teraz wszyscy znali go więc gdy wymieniano jego nazwisko nie powiedział nikt:

— Acha!... to jest autor „Dawida” i „Gargantuy” — ale mówiono:

— Acha!... to jest muzyk, o którym swego czasu „Grand Journal” tyle pisał... wiem, wiem!

Tak wyglądała sława.

Oliwer przekonał się, że tak jest w istocie, patrząc na ogromną ilość listów, jakie otrzymywał Krzysztof, otrzymywał je też sam jako przyjaciel wielkiego człowieka. Nadchodziły prośby o robotę ze strony librecistów, propozycje agentów koncertowych, oferty przyjacieli ze strony ludzi, będących niedawno jeszcze otwartymi wrogami Krzysztofa, wreszcie zaproszenia od kobiet.

Zwracały się też doń dzienniki, żądając dla różnych ankiet oświadczenia, co sądzi o przeróżnych

sprawach. Chciano, by złożył swe credo odnośnie do wyludniania się Francji, sztuki idealistycznej, gorsetu kobiecego, występowanie nagich kobiet na scenie. Zapytywano, czy nie jest tego zdania, że Niemcy zmierzają do upadku, że sztuka muzyczna wypowiedziała już swe ostatnie słowo, żądano odpowiedzi na tysiące tego rodzaju pytań.

Obaj śmiali się z tego serdecznie.

Ale zdarzyła się rzecz dziwna. Oto Krzysztof, ów dzikus, który uciekał od ludzi zaczął naraz przyjmować zaproszenia na obiady i wieczory. Oliwer nie mógł oczom swoim uwierzyć.

— Nie poznaję cię! — wołał zdziwiony — Tyżes to sam?

— Ja sam! — wydrzeźniał mu się — myślisz, że tylko tobie wolno włóczyć się po świecie i gapić na kobiety? Widzisz mój chłopcze, teraz przyszła moja kolej. Chcę sobie także zrobić frajdę!..

— Frajdę... to ci sprawia przyjemność? — dziwił się Oliwer.

Smuciło go to, sam nie wiedział czemu.

Krzysztof atoli żył tak długo zupełnie odosobniony i zapracowany, że uczuł teraz nieprzezwykłą potrzebę wydobyć się na świat, zanurzenia w falę ludzką. Przytem wzięła go dziecięca chęć zakosztowania sławy. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że w każdym towarzystwie nudził się jak dawniej. Ludzie wydawali mu się i teraz głupcami. Ale na złość Oliwerowi, za powrotem do domu wychwalał wszystkich i zachwycił się całym światem.

Przyjmował zaproszenie jakieś, robił jedną wizytę, a potem nie wracał już i używał śmiesznych, nader przejrzystych wykrętów, aby uniknąć dalszych przyjęć.

Oliwer łamał z rozpaczą ręce, ale Krzysztof śmiał się z jego rozpacz. Ścisłe biorąc, nie uczęszczał do salonów paryskich poto, by szerzyć swoją sławę, ale po to, by wejść na nowo w kontakt z życiem, by nasiąknąć spojrzeniami, głosami, ruchami, by objąć to całe bogactwo kształtów, tonów barw,

tak koniecznych dla artysty, który musi nimi od czasu do czasu zasilać na nowo swą paletę.

Muzyk żywi się muzyką, a takie rzeczy jak intonacja słów, rytmy ruchów, harmonja uśmiechów, są dlań podnietami nierównie silniejszymi, od studiowania rozlicznych symfonii kolegów zawodowych.

Coprawda przyznać musiał, że ta muzyka salonowych twarzy i dusz była równie monotonna i nudna, jak muzyka kompozytorów cieszących się sławą w towarzystwie paryskim, każdy bowiem posiadał swą pozę i trwał w niej nieustannie.

Wyuczony, sztuczny uśmiech damy z towarzystwa jest w swym sztucznym wdzięku równie nudny i jednostajny jak melodia paryska. Mężczyźni wydali mu się jeszcze mniej pociągającymi od kobiet.

Tak zwany wielki świat posiadał straszną moc wyczerpywania dusz, wszelkie odmiany energii gasły w nim, a właściwości charakterów zacierają się z przerażającą szybkością. Krzysztof zdumiony był spotykając tam mnóstwo artystów, których talent wygasł całkiem, lub konał z wolna. Poznał tam pewnego muzyka, ongiś pełnego siły i talentu, którego powodzenie do tego stopnia wyczerpało i otepiło, że nie robił nic, poprostu drzemał otoczony kłębami dymu kadzidlanego i oddawał się uciechom niskiego typu.

W drugim rogu salonu ujrzał Krzysztof osobistość, która była dlań przykładem odstrasającym. Takim oto truposzem mógł sam zostać za jakichś lat dwadzieścia. Był to słynny, bogaty, stary upomadowany mistrz, człowiek wszystkich akademii świata. Doszedł do szczytu swej kariery, nie potrzebował już się niczego obawiać z żadnej strony, a jednocześnie nie miał powodów krepować się zupełnie. Mógł czynić co chciał. A jednak leżał on na brzuchu przed pierwszym lepszym, drżał przed opinią publiczną, płaszczył się wobec osób wpływowych, uniżał prawie, nie ośmielił się powiedzieć co myśli, zresztą nie myślał już nic, nie żył prawdziwem życiem, trwał w tempem ogłupieniu w zatwardzialem swoim osielstwie

obwieszony orderami, wstęgami, strzępami własnej, minionej wielkości.

Można się było założyć, że poza każdym z tych artystów i rycerzy ducha będących ongiś wielkimi, lub mających przynajmniej szanse po temu, stała kobieta, która go unicestwiła. Wszystkie były niebezpieczne, zarówno głupie, jak i mądre, zakochane, samolubne i zimne. Co więcej, najlepsze okazały się najgorszymi, gdyż z tem większą pewnością dusiły artystę splotem bezrozumnej czułości, wysilały się, w najlepszych zresztą zamiarach, by zacieśnić jego talent, ujarzmić go, uczynić sobie powolnym, płytkim, słowem tak przekształcić, by mieścił się w sferze ich odczucia, w maleńkim światku próżności, namiętności i miernoty.

Krzysztof otarł się jeno końcem skrzydeł o ten świat, ale ujrzał dosyć, by odczuć grożące niebezpieczeństwo. Naturalnie nie zabrakło amateerek, pragnących go pozyskać dla swego salonu i osobistych usług i Krzysztof nieraz już był bliskim wpadnięcia w zdradliwe sidła pokuśliwych półsłówek i spojrzeń wezbranych obietnicami.

Nigdy nie byłby w stanie wyjść cało z tego oddechu, gdyby nie prosty, chłopski, zdrowy rozsądek, oraz ostrzegawczo działające przykłady różnych, strasznych katastrof jakich dokonywały te współczesne Cyree w swoim otoczeniu. Nie nęciło go przytem, by zostać zaliczonym do którejs z trzód nierogacizny, jakich tyle pasło się pod opieką swych czarodziejek w każdym salonie paryskim.

Niebezpieczeństwo samo zmalowało zresztą skutkiem konkurencji, albowiem, skoro się tylko głośnym stał, rzuciły się nań wszystkie. Nastąpiła licytacja, oferty stawały się coraz to wyraźniejsze i doszły do granic, gdzie musiał się w Krzysztofie obudzić wstręt. Wydawało się, że społeczeństwo to, dowiedziawszy się, że ma pośrodku siebie człowieka genialnego, ruszyło ławą, by go opłatać i zgnieść. Wysilali się w tem zarówno mężczyźni jak i kobiety. Działalnością tą zdawał się kierować jakiś półświadomy in-

stynkt niszczycielski. Ludzie ci mieli jedną myśl, zerwać kwiat, na który patrzą i wsadzić go do klosza, złapać ptaka i zamknąć go w klatce, opłatać owowiaka wolnego i uczynić zeń lokaja.

Krzysztof na krótki jeno czas stracił równowagę. Otrząsnął się i silną dłońią chwycił cugle swej duszy, ściągnął je, a całemu towarzystwu i wszystkim jego ponętom dał tegoż kopniaka.

Los płata czasem ^{*}pełne ^{*}ironii figle.

Pozwala lekkomyślnym, nieopatrznyim przesłiznąć się przez oczka sieci swojej i ująć bezkarnie, natomiast pilnuje dobrze i chwyta chytrych, czujnych i ostrożnych.

Stało się tak, że nie Krzysztof, ale Oliwer zawikłał się w zdradną sieć miasta Paryża.

Rozgłos przyjaciela objął także i jego samego. Znaczna część promieni sławy Krzysztofa padła na Oliwera. Dwa czy trzy dzienniki nazwały go odkrywcą geniuszu i znany był przez to teraz nierównie lepiej, jak przez wszystko co przedtem napisał. Otrzymywał tedy mnóstwo zaproszeń, po części łącznie z przyjacielem, po części także osobiście i bywał w salonach, w zamiarze czuwania potajemnie nad Krzysztofem. Widocznie sprawa ta zaabsorbowała go do tego stopnia, że nie miał już czasu myśleć o sobie. Zdarzyło się, że przeszła tuż obok miłość i zagarnęła go bez trudu w jednej chwili.

Dziewczyna, w której się zakochał była śliczną, szczupłą, niemal chudą blondynką, o włosach falistych, spływających rytmicznie na wąskie, jasne, niemal przezroczyste czoło.

Posiadała pięknie wyrysowane brwi, długie, ciężkie rzęsy, oczy jak niezabudki, wąski nos o ruchliwych nozdrzach, lekko zapadłe skronie, uporny podbródek i uduchowione, a jednocześnie zmysłowe usta, okraszone uśmiechem niewinnego Fauna przypominającym obrazy Parmegiana. Miała długą, smukłą szyję i doskonałą figurę niemal chudą, ale niezmiernie wykwintną.

W młodocianej jej twarzyczce tał się wyraz napół szczęśny, napół bolesny, coś co przypominało zagadkę „Przebudzenia wiosny”.

Zaklina Langeais liczyła niespełna dwadzieścia lat i pochodziła z katolickiej, zamożnej, wykwintnej i wolnomyślniej jednocześnie rodziny. Ojciec jej, inteligentny, wynalazczy, sprytny, umiejący sobie radzić w życiu inżynier, którego umysł przystępny był każdej rzeczy nowej zawdzięczał swój majątek jednocześnie pracy własnej, jak i stosunkom politycznym i małżeństwu.

Ożenił się z miłości z bogatą panną i małżeństwo to, było ideałem związku dla człowieka jego pokroju, nigdy bowiem, mimo najgłębszego uczucia nie pojąłby był żony biednej, nie dałby się zepchnąć na poziom walki o chleb codzienny.

Zona jego była śliczną Paryżanką ze sfer plutokratycznych. Miłość przemienila, pieniądze zostały. Ale pozostało też kilka iskiełek przywiązania, gdyż uczucie było zrazu obustronnie bardzo silne. Zadne z nich nie przywiązywało wagi do nadmiernej wierności i każde oddawało się z osobna swoim własnym interesom i przyjemnościom. Żyli na stopie przyjacielskiej, przykładnie i spokojnie, jednocześnie nie krępując się zanadto i nie czyniąc kroków lekkomyślnych, czy skandalicznych. Dziecko stało się przedmiotem cichej zazdrości obojga, ale jednocześnie było węzłem, jaki ich łączył nierozzerwalnie. Kochali je oboje bardzo, rozpoznając w Zaklinie obustronne błędy i ulubione grzeszki. Były one wyraźne, choć przysłonięte jeszcze nieopisanym dziecięcym wdziękiem. Zarówno ojciec, jak i matka chcieli córkę pozyskać każde dla siebie i odwrócić od drugiego jej przywiązanie.

Mała spostrzegła to naturalnie zaraz, gdyż obdarzona była wielkim sprytem i w przebiegłości dziecięcej, uważając za naturalne, iż cały świat musi stosować się do jej woli, sprawiła rychło, że oboje rodzice przesadzali się w serdeczności. Wykorzystała sytuację na swą korzyść.

Mogła zawsze na to liczyć, że każdy jej kaprys znajdzie natychmiast poparcie jednej ze stron wojujących potajemnie. Toteż, gdy ojciec się opierał, udawała się pod skrzydła matki, albo przeciwnie, a druga strona czuła się tak dotknięta okazaną obojętnością, że natychmiast spieszyła nie tylko z ustępstwem, ale składała prócz tego znaczny naddatek z własnego popędu.

Zaklina nie знаła tedy granic zachceń i było to zaprawdę wielkiem jej szczęściem, że nie miała w naturze żadnych wybitnie złych skłonności, inaczej byłoby się z niej stało coś okropnego. Była tylko skończoną egoistką, ale każde dziecko jest takie. Egoizm ten przybrał u niej, jak u dziecka ponad wszelką miarę rozpuszczonego i rozpieszczonego, jak to bywa w domach bogaczy, formy chorobowe, głównie z braku najmniejszego oporu i przeciwności.

Obok ubóstwienia córki, rodzice nie byli zdolni niczego z własnych wygod i nawyków poświęcić dla niej. Gdzie ich egoizm wchodził w grę, ustawały wszelkie względy uczucia.

Zaklina pozostawiona była po całych dniach samej sobie, oddana na pastwę tysiącznych wybryków, zachceń i dziwactw, które rodzice zaspakajali bez oporu. Nie brak jej było czasu na marzenia i stały się one z czasem jej najulubieńszem zajęciem.

Przy dziecku rozmawiano o wszystkim, nie zachowując żadnych ostrożności, nie krępując się zgoda, toteż w młodym bardzo wieku doszła do uświadomienia, a mając lat sześć już opowiadała swym lalkom historyjki miłosne, w których występowali zawsze mąż, żona, kochanek pani i kochanka pana domu. Oczywiście w tym czasie nie widziała w tem jeszcze nic zdrożnego.

W dniu, w którym zstąpiło na nią objawienie, że poza temi słowami kryje się uczucie, zaprzestała zabawiać opowiadaniem swoje lalki i zachowywała opłót wszystkie te ciekawe rzeczy dla siebie samej.

Przez duszę jej płynął teraz prąd nieświadomości dobrze zmysłowości, niby pogłos dzwonów

z wielkich dali dochodzący. Nie wiedziała co to znaczy, nie przestawało jej jednak ciągle brzmieć w uszach.

Czasem nadpływało niby na skrzydłach wiatru, szła skądś fala dziwna, niepodobna do określenia bliżej. Wówczas drżała, rumieniła się, czuła, że tonie w jakimś gorącym dziwnym potoku, i oddech jej zapierały strach i niepojęta rokosz.

Nie wiedziała co to jest. Przychodziło na nią chwilami i mijało znowu bez śladu. Stawała się znów dzieckiem swobodnem i beztroskiem, zaś po tamtem wrażeniu pozostawało jeno jakieś nieuchwytne wibrowanie, niby pobrzęk owadu rozplywający się swolna w powietrzu. Jedno tylko zdawało się pewnem... tak, jedno. Owo „coś“ szło od dali rozługujących poza pasmem gór, co brzeżyły rzeczy znane, codzienne. Za niemi, za temi górami mieszka szczęście. Gdybyż tylko dostać się tam... gdybyż można...

Jak długo tam nie była, roila niestworzone rzeczy, o tem, co też tam znaleźć można i postawiła sobie za zadanie odkryć tę przyszłość tajemną a trudną niezmiernie. Przechodziło to oczywiście jej siły, przeto połączyła się z drugą dziewczynką Symonią Adam i rozpoczęły obie dociekania, od dysput nad rozlicznymi zawiłymi kwestjami.

Dopomagały sobie wzajem, zestawiały swe wiadomości, doświadczenia dwunastolatek, podchwycane fragmenty rozmów, urywki wyczytane w książkach, rzeczy widziane ukradkiem. Pracowały obie w pocie czoła, stawały zdałe się, na palcach, by rzucić wzrok poza mur wysoki, który je odgradzał od pożądanej krainy szczęścia, chwytaly się kamieni, wyciągały szyje by poznać przyszłość.

Ale mimo tych wysiłków, mimo głudy, że coś dostrzegają przez szpary, nie widziały w rzeczywistości nic. Duszyczki ich, była to mieszanina dziwna, na którą składały się: czystość dziewczęca, poetycznie zabarwiona radosna chętka myszkowania po zakazanem terytorjum i czysto paryska mania szydzenia z wszystkiego.

Wygadywały okropności, nie domysławiając się nawet ich rzeczywistego znaczenia, budując jednocześnie z rzeczy najprostszych całe światy niedoręczestw pozbawionych zgoła sensu. Zaklina węszyła wszędzie, nikt jej bowiem niczego nie bronił. Nie pominęła tedy obfitej, a bardzo niebezpiecznej biblioteki swego ojca. Szczęściem niewinność i czysty instynkt dziewczęcy ustrzegły ją przed złymi ewentualnościami.

Wystarczyło bowiem, by natknęła się na jakiś ruch radykalny, brutalny, albo także słowo, a zmykała natychmiast przerażona. Nie mogła uwierzyć, by tak mogło wyglądać marzone szczęście, rzucała książkę i uciekała coprędzej, rzucając złe towarzystwo, niby spłoszony kot, co skacze zręcznie przez kałuże, nie wpadając nigdy w błoto.

Romanse nie miały dla niej powabu, zdawały się jej nazbyt realistyczne i nadto suche. Pozostawała jedna rzecz, napełniająca jej serduszko uniesieniem i nadzieją. Mieścili się tam wszystkie tajemnice, toteż czytała z zapartym oddechem. Były to poezje, poezje miłosne. Poeci stali bliżej sposobu odczuwania Zakliny. Widzieli wszystko nie w realnej postaci, ale w kształtach wyśnionych przez pożądanie, w formie pragnienia i tęsknoty.

Wydawało jej się, że także spinają się po kamieniach, chcąc spojrzeć poza mur, że także szukają szpar w rzeczywistości, by dostrzedz poza nią skrytą prawdę. Tylko oni oczywiście muszą wiedzieć nierównie więcej, wszystko nawet wiedzą... wszystko, nie ulega wątpliwości, że okrywają ten skarb w precyzyjne subtelne słowa, których sens tajemny odgadnąć trzeba, doszukać się w nich prawdy, postępując z największą ostrożnością... Szukała tedy szukała, nie znajdując nigdy, szczęśliwa i wzruszona, że jest na tropie — że sięga po szczęście...

Obie poszukiwaczki pracowały tedy w pocie czoła, nie nużąc się jednak nigdy. Półgłosem, przejęte drżeniem tajemnem, deklamowały wiersze Alfreda, Musseta i Sully-Proudhoma, doszukując się w nich

jakichś tajnych przepaści zepsucia. Odpisywały je i wypytywały się wzajem o sens ukryty pewnych zdań i obrazów, które zgoła były tego sensu pozbawione.

Niewinne i przewrotne zarazem mówiły te małe trzynastoletnie kobietki pół żartem, pół seryo o miłości i rokoszach miłosnych, nie zgoła o tem nie wiedząc i gryzmołyły podczas godzin szkolnych na bibule wiersze, które razu pewnego przychwycił nauczyciel, łagodny, ugrzeczniiony, po ojcowsku traktujący swe uczennice staruszek:

*Laisser, oh, laisser — moi vous tenir enlacées,
Boire dans vos baisers des amours insensées,
Goute, à goute et longtemps !.....*

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie biedaka i wyrzuty sumienia z powodu zbytnej pobłażliwości, z jaką odnosił się do tych rozpustnic.

Uczęszczały do pewnego, renomowanego w kołach bogatych finansistów instytutu naukowego, którego nauczycielami byli docenci uniwersytetu. Tutaj było podłoże jakby stworzone dla wybujałej uczuciowości poszukiwaczek miłości. Niemal wszystkie dziewczątka były zakochane w swoich nauczycielach, wystarczyło, by któryś był jeno młody i nie zanadto odstraszający, a serca zdobywał w mig. Wszystkie pracowały z zapałem niestrudzonym dla przypodobania się swemu sułtanowi, dla zwrócenia jego uwagi na siebie. Ile razy zadanie wypadło źle, łzy lały się z oczu nieszczęśliwej.

Wobec innego nauczyciela dana uczennica zachowywała się oczywiście zgoła obojętnie, nie zwracając wcale uwagi na jego słowa, ni złe noty. Wobec pochwały ukochanego natomiast każda czerwieniła się, potem była blizką omdlenia, a serce jej napełniała wdzięczność niewysłowiona.

Kiedy się zdarzyło że uwielbiony zawołał którąś do siebie celem udzielenia rady, albo uczynienia jej uwagi, natenczas drżała ze wzruszenia i czuła się uniesioną do nieba. Nie trzeba było zaprawdę wcale zalet adonisa, czy genjusza, aby posiadać serca tych

sikorek. Gdy razu pewnego nauczyciel objął Zaklinę, podnosząc ją na trapez podczas lekcji gimnastyki, omal nie zemdląca i przez parę dni miała gorączkę.

Cóż mówić o namietności współzawodnictwa, o szale zazdrości, o pokornych, a uwodzących spojrzeniach obliczonych na to, by uwielbianego wydrżyć rywalce?

Ile razy otwierał usta na lekcji, zanim jeszcze wymówił słowo, biegły po papierze ołówki z szaloną szybkością. Szło o to, by nie stracić słowa, by nadać, o sensie nie myślała oczywiście żadna. Pisały pisały jak szalone, a jednocześnie błyskawiczne spojrzenia strzelały ku ukothanemu, śledziły jego twarz i ruchy, nie opuszczając najdrobniejszego szczegółu, główki zaś myślały: „Czy byłoby mu na przykład do twarzy w krawatce w niebieskie kropki“.

Innym razem budowały sobie ideał kochanka z kolorowanych rycin, z przesadnych, emfatycznych poezji, z banalnych miedziorytów, jakie były właśnie w modzie.

Nastąpił czas marzenia o aktorach, wirtuozach, artystach żyjących i zmarłych Mounet-Soulym, Samainie, Debussym i innych. Zamieniały spojrzenia z nieznanymi młodymi ludźmi na koncertach w salonie, czy na ulicy i powstawały stąd nagle krótkotrwałe porywy i uniesienia. Czuły nieustanną potrzebę entuzjasmowania się dla kogoś czy czegoś, posiadania pretekstu kochania. Zaklina zwierzała się z wszystkim przyjaciółce, co było wyraźnym dowodem, iż nie odczuwała zbyt silnie. Takie powierzchowne miłości teoretyczne, stanowiły nawet najlepszy sposób niedopuszczenia rzeczywistego i trwalszego uczucia. Z drugiej strony sprawadzało to na obie dziwny, chroniczny stan chorobowy. Radowały się nim, hodowały go troskliwie, podniecały, nie chcąc otrzeźwieć i ozdrowieć, a jednocześnie śmiały się pierwsze ze siebie, gdy im zaświtało w głowach, że jestto przecież niesłychanie głupie i bezsensowne.

Simonja była romantyczniejsza i roztrośniejsza zarazem, lubowała się więc w fantastycznych obrazach, ale posiadała świadomość, że są złudą i nie pragnęła

ich realizacji. Zaklina posiadała natomiast więcej zmysłu rzeczywistości i większy temperament i radaby była przeżyć to wszystko naprawdę.

Kilkanaście razy bliską była popełnienia ostatecznego głupstwa. Ale nie popełniła go, w tym wieku nie wpada się zazwyczaj w sidła. Coś czuwa nad dziewczyną, choćby najszałamą nawet. Czasami jednak przychodzi godzina, kiedy stoi się na bezdrożu: albo musi się popełnić samobójstwo, albo oddać się pierwszemu lepszemu. Znamy to dobrze wszyscy, wszak każdy z nas był młodym. Szczęściem, są to urojenia, mija godzina i znowu wszystko wraca do porządku.

Zaklina napisała ze dwadzieścia listów kipiących namietnością do ludzi zaledwo powierzchownie znanych. Ale nie wysłała ich z wyjątkiem jednego nieopatrzonego podpisem. Zaadresowała go do pewnego drugorzędnego, brzydkiego krytyka. Zakochała się w nim na zabój, odkrywszy skarby uczucia rzekomego, w jego duszy.

Rozpłomieniło się raz jej serce do pewnego aktora. Mieszkał w pobliżu. Ile razy przechodziła obok niego myślała:

— A gdybym tak poszła?

I raz nawet odważyła się wejść na schody i stanąć pod drzwiami jego mieszkania. Ale w tejże chwili uciekła.

Cóż mogłaby mu powiedzieć? Nie kochała go naprawdę, nie ulegało to dla niej samej żadnej wątpliwości. Szaleństwa Zakliny w znacznej części polegały na pewnego rodzaju samoszustwie dobrowolnem i świadomem, z drugiej zaś strony były wynikiem wieczystej, starej, szalonej, rokosznej żądzy miłości.

Zaklina miała dużo wrodzonej inteligencji, przeto znała się doskonale i zdawała sobie sprawę z każdego kroku. Nie chroniło jej to jednak przed wybrykami, a niestety szaleństwo uświadomione, to podwójne szaleństwo.

Bywała wiele w świecie. Otaczali ją liczni młodzi ludzie pociągnięci jej wdziękiem dziewczęcym. Niejeden

z nich kochał ją nawet. Ona zaś nie kochała żadnego, flirtowała natomiast z wszystkimi. Jakie to mogło mieć skutki, nie obchodziło ją wcale.

Przystojna dziewczyna przemienia zazwyczaj miłość w okrutną igraszkę. Uważa za rzecz naturalną, iż ktoś ją kocha i wydaje jej się, że niema wobec kochającego żadnych zobowiązań. Przeciwnie, uważa, że już to samo, iż wolno mu ją kochać jest dlań wielkiem i zgola niezasłużonem szczęściem.

Dodać należy, że dziewczyna taka nie wie sama co to jest miłość, mimo, iż rozmyśla nad tem przez dzień cały. Można by sądzić, że wychowanka wielkiego świata, pędzona niby kwiat cieplarniany ogromnego miasta, dojrzewa piciowo prędzej, jak dziewczyna wiejska. Rzecz się ma jednak wprost przeciwnie.

Przez książki i rozmowy zapoznała się do tego stopnia z miłością, że zapełnia ona jej całe, skądinąd puste życie i przybiera rozmiary maniactwa. Wydaje jej się, że tę książkę przeczytała już od deski do deski i zna każde słowo na pamięć. Tylko nie odczuwa nie, przeto miłości nie zna. W miłości, podobnie jak i w sztuce nie należy czytać co mówią inni, ale mówić co się czuje własnem sercem.

Kto zaś nierozważnie i lekkomyślnie mówi, zanim ma rzeczywiście coś do powiedzenia naraża się na niebezpieczeństwo wygłaszania komunałów bez treści.

Zaklina, na podobieństwo innych dziewcząt swojej sfery, wzrastała w atmosferze cudzych uczuć. Trzymały ją one w stanie nieustannego podniecania, miała ciągle gorące ręce, suchość w gardle, rozbłyśnione gorączką oczy, a jednak nie była w stanie dostrzec rzeczy w jej właściwej postaci.

Była pewna, że zna miłość. Nie zbywało jej na dobrych chęciach, czytała nieustannie i chwytala rozmowy. Z tych okrucich budowała sobie całość i nauczyła się coś niecoś. Próbowala nawet czytać we własnem sercu. Była lepszą od swego otoczenia, gdyż posiadała więcej szczerości.

* * *

Jedna tylko osoba wywierała na nią wpływ zbawienny. Niestety trwało to krótko.

Ciotka Zakliny, siostra jej ojca, stara panna w wieku lat czterdziestu czy pięćdziesięciu przychodziła czasem do domu rodziców. Marta Langeais była wysoka, miała regularne rysy twarzy, ale nie była piękna, a smutek widniał w jej oczach. Nosila zawsze czarne suknie. W ruchach Marty i gestach przebijała się jakaś, sztywna nieco elegancja. Mówila niewiele głosem niskim, cichym i możnaby było jej nie dostrzec zgola, gdyby nie jasne, przenikliwe spojrzenie mądrych, szarych oczu, gdyby nie uśmiech dobrotliwy smutnych jej ust.

Pokazywała się w domu brata tylko wówczas, gdy nie spodziewano się gości. Langeais odczuwał dla siostry część połączoną z głęboką nudą, żona zaś nie kryła zgola przed mężem, że jej odwiedziny kuzynki nie sprawiają żadnej przyjemności. Mimoto jednak znosiła ten przymus nałożony przez konwenanse światowe i zapraszała Martę raz tygodniowo na obiad.

Nie dawano jej zresztą zbyt odczuwać, że zaprosiny te są wyłącznie wynikiem poczucia obowiązku. Langeais mówił przy stole o sobie, co mu zawsze sprawiało najwięcej satysfakcji, pani Langeais milczała, myślała o przeróżnych sprawach i uśmiechając się stereotypowo uprzejmie, odpowiadała na oślep, byle coś czasem bąknąć.

Obiad odbywał się zawsze przykładnie, w sposób zadawalniający wszelkie wymagania grzeczności i kurtoazji. Zdarzały się nawet czasem wybuchy prawdziwej czułości, zwłaszcza wówczas kiedy ciocia zabierała się do domu wcześniej niż się spodziewano. Czasem znowu rozpromieniała się twarz pani domu i uśmiech jej stawał się czarowny. Powodem tego było zawsze jakieś wspomnienie bliższe sercu, które jej przebiegło przez głowę, wspomnienie chowane zazdrośnie na dnie serca na własny wyłącznie użytek.

Pani Marta czuła to wszystko. Wzrok posiadała bystry i nie uchodziła jej sprawa najmniejsza. W domu

brata dostrzegła wiele przykrych i smutnych rzeczy. Odrzucała ją to i napełniało wstrętem, ale nie zdradzała się ze swymi spostrzeżeniami. Na cóżby się to zresztą zdało? Kochała brata, dumną była z jego rozumu i powodzenia, porówni z resztą rodziny, dla której nie była za ciężką żadna ofiara mogąca uczynić łatwiejszą karierę najstarszego syna. Tylko Marta nie była ślepa, nic nie zdołało zaćmić jej poglądu na sytuację. Czytała weń jak w otwartej księdze i nie kryła swego zdania, ile razy o nie zapytał. Była równie jak on mądrą, posiadała jednak nierównie więcej mocy charakteru, była naturą bardziej męską, co zdarza się często we Francji, gdzie kobiety stoją z reguły wyżej od mężczyzn.

Ale brat uważał za lepsze nie wiedzieć nic, czy może, wiedząc wszystko równie dobrze jak siostra, uznał iż korzystniej jest udawać, że się nic nie wie.

Pani Marta zamknęła się tedy w dumnej rezerwie i milczeniu. Nikt zresztą nie pytał jakim jest jej wewnętrzne życie duszy. Wygodniej też było dla postronnych nie interesować się tem wcale. Żył samotna, bardzo rzadko wychodziła z domu, miała niewielu przyjaciół, a i ci nawet nie posiadali zgola klucza do jej serca.

Byłoby dla niej rzeczą bardzo łatwą zużytkować dla swoich celów zarówno szeroko rozgałęzione stosunki brata, jak i własne uzdolnienie. Nie uczyniła tego. Swego czasu zamieniła w kilku czasopismach paryskich artykuły, sylwetki historyczne i literackie i prace te zwróciły od razu uwagę trzeźwością, prostotą, zwięzłością stylu i trafnością charakterystyki. Pani Marta poprzestała na tem i nie pisała dalej.

Mogła nawiązać bardzo ciekawe znajomości z wielu wybitnymi ludźmi płci obojga, którzy zainteresowali się jej talentem. Niezawodnie czuła nawet wielki pociąg do wejścia z tymi osobistościami w bliższe stosunki. Ale nie uczyniła najmniejszego kroku w ich stronę, nie odwzajemniła zgola życzliwości jaką jej okazali.

Zdarzało się, że miała właśnie bilet do teatru. Grano coś pięknego, co byłaby chętnie ujrzała, coś, ku czemu ciągnęło ją nieprzeparcie. Mimo to jednak nie poszła. Innym razem miała udać się w podróż, która sprawiłaby jej niezawodnie wielką przyjemność. Wbrew chęci, pozostawała bez powodu w domu. Była dziwną mieszaniną stoicyzmu i neurastenii.

Wszystkie te cechy chorobowe nie zdołały jednak wpłynąć w najmniejszej nawet mierze na jej sposób myślenia. Dotkniętem zostało ciało, duch jaśniał dalej niezmaconym blaskiem.

Dawne cierpienie, którego nikt prócz niej nie znał niosła jak krzyż na barkach. A gorsze i mniej jeszcze komukolwiek (jej nawet samej) świadome cierpienie wewnętrzne piekące piętno losu wżerało się w nią coraz głębiej, w miarę upływających lat.

Ale Langeais'owie nie widzieli nic prócz jasnego, roziskrzonego spojrzenia, które ich niepokoiło często.

Żaklina nie zwracała na ciotkę żadnej uwagi dopóki życie jej płynęło bez troski, wśród szczęśliwej bezmyślności, to jest do jakichś lat czterdziestu. Potem przyszedł atoli czas wewnętrznych walk. Ciało i duszę szarpać zaczął niepokój coraz to wzrastający, pługiem swym rozorywało życie dziewczęcą głębię ducha. Przejął ją jakiś wstręt do tego co było dotąd, strach nieopisany, miewała chwile przerażenia i beznadziejnego smutku. Ogarnął ją wir bezsensownych zawrotów myśli, nastał czas okropny, nie do zniesienia gdyby miał trwać zawsze. Wydawało jej się, że umrzeć musi, że tonie, a nie śmiała wołać ratunku.

W tej nowej sytuacji, która zresztą minęła rychło, nie miała na całym świecie nikogo. Uświadomiła sobie nagle, że jedyną osobą do której zwrócić się może jest ciotka Marta, wiedziała z góry, że jej poda rękę. Jakże dalekimi byli teraz rodzice? Obcymi wydali jej się matka i ojciec. Tak dokładnie wypełniał oboje własny, starannie kultywowany egoizm, że żadne nie miało chwili czasu, by zająć się śmiesznymi strapieniami swej czterastoletniej laleczki.

Ciotka współczuła z nią, domyślała się bez słów wszystkich okropności jakie ją opanowały. Nie mówiła nic. Uśmiechała się tylko cicho, zamieniając poprzecz stół z Żakliną wezbrane dobrocią spojrzenie. Dziewczyna czuła, że ją rozumie, biegła przeto do niej, uciekała się pod jej skrzydła. Marta kładła dłoń na jej głowie i gładziła włosy. Milczała.

Żaklina uczyniła ją swą powiernicą. Spieszyła do starej panny w chwilach kiedy serce jej było pełne szarpiącego niepokoju i strachu. Wiedziała, że ile razy przyjdzie, ogarnie ją wejrzenie szarych, mądrych i dobrych oczu ciotki, których spokój spłynie balsamem w jej duszę skolataną.

Nie w tajemniczyła swej starej przyjaciółki w rozliczne drobne namiettności. Wiedziała, że są urojone i wstydziła się ich. Natomiast wywnętrzała się z nieokreślonych, a dotkliwych cierpień i niepokojów, które ją trapiły naprawdę... o jakże bardzo naprawdę niestety...

— Ciociu... — wzdychała nieraz — takbym rada być szczęśliwą!

— Biedne dziecko! — mówiła Marta z uśmiechem.

Żaklina czekała, kładła główkę na kolanach starej panny i całowała jej ręce.

— Powiedz... czy ja będę kiedy szczęśliwą? Powiedz... prosiła.

— Nie wiem drogie dziecko! — mówiła ciotka — To zależy po części od ciebie samej... można być zawsze szczęśliwą, gdy się jeno chce.

Ale Żaklina nie mogła w to uwierzyć.

— Jakto ciociu? Czyś ty na przykład szczęśliwa? Marta uśmiechała się smutnie.

— Tak... jestem! — powiedziała po chwili.

— Co? Naprawdę? Mówisz serjo?

— Więc nie wierzysz?

— Wierzę... wierzę... ale... — jąkała się Żaklina.

— Co takiego?

— Chciałabym być szczęśliwą, ale w inny sposób jak ty ciociu Marto!

— Biedaczko droga... — uśmiechała się stara panna... — Spodziewam się, że inaczej...

Żaklina potrząsnęła energicznie główką:

— Nie... nie... takiego szczęścia nie zniosłabym... umarłabym... nie byłabym w stanie przyzwyczaić się... za nic w świecie.

— I ja tak myślałam z początku! — przyznała ciotka — Zdawało mi się to nieprawdopodobieństwem. Ale życie uczy wielu rzeczy i zmusza do wielu...

— Ach! Ale ja nie chcę zostać zmuszoną — broniła się rozpacznie. — Nie chcę! Chcę być szczęśliwą na swój własny sposób!

— Wprawiliby cię to, zdaje mi się, w kłopot gdyby cię zapytano, co to za sposób?

— Wiem doskonale czego chcę! — oświadczyła.

Chciała mnóstwo różnych rzeczy, ale gdy przyszło to sformułować, nie mogła się zdobyć na nie innego, prócz powtarzającej się ustawicznie zwrotki:

— Przedewszystkiem chcę, by mnie ktoś kochał! Bardzo kochał! Tak!... A potem...

Marta słuchała w milczeniu nie ustając szczerze. Po chwili powiedziała:

— I cóż by ci z tego przyszło, gdybyś niekochalała kogoś wzajem?

Żaklina zakłopotana się bardzo.

— Ależ ciociu... — powiedziała porywczo. — Przecież to się samo rozumie... musiałabym kochać tego, kogoś... Inni się nie liczą.

— A gdybyś nikogo nie pokochała? — spytała ciotka.

— Cóż za przypuszczenie? — zawołała — to jest poprostu śmieszne! Zawsze się musi kochać kogoś — zawsze — jakżeby inaczej?

Marta potrząsała głową z powątpiewaniem.

— Nie... nie... nie zawsze się kocha — odparła — radby człowiek kochać... i nic więcej! Miłość jest to najcenniejszy dar Boga. Proś go gorąco, by ci zesłał to wielkie dobro!

— Ale... jeśli... tamten ktoś mnie nie pokocha wzajem... to co?

— Nawet gdyby cię nie pokochał i wtenczas nawet jeszcze będziesz szczęśliwą! — powiedziała Marta.

Twarzyczka Żakliny wydłużyła się. Zmarszczyła się niechętnie i odparła z grymasem:

— Ja nie chcę takiej miłości! To by mi nie sprawiło żadnej przyjemności!

Marta uśmiechnęła się, objęła ją rozkochanym spojrzeniem, potem z westchnieniem wzięła znów do rąk robotę.

— Biedaczko moja! — powtórzyła po chwili.

— Cemu ciocia ciągle mówi: biedaczko! — spytała z niepokojem Żaklina — Ja nie chcę wcale być biedaczką... ja bym tak bardzo, tak strasznie... tak strasznie chciała być szczęśliwą!

— Dlatego właśnie mówię: biedaczko! — zakończyła Marta.

Żaklina grymasiła jeszcze trochę i buntowała się. Nie trwało to jednak długo. Dobry, kochany uśmiech ciotki rozbrajał ją wkrótce. Udając, że jeszcze zła, obejmowała ją w ramiona i tuliła w objęciach. W gruncie rzeczy, czternastoletniej dziewczynie pochlebia już to samo, że przepowiada się jej na przyszłość daleką smutne ewentualności. Wydaje jej się, że jest osobą dorosłą, a nieszczęście umieszczone gdzieś w przepastnej dali nabiera uroku i traci swą grozę, przedstawia się w każdym razie w ponętniejszych barwach niż szara miernota życia codziennego, owa rzecz, która dolega na razie najbardziej.

Żaklina nie spostrzegła, że twarz ciotki stawała się coraz to bledszą, że policzki jej zapadły. Zauważyła tylko, że wychodzi z domu coraz to rzadziej. Ale przypisywała to wyłącznie zamyśleniu samotności starej panny i czasem rozśmieszało ją to nawet.

Kilka razy zastała też lekarza.

Żegnał się i odchodził wkrótce, a Żaklina pytała troskliwie:

— Czyś ty cioteczko chora?

Ale Marta mówiła zawsze:

— To nic... to drobnostka...

Niebawem jednak Marta przestała bywać nawet raz w tygodniu u braterstwa na obiedzie. Żaklina dotknięta tem do żywego, czyniła jej straszne wyrzuty:

— Moje dziecko — powiedziała Marta łagodnie — czuję się trochę chorą!

Ale Żaklina nie chciała o tem słyszeć. Twierdziła, że są to tylko jakieś wykręty i basta!

— Więc ci teraz, ciociu, to nawet sprawia trud raz w tygodniu przyjść do nas na dwie godziny? Nie kochasz mnie już... wolisz, widzę, swój kominiek i fotel!

Ale kiedy pełna dumy opowiedziała w domu jakie to wyrzuty robiła ciotce Marcie, odezwał się ojciec twardo jakoś i niezwykle surowo:

— Dajże ciotce spokój Żaklino! czyż nie wiesz, że biedaczka jest ciężko chora?

Żaklina zbladła jak ściana. Drżącym głosem spytała co jest ciotce. Ojciec nie chciał jej zrazu powiedzieć, ale wreszcie po długich usiłowaniach dowiedziała się, że Marta ma raka w kiszkach, że nie ma dla niej ratunku i że za kilka miesięcy musi niezawodnie umrzeć.

Żaklinie czas upływał teraz wśród niewysłowionej męki. Uspokajał ją tylko widok ciotki. Szczęściem stara panna niecierpiała bardzo. Zachowała swój spokój pełen uśmiech, połyskujący na kredowo bladej twarzy, niby przebrzask lampy płonącej we wnętrzu duszy.

Żaklina oponowała zawzięcie:

— Nie, to nie możliwe... — mówiła — oni się mylą... nie byłaby tak spokojna!

Rozpoczęła na nowo zwierzenia, a Marta interesowała się niemi teraz jeszcze bardziej jak przedtem. Czasem tylko urywała nagle wpół zdania rozmowę wstawiała i wychodziła do drugiego pokoju. Nie zdradziła się nigdy z tem, że cierpi i wracała dopiero, kiedy atak minął, a rysy twarzy wygładziły

się na nowo. Nie lubiła, by czyniono aluzję do jej stanu zdrowia, starała się ukryć swą niemoc. Może było to własną jej, wewnętrzną potrzebą jak najmniej o tem myśleć, zapomnieć o chorobie, która ją przerażała i wytrącała z równowagi ducha. Wiedziała aż nadto dobrze, że ją toczy, pocóż miała się tem zajmować. Wolę swą wyteżyła ku jednemu celowi, oto, by ostatnie miesiące życia spędzić w pokoju, równowadze ducha i ciszy.

Ale pogarszanie stanu rzeczy szło szybszym tempem niż oczekiwała. Niebawem nie mogła prócz Zakliny przyjmować już nikogo innego, potem nawet wizyty bratanicy coraz bardziej musiały być skracane. Nakoniec nadszedł dzień rozłąki. Marta leżała w łóżku od szeregu tygodni, nie mając siły dowieść się do fotelu. W krótkich, pełnych słodyczy słowach pożegnała Zaklinę, potem zaś zamknęła się ostatecznie, by umrzeć.

Zaklina przeżywała miesiące całe w rozpacz, a śmierć ciotki przypadła właśnie na okres rozterki duchowej, której jej tylko przyjacielska dłoń mogła dziewczynę wywieść na ścieżynę pokoju i zrównowżenia. Uczuła się okropnie osamotnioną, miała w duszy przerażającą pustkę, otchłań śmierci. Konieczną odczuła potrzebę wiary, zrozumiała, że ona jedna dać może w takiej chwili siłę. Ściśle biorąc, nie powinno jej tej pomocy zbraknąć. Wszakże napominano ją ciągle w domu, by dopełniała przepisów religijnych, a matka także przykładnie przystępowała do sakramentów i chodziła do kościoła.

Tu właśnie leżało całe zagadnienie. Matka pełniła obowiązki religii, ciotka nie zwracała na nie najmniejszej uwagi. Wnioski nasuwały się same przez się. Oczy dziecka posiadają dziwną bystrość, odkrywają bardzo łatwo wszelkie kłamstwo, jakiego dorośli nie dostrzegają, żywszy się z niem przez czas długi. Dzieci patrzą przenikliwiej, notują sobie każdą słabość i nie pomijają żadnej sprzeczności.

Zaklina spostrzegła, że zarówno matka jej, jak i wszystkie domy z towarzystwa, uważające się za

bardzo religijne boją się bardzo śmierci, drżą przed nią zupełnie taksamo, jak pierwszy lepszy bezbożnik. Czyż przeto religia może być dostatecznie silną ostoją? Nie, nie warto to widać nic!

Dołączyły się do tego jeszcze osobiste doświadczenia, akty buntu woli, szereg sprzeczności, ile razy chciała rozumem przeniknąć zasłonę niewiedomego, ponad wszystko zaś szkodliwie oddziaływał na nią niezręczny spowiednik. Dotknął ją mimowoli.

Chodziła dalej do kościoła, ale czyniła to z obowiązku, jak się składa wizyty, ponieważ pewne stanowisko społeczne tego się domaga. Nie było w niej ni śladu wiary.

Ani religia, ani towarzystwo wielkoświatowe nie miały już dla niej żadnego powabu. Jedyłą ucieczką stało jej się wspomnienie zmarłej, toteż zatonała w rozpamiętywaniach. Robiła sobie często straszne wyrzuty, że nieraz, uniesiona egoizmem dziecięcym zaniedbywała w sposób bezwzględny drogą zmarłą, którą teraz z wszystkich sił duszy radaby była powołać do życia.

Ciotka Marta stała się teraz dla niej jakby świętą, a przykład jej życia kierowanego wyłącznie ku kontemplacji i odwróconego od świata zewnętrznego, sprawił, że życie towarzyskie pozbawione wszelkiej szczerości zdrowego sensu napełniło ją najwyższą odrazą i obrzydzeniem.

Widziała w niem teraz samą jeno niską, głupią obłudę, a wszystkie te rozliczne wybryczki, graniczące niemal z występkiem, jakie życie owo pokrywać zwykło, dawniej mające dla niej powab półgrzechu, oburzały ją obecnie do żywego i raziły jak uderzenia bicia. Żyła w stanie przedrażnienia, hipertrofji wrażliwości. Odczuwała cały ból istnienia jakgdyby jej dusza odarta z wszystkich osłon wystawioną była na razy zewnętrznego świata. W takim nastroju objawiały jej się różne prawdy, których się dotąd nawet nie domyślała, poznawała przerażającą rzeczywistość tego, co nazywała uważać za drobne, bez znaczenia pozory.

Pewnego dnia popołudniu znajdowała się w salonie matki. Pani Langeais rozmawiała z pewnym, będącym w modzie, błaznowatym i aroganckim artystą malarzem, który często zjawiał się u nich, nie będąc atoli członkiem zażyłego kółka znajomych. Żaklina słyszała nieraz jak się wyśmiewano z niego i miano-
wano durniem natrętnym i bezwstydnym.

Dziewczyna odczuła odrazu, że jej obecność jest obojgu jakoś nie na rękę. Zdziwiło ją to, ale przez przekorę naumyślnie nie odeszła, mimo, iż rozmowa nudziła ją niesłychanie.

Pani Langeais miała tego dnia lekką migrenę, pozatem zdenerwowała się pastylkami przeciw bólowi głowy, które ówczesne damy miały zwyczaj łykać jak cukierki. Skutkiem tego niebardzo panowała nad sobą i gadała co jej przyszło na myśl. Nagle Żaklina pomyślała, że matka mówi do malarza „mój drogi“. Za chwilę użyła słowa „ty“.

Spostrzegła się, ale już było zapóźno, udała przeto, że to żart. Malarz brał wszystko za dobrą monetę. Rozmowa potoczyła się dalej, jakby nigdy nie.

Żaklina w tej chwili właśnie podawała herbatę i omal nie upuściła filiżanki. Doznała wrażenia, że gość i matka wymienili za jej plecami porozumiewawczy uśmiech. Obróciła się szybko i pochwyciła wyraźnie karygodne spojrzenie. Rozbłyśte oczy obojga, okryły się zbyt późno powiekami. Wiedziała wszystko.

Odkrycie to było dla niej ciosem strasznym. Mimo bezreligijnego wychowania swego, mimo wszystkich swobód, w jakich wzrastała, mimo, że często słuchała o wydarzeniach tego rodzaju i sama o nich z uśmiechem rozpowiadała, uczuła nagle straszny ból, dowiedziawszy się, że to jej matka... własna jej matka... ach to była rzecz zgoła inna... to była prawda, okrutna, hańbiąca prawda!

Z właściwą sobie przesadą popadła z jednej ostateczności w drugą. Dotychczas nie podejrzывała niczego, teraz niedowierzała niemu zgoła. Zaczęła

skrupulatnie badać poprzednie zachowanie się matki, rozbierała dzień po dniu, szczegół po szczególe. Niestety lekkomyślność pani Langeais dawała aż nadto pola do podejrzeń tego rodzaju. Żaklina wyolbrzymiała wszystko, to też przed oczyma ujrzała całe piekło zła.

W pierwszej chwili uczuła potrzebę zbliżenia się do ojca. Zawsze miała dlań więcej miłości, bo bystry jego, jasny umysł, wywierał na córkę silną atrakcję. Chciała otoczyć go podwójną miłością, powetować mu nieszczęście, zapragnęła, by odezuł, jak go żałuje.

Ale Langeais nie potrzebował zgoda tych uczuć. Spostrzegła odrazu, że nie przyjmuje wcale jej daru, a sposób w jaki to czynił, utwierdzała ją w przekonaniu okropniejszym jeszcze może od poprzedniego. Przedrażniony jej, a z natury ścisły umysł, ujął odrazu sytuację. Oto ojciec wiedział doskonale o wszystkim, ale uznał za rzecz wygodniejszą nie dawać znać tego po sobie, albowiem wszystko było mu obojętnem, pozatem, by mu nie przeszkadzano żyć wedle upodobania.

Żaklina popadła w bezgraniczną rozpacz. Nie mogła się zdobyć na odwagę pogardy swych rodziców. Kochała ich jeszcze, ale nie była już w stanie żyć pospołu z nimi w jednym domu..

Także przyjaźń z Symonią Adam nie dawała jej już niczego. Z wielką surowością potępiała słabości rozliczne swej koleżanki, nie szczędząc też i siebie samej i cierpiała nad wyraz, z powodu różnych rzeczy brzydkich i niskich, jakie w sobie dostrzegła.

W tej niedoli jedyną jej ucieczką, jedynym schronem było świetlane wspomnienie Marty. Ale wspomnienie to niestety coraz bardziej traciło wyrazistość, w miarę czasu zacierało się do niepoznania. Czuła, iż fala dni, tygodni, miesięcy, przepływa przez te drogie obrazy i zmywa z nich zwolna wszystkie rysy, linie, ślady, że cały trop duszy unosi ze sobą.

Gdy nic nie pozostanie, myślała ze strachem, nastąpi koniec. Bez ratunku wśród ogólnej powodzi upodobni się do innych i zatoni w bagnisku.

Za wszelką cenę trzeba się było wyrwać z tego świata i to nie tracąc ani chwili.

Dusza jej zawołała nagle głosem wielkim:

— Ratunku! Ratunku!

* * *

I zdarzyło się, że właśnie owego czasu rozpaczliwego opuszczenia, namiętnego bólu, tajemniczych, utęskliwych oczekiwań i nadziei beznadziejności pełnych, kiedy ręce wyciągała błagalnie ku nieznanemu zbawcy, spotkała Oliwera.

Pani Langeais nie zaniedbała oczywiście pozyskać dla swego salonu Krzysztofa, który tej właśnie zimy był ogromnie w modzie. Przyszedł, jak zazwyczaj, nie wysilając się bardzo, by się okazać czarującym, Ale pani Langeais była zachwycona. Mógł sobie teraz pozwalać na wszystko, grymasić, besztąć, gadać impertynencje, a rozchwytywano go na wszystkie strony. Był królem kilku miesięcy, a po tym czasie musiał znowu stać się niczem.

Żaklina nie śledząca teraz tak pilnie jak dawniej przejawów życia wielkiego świata nie odczuła tych wszystkich zachwytów, sam zaś już fakt, że tamci ludzie Krzysztofa wynosili pod niebiosy, musiał ją usposobić sceptycznie. Pozatem raziła ją popędlliwość jego, głośnie gadanie, rozpasana wesołość. W obecnym nastroju ducha niechętną była wszelkiej radości i pogodzie. Szukała pólcieniów, szarości, odrętwienia i samotności, wmawiając w siebie, że jej z tem najlepiej. Krzysztof wydał jej się jak prześwietlone słońcem południe w lipcu.

Zdarzyło się jednak, że rozmawiali, a Krzysztof opowiadał jej o Oliwerze, gdyż była mu niezbędną potrzebą serca wciągać przyjaciela we wszystko, co tylko sprawiało jemu samemu przyjemność. Za egoizm byłby sobie wprost poczytał, gdyby nie uczynił próby zwrócenia na Oliwera jakiejś części tych świeżych sympatyj, jakie, zdało mu się, otrzymał w darze od nowych znajomych.

Mówił zaś tak serdecznie i tak dobrze, że Żaklina doznała wielkiej roskoszy, iż istnieje dusza tak bardzo jej duszy pokrewna, odczuła tajemny jakiś pociąg i sprawiła, że Oliwer został zaproszony. Nie od razu się zdecydował przyjść i ta przerwa sprawiła, że w umyśle Żakliny zarysował się jakiś niejasny idealny wizerunek człowieka, który przetwarzać mogła dowoli. Obraz ten był tak zwiewny i mglisty, że Oliwer mimo wszystko musiał się wydać doń podobnym, gdy przyszło do rzeczywistego spotkania.

Zjawił się wreszcie pewnego wieczoru. Siedział nie otwierając niemal ust. Ale słowa były tu zgola zbyt ciche. Oczy jego mądre, uśmiech, wykwinność ruchów, pokój głęboki jaki go otaczał upojną atmosferą, promieniując na otoczenie, wszystko to sprawiło na Żaklinie ogromne wrażenie.

Krzysztof nie mógł uczynić lepiej. Przez kontrast ze sobą rzucił najkorzystniejsze, najwłaściwsze na przyjaciela światło.

Strwożona uczuciem, które jak czuła dobrze, zaczyna kiełkować w jej duszy nie zwracała się doń wprost, ale nie mogła się powstrzymać, by nie rozmawiać o Oliwerze z Krzysztofem ten zaś jak zawsze szczęśliwy, że może rozprawić o jego zaletach, nie spostrzegł z jakim Żaklina przysłuchuje się zajęciem, jak chciwie chwyta każde jego słowo.

Mówił także o sobie, ona zaś słuchała uprzejmie, chociaż nie była tego zgola ciekawą, a po chwili kierowała zrećznie rozmowę na te drobne szczegóły jego życia, w których Oliwer grał wybitną rolę.

Przyjacielska sympatja Żakliny nie mogła pozostać bez wpływu na młodego człowieka w rodzaju Krzysztofa, niezdolnego do jakiegokolwiek postępowania obronnego, pozbawionego wszelkiej ostrożności w stosunkach z ludźmi wielkiego świata. Bezwiednie tedy zakochał się w niej. Odtąd z wielką przyjemnością przzechodził coraz to częściej, ubierał się starannie, a znane mu dobrze zdawna uczucie słodkiej tęsknoty napełniło radosnym rozdzwiekiem każdą myśl jego.

I Oliwer także zakochał się w Żaklinie a stało się to zaraz pierwszego dnia. Widział, że stoi na drugim planie, że się nim nikt nie zajmuje, przeto milczał i cierpiał. Krzysztof pogarszał jeszcze stan jego rozprowadzając za powrotem do domu z radością o czym rozmawiał z Żakliną. Nigdy nie przyszło Oliwerowi na myśl, by się sam mógł podobać. Mimo, że stał się pod wpływem Krzysztofa mniej pesymistycznie usposobionym, a myśli jego nabrały, żywszych tonów, niedostawało mu zawsze jeszcze pewności siebie i nie mógł sobie wyobrazić, by go ktoś mógł pokochać, mierzył się bowiem sam nazbyt krytycznem spojrzeniem.

Tymczasem przecież nikt jeszcze nie posiadał miłości wskutek swych zalet. Miłość jestto dar który ofiarowuje cudotwórcze, wszystko przebaczące serce. Daje, nie pytając zgola rozsądku, czy mu się to mądrem zdaje.

Pewnego wieczoru, zaproszony wraz Krzysztofem, Oliwer oświadczył że czuje się znużony i prosił Krzysztofa, by poszedł sam. Czuł, że nie znieśie dłużej obojętności Żakliny. Wolał już na to wszystko nie patrzeć. Krzysztof nie podejrzewając fałszu poszedł pełen wesela na wizytę. Uniesiony dziecięcym egoizmem uczuwał radość na myśl, że oto będzie miał dziś Żaklinę dla samego siebie.

Ale radość ta nie trwała długo. Gdy się tylko Żaklina dowiedziała, że Oliwer nie przyjdzie, zaczęła zaraz grymasić, stała się nerwową, znużoną, nie wiedziała co robi, zaprzestała wszelkiej kokieterji, nie starając się wcale podobać, nie słuchała wcale Krzysztofa, dawała zgola niestosowne odpowiedzi i ku wielkiemu wstydtowi swego gościa, ziewała, zaledwo to dla przyzwoitości ukrywając.

Zbierało jej się na płacz. Naraz zerwała się z fotelu, opuściła towarzystwo i nie wróciła do salonu.

Krzysztof wracał zupełnie przybity do domu starając się po drodze dojść do ładu z tymi wszystkimi przejawami zachowania się Żakliny. Powoli zaczęła błyskać przed jego oczyma prawda. Zastał

Oliwera, który z udaną obojętnością wziął go na spytki, pragnąc wybadać co się działo na przyjęciu u Langeaisów.

Opowiedział mu dzieje swych niepowodzeń, a w miarę jak roztrząsał szczegóły rozjaśniało się oblicze Oliwera.

— Jakto? — spytał nagle — Przecież byłeś śmiertelnie znużony? Czemuż nie położyłeś się?

— Już mi lepiej! — odparł Oliwer — Nie czuję zmęczenia.

— Widzę, że dużo lepiej dla ciebie, iż zostałeś w domu! — zauważył znacząco i objął go sztycherem i serdecznem jednocześnie spojrzeniem. Poszedł do swego pokoju. Gdy się znalazł sam ze sobą, zaczął się śmiać, zrazu eicho, potem coraz głośniejsze, wreszcie rozradował się tak, że mu łzy napłynęły do oczu.

— Szkaradna dziewczyna! — myślał — Zakpiła sobie ze mnie. Ale i on mnie także paskudnie podszedł! Udawali oboje wyśmienie!

Od tego czasu usunął wszelką myśl osobistą w stosunku do Żakliny i zaczął czuć nad miłością tych dwojga zabobonnych z pieczołowitością kury, chroniącej od przypadku swoje jaja. Nie dawał poznać, że zna tajemnicę, nie zdradził się przed żadnym z nich, dopomagając ciągle w ten sposób, że się wcale nie spostrzegli.

Uważał też za swój obowiązek zbadać dokładnie charakter Żakliny, celem przekonania się, czy Oliwer będzie z nią szczęśliwy. Że jednak był, jak zawsze, niezręcznym, przeto doprowadzał ją do pasy ciągłymi pytaniami jakie ma upodobania, moralne i społeczne poglądy, nudził ją w sposób niemożliwy, tak że go zaczęła naprawdę nienawidzić.

— Cóż za cymbał! Ma jakieś dzikie pomysły? — myślała Żaklina oburzona do żywego. Zaprzestała odpowiadać i nie zwracała nań uwagi.

Oliwer promieniał teraz szczęściem, widząc, że Żaklina nie interesuje się wcale Krzysztofem, zaś

Krzysztof czuł się szczęśliwym szczęściem przyjaciela. Okazywał też swą radość dużo pewniej jak Oliwer. Ponieważ jednak nie zdradził się z powodami tego swego nastroju, przeto Żaklina nie mogła pojąć co się stało. Znienawidziła go tem bardziej, nie wiedząc iż dostrzega jaśniej od niej samej uczucie płonące w jej sercu. Niecierpiała Krzysztofa serdecznie i wydziwić się nie mogła poco Oliwer wziął sobie na kark tak uciążliwego i prostackiego przyjaciela. Przyjaciół ten zaś czytał w niej jak w otwartej księdze i cieszył się niewymownie ile razy udało mu się doprowadzić Żaklinę do pasji.

Niedługo jednak potem zniknął, wycofał się w zacisze domowe, pod pozorem pilnej pracy przestał bywać u Langeais'ów i zostawił Żaklinę z Oliwerem sam na sam.

Nie był jednak spokojny. Przyszłość Oliwera nie przedstawiała mu się w zbyt różowych barwach. Wydawało mu się przytem, że ponosi większą część odpowiedzialności za to, kojarzące się najwidoczniej małżeństwo. Smuciło go wiele rzeczy, wyrobił sobie bowiem o przyszłej żonie przyjaciela sąd na ogół trafny, przeto obawiał się dla Oliwera zarówno bogactwa Żakliny, jak i jej otoczenia, oraz słabości charakteru.

Mimowoli przychodziło mu na myśl porównanie z Violetą. Uświadomił sobie coprawda, że Żaklina była o wiele szerszą, bardziej prawdomówną i namiętną. Małą jej osobkę rozpierało wprost pożądanie życia czynnego, aktywnego. Mieszkały jakieś, niemal bohaterkie porywy i zamierzenia w tej drobnej osobce.

— Ale nie dosyć pragnąć! — myślał, przywołując sobie na myśl dowcip starego Diderota. — Trzeba być odpowiednio zbudowanym!

Zbierał się nieraz, aby ostrzedz Oliwera. Ale przyjaciel wracał od Żakliny zawsze tak upojony szczęściem, że nie mógł się zdobyć na słowa trzeźwe i gorzkie.

— Te dzieci są pijane miłością! — myślał. — Nie podobna mieć im szczęścia.

Z biegiem czasu miłość dla Oliwera sprawiła, że zaprzestał krytykować Żaklinę i nabrał do niej zaufania, jakim był ożywiony przyjaciel. Rozchmurzył się, porzucił podejrzenia i uwierzył, że Żaklina jest w samej rzeczy taką jaką się przedstawia teraz Oliwerowi, a jednocześnie i samej sobie. Miała przecież tyle dobrych chęci! Kochała Oliwera dla niego samego, dla tego, czem różnił się od otaczającego ją świata, kochała go za jego ubóstwo, za surowe zasady moralne, nawet za niezdarność, z jaką obracał się w wielkoświatowych salonach.

Kochała go miłością czystą i tak wyłączną, że radaby była zubożeć i stać się jemu podobną, czasem nawet, w pewnych momentach godziła się zbrzydnąć, tylko po to, by nabrać pewności, że ją kocha dla niej samej; dla miłości, jaka rozpiera jej serce, wypełniając sobą całe jestestwo, pożądając ziszczenia...

Czasem siedząc obok Oliwera, nagle czuła, że błędnie, a ręce jej drżeć zaczynają. Usiłowała ukryć swe podniecenie, udawała, że zajmuje się czemś innym, że zaledwo dostrzega ukochanego i zaczynała dowcipkować i drwić ze wszystkiego. Nagle urywała, biegła do siebie, zamykała się na klucz, zapuszczała firanki i siedziała, ścisnąwszy kolana, łokcie wtuliwszy w boki, z rękami na piersiach skrzyżowanymi. Serce jej biło gwałtownie. Siedziała skulona bez ruchu, nie śmiać oddychać, uczynić najmniejszego gestu z obawy by nie spłoszyć szczęścia. Otulała się w swą miłość, niby precudną, wonną, drogocenną szatę.

Teraz zajął się Krzysztof z całą namiętnością sprawą Oliwera. Szło o to, by rzecz doprowadzić do końca szczęśliwego. Troszczył się o niego jak matka, zainteresował się jego ubiorem, zważał nawet za stosowne udzielać mu rad, jak się ma zachowywać. Własnoręcznie zawiązywał mu krawat na szyi, czyniąc to w niemożliwy zresztą sposób.

Oliwer znosił wszystko cierpliwie, ale na schodach, gdy Krzysztof nie widział, musiał z gruntu

przerabiał węzeł krawatki, gdyż byłby wzbudził śmiech szydrczy w salonie Langeais'ów. W duchu musiał pokpiwać z wysiłków Krzysztofa, był nim jednak równocześnie do głębi wzruszony.

Z drugiej strony miłość uczyniła go jeszcze bardziej nieśmiałym i nieporadnym, zasięgał tedy chętnie rady przyjaciela i opowiadał mu szczegółowo o każdej ze swych bytności u Żakliny.

Krzysztofa poruszało to wszystko równie silnie jak samego Oliwera, toteż nieraz w nocy leżał całemi godzinami bezsennie rozważając w jaki sposób mógłby wyrównać drogę miłości przyjaciela i usunąć znajdujące się na niej przeszkody.

* * *

W okolicy Paryża, w parku wili Langeais'ów, położonej malowniczo na skraju lasu w miejscowości Isle Adam miała miejsce rozmowa Oliwera z Żakliną, która rozstrzygnęła stanowczo losy obojga.

Krzysztof towarzyszył przyjacielowi na miejsce spotkania, ale wnet ujrzawszy pianino, uciekł grać i zostawił zakochanych sam na sam. Szli obok siebie alejami parku. W gruncie rzeczy nie życzyli sobie tego wcale, przeciwnie, bali się samotności. Żaklina była milcząca, a nawet jakoś, jakby wrogo usposobiona. Oliwer, już czasu poprzedniej bytności spostrzegł w niej nagłą zmianę usposobienia. Dotknęła go nawet jakaś oziębłość, szczególne, dziwne spojrzenia, niemal twarde, niemal odpychające.

Czuł, że lodowacieje od nich i nie miał odwagi rozpocząć rozmowy, gdyż bał się niesłychanie, że otrzyma z ust ukochanej odpowiedź okrutną, odmowną. Przeraził się tedy widząc, że Krzysztof odchodzi. Wydawało mu się teraz, że on jeden ochronić go może swą obecnością przed ciosem, który nań niechybnie spaść musi.

Żaklina nie przestała kochać Oliwera, kochała go z dniem każdym bardziej. Ale to właśnie uspaśniało ją dlań wrogo. Miłość, którą się zabawiała niegdys, której pragnęła potem i pożądała, miłość zawsze

daleka i nieznana stanęła przed nią nagle we własnej osobie. Rozwarła się tuż pod nogami niby tajemnicza przepaść. Cofnęła się przerażona, struchlała.

Nie mogła teraz niczego pojąć.

Pytała: — Co to jest? Dlaczego? Co to ma znaczyć?

Objęła Oliwera spojrzeniem, które go do krwi ugryzło i pomyślała:

— Cóż to za człowiek?

Nie wiedziała. Był jej zgola obcy.

— Czemuż ja go kocham?

Nie mogła dać sobie odpowiedzi.

— Czyż go kocham naprawdę?

Nie wiedziała i tego również... nie wiedziała nic... czuła tylko, że wszystko co było dawniej, przypadło... że została schwytana, bez ratunku pozbawiona swobody. Oplątały ją algi miłości, musiała niechybnie pograżyć się we fali wraz z wolą własną, wolnością egoizmem, snami przyszłości. Wszystko to miało stać się pastwą Molocha. Serce jej wezbrało buntem. Gniew ją ogarnął. Chwilami czuła względem Oliwera nienawiść.

Przyszli na sam koniec parku, do ogrodu wazywnego, gdzie stały rzędami niskie, rozłożyste drzewa owocowe wzdłuż ścieżek wysadzonych krzakami porzeczek, obwieszonych czerwonymi i blade-złotymi jagodami. Rabaty poziome słęły woń silną, odurzającą. Był czerwiec, powietrze jednak ochłodziła nieco burza. Niebo było szare, stłumione, światło mrzyło poprzez chmury skłębione, nisko zwisające, pędzone wiatrem. Ale na dole wiatru tego czuć nie było, nie zadrgał ani jeden listek.

Smutek jakiś głęboki objął świat rozkwiecony, rozbłysły owocami, objął też powagą serca, napełnione wielką, bujną, skupioną miłością i szczęściem.

A zdala, od strony parku, dolatywały przez otwarte okna akordy fugi E-mol Sebastjana Bacha.

Pobladli, cisi, niezdolni wymówić słowa, usiedli na kamiennej cembrowinie studni, a Oliwer spostrzegł że po twarzy Żakliny spływają łzy.

— Pani płacze? — wyszeptał drżącymi wargami i uczył sam łyż w oczach.

Ujął jej dłoń.

Pochyliła głowę na jego ramię. Przestała walczyć, uznała się pobitą.

O, jakże jej się nagle lekko uczyniło na sercu! Siedzieli płacząc z cicha i słuchali muzyki. A nad nimi sunęły coraz niżej chmury i wiatr zaczął muskać wierzchołki drzew. Myśleli o wszystkim co wycierpieli... a może, ktoś wie... i o tem co ich czeka w przyszłości, o przejściach dni najbliższych i całego, dalszego życia?

Są chwile, kiedy muzyka wydobywa na powierzchnię duszy cały, skryty na jej dnie smutek, oplatający swą ośnową życie człowieka...

Po długiej chwili Zaklina otarła oczy, spojrzała na Oliwera i nagle... objęli się w ramiona... Uczuli niewysłowioną szczęśliwość, święte upojenie, tak słodkie i głębokie, tak intensywne, że niemal ból sprawiało.

* * *

— Czy siostra twoja była do ciebie podobną? — spytała Zaklina.

Oliwer drgnął przerażony.

— Czemuż wspominasz o niej? — spytał — Czyliż ją znałaś?

Krzysztof mi o niej opowiadał... — rzekła — Wiem ile przecierpiałaś...

Oliwer potwierdził skinieniem. Nie mógł mówić ze wzruszenia.

— I ja wiele przecierpiałam... — powiedziała.

Zaczęła opowiadać o zmarłej ciotce, kochanej swojej Marcie. Zwierzała się drżącym głosem, jak płakała, jak strasznie płakała całymimi tygodniami i miesiącami.

Ty mi dopomożesz? Prawda... — prosiła błagalnie... — dopomożesz być dobrą, żyć uczciwie, stać się choć trochę podobną do niej! I pokochasz... powiedz, że ją choć troszkę będziesz kochał!

— Będziemy razem kochać obie, podobnie jak się teraz kochają w zaświatach.

— Radabym, by były z nami! — westchnęła.

— Ależ są przy nas w tej chwili.

Siedzieli przytuleni do siebie, bali się mocniej oddychać, czuli tętnienie własnych serc.

Naraz uczeni, że pada drobny, rzęsy deszcz. Zakliną wstrząsnął dreszcz.

— Chodźmy! — powiedziała wstając.

Pod drzewami było prawie ciemno. Oliwer ucałował mokre włosy Zakliny. Podniosła głowę ku niemu i uczył na swych wargach poraz pierwszy jej dziewczęce, gorące, nieco szorstkie usta. Ogarnęło ich upojenie, nie wiele brakło, by stracili zmysły.

W pobliżu domu zatrzymali się raz jeszcze.

— Jakże samotni byliśmy dotąd? — powiedział Oliwer.

Zapomniał całkiem o Krzysztofie.

Przypomnieli sobie jednak niedługo. Muzyka uciechła tymczasem. Zastali Krzysztofa przy pianinie z głową opartą na rękach, zadumanego, zaprzeczającego w marzeniach o przyszłości. Na odgłos otwieranych drzwi zbudził się i spojrzał ku nim poważnym, a serdecznym, braterskim wzrokiem. Był szczęśliwy, promieniał, czytał bowiem w ich oczach co się stało. Ucisnął im gorąco dłonie i powiedział:

— Siadajcie! Zagram wam coś!

Usiedli, a on grał co mu tylko przepłynęło przez serce, śpiewał miłość, jaką czuł dla nich w tej chwili.

Gdy skończył, siedzieli wszyscy troje w głębokim milczeniu długi czas. Potem Krzysztof wstał i przyjrzał im się. Miał minę dobrotliwą, ojcowską niemal, zdał się o tyle starszym, silniejszym, większym...

Po raz pierwszy poznała Zaklina, jakim jest wistocie.

Objął ich oboje razem ramionami i powiedział Zaklinie:

— Będzie go pani bardzo kochała? Prawda? Nakazuję wam, miłować się z całego serca!

Przejęła ich głęboka wdzięczność. Uczuli, że ich połączył.

Roześmiał się wesoło, przystąpił do okna i wyskoczył do ogrodu.

* * *

Niebawem po tych wydarzeniach radził Oliwrowi Krzysztof, by prosić rodziców Żakliny o jej rękę. Ale Oliwer nie miał odwagi, bał się odmownej odpowiedzi. Nalegał nań też Krzysztof, by się starał o jakieś stanowisko, nie wypadało bowiem w razie zgody rodziców brać żony z posagiem, nie mogąc jej ze swej strony zapewnić bodaj skromnego utrzymania.

Oliwer był tego samego zdania, chociaż nie podzielał pesymistycznych, zdaniem jego nieco komicznych zapatrywań jego na małżeństwo. Krzysztof wbił sobie mianowicie w głowę, że bogactwo nieodwołalnie niszczy duszę i przekonania tego bronił z zaciekleścią bezprzykładną. Z upodobaniem powtarzał żarcik pewnego głodomora, na jaki sobie tenże pozwolił wobec damy zagłębiającej się w kwestje pozagrobowe.

— Jakto łaskawa pani? Posiadając miliony, pożąda pani ponadto jeszcze nieśmiertelnej duszy?

Pouczał też Oliwera pół żartem, pół serio:

— Powiadam ci, strzeż się kobiety! — Strzeż się mój drogi zwłaszcza kobiety bogatej. Może ona czasem kochać sztukę, atoli artystę niweczy z reguły. Bogata kobieta zatruwa zarówno sztukę jak i jej adepta. Bogactwo jest chorobą, a chorobie tej opiera się kobieta trudniej jeszcze niż mężczyzna. Bogactwo jest to istota sprzeczna z naturą. Śmiejesz się, kpisz sobie ze mnie? Pomyśl tylko, czy bogacz ma pojęcie co to jest życie? Czyż ma jakikolwiek realny kontakt z twardą rzeczywistością? Czyż czuje na obliczu swojem lodowaty powiew nędzy? Czy zna zapach czarnego chleba, zapracowanego własnymi rękami, lub ziemi, którą orać musi w pocie czoła? Zaprawdę, powiadam ci: nie zna on i znać nie może właściwej istoty rzeczy, nie wie co to świat i człowiek.

Przed latami, kiedy byłem jeszcze dzieckiem zdarzyło się parę razy, że wzięto mnie na przejażdżkę powozem księcia panującego. Powóz toczył się drogą otoczoną łąkami. Każde dźbło trawy znałem tam doskonale. Potem wjechał w lasy, które przewędrowałem niezliczone razy i które kochałem całym sercem. I oto powiadam ci: nie widziałem ani łąk, ani lasów. Cały ten znany mi pejzaż wydał mi się nagle tak sztywny i bezosobowy, jak błazny-łokaje, którzy namie wieźli powozem.

Pomiędzy owe łąki i lasy zasunęła się przysłona tych dusz — manekinów. Starczyło na to czterech desek, które miałem pod nogami, starczyło stopnia przesuwającego się ponad ziemią.

Jeśli mam czuć, że ziemia jest moją matką, to nogi moje mają być wkorzenione w jej łono, muszę być z nią złączony jak noworodek wychylający się na światło słońca. Bogactwo przecina nici wiążące człowieka z ziemią, łączące spodem wszystkie tej ziemi dzieci.

Jakże chcesz, bogatym będąc, pozostać ponadto jeszcze twórcą? Artysta jestto przecież głos ziemi. Bogacz nie może być nigdy artystą prawdziwym. A jeśliby się zdarzyło takie dziwne zjawisko, to artysta ten, wobec niekorzystnych warunków swoich musiałby mieć tysiąckrotnie więcej talentu od wszystkich współczesnych sobie. Cowięcej, gdyby nawet i to nastąpiło, to twórczość jego byłaby cieplarnianna, sztuczna i nieżywiolowa!

Goethe sam, gigant, górujący ponad tylu innymi, posiada duszę o członkach okaleczonych, brak jej też niezbędnych organów, bogactwo je unicestwiło! Ty, nie posiadając siły Goethego w sobie, stałbyś się pastwą bogactwa, zostałbyś pochłonięty przez bogatą kobietę, czego przynajmniej Goethe zdołał uniknąć.

Ale mimo wszystko co wymienilem, mężczyzna może jeszcze walczyć z tą plagą. Posiada on w sobie tyle wrodzonej dzikości, taki naturalny zapas prymitywnych instynktów żywiołowych wiążących go ze ziemią, że sam dla siebie posiada jeszcze niejaki

szanse wygranej, liczyć może przynajmniej na to, że ujdzie z życiem. Kobieta jednak nie posiada żadnej na truciznę dostatku odporności, ginie sama i przenosi na drugich zarazki. Czuję się dobrze w przesiąklej perfumami śmiertelnej atmosferze bogactwa i nie może się już bez niej obejść.

Kobieta, która w otoczeniu przepychu zachowywałaby zdrowe serce, taką samą byłaby anomalią takimi samym cudem, jak milioner-genjusz.

Pozatem nie znoszę anormalności. Kto posiada więcej, niż mu potrzeba do życia, jest nienormalny, jest rakiem w ludzkiej postaci, toczącym swoich bliźnich.

Oliwer roześmiał się:

— Cóż mam tedy uczynić? — spytał — Nie mogę przecież wyrzec się miłości Żakliny dlatego tylko, że jest bogata, z drugiej strony nie mogę też zmusić jej do nędzy dlatego, że mnie kocha!

— Dobrze... — odpowiedział Krzysztof — Jeśli już jej uratować nie możesz, ratuj przynajmniej siebie samego, a w ten sposób i jej także przyjdiesz z pomocą. Pozostań czystym! Pracuj! Nie daj się skusić!

Ale nie było potrzeby uwag Krzysztofa i jego przedstawień. Oliwer posiadał duszę aż nazbyt wrażliwą i nie brak w niej było zawikłań, obaw i trosk. Coprawda wyeieczki Krzysztofa przeciw pieniądzw wydały mu się poniekąd humorystycznymi. Sam przecież ongiś posiadał majątek znaczny i bogactwo go wcale nie odstraszało. Przeciwnie, śliczna buzia Żakliny w oprawie dostatku wydała mu się całkiem stylową. Ale cierpiał z powodu, że mógł ktoś jego miłość potraktować jako interes dyktowany chciwością. Takich bał się podejrzeń i zaczął zaraz rozmyślać nad podjęciem napowrót swojej kariery nauczycielskiej.

Narazie mógł co najwyżej uzyskać lichy płatne miejsce profesora gimnazjalnego na prowincji. Byłby to nieszczególny podarek ślubny dla Żakliny. Zagaił z nią raz na ten temat rozmowę. Żaklina z początku nie mogła po prostu zrozumieć jego argumentów.

Przypisywała je przesadnej dumie, wpływowi Krzysztofa i skwalifikowała je jako śmieszność. Zadziwiała ją poprostu, że tutaj Oliwer mógł znaleźć pole do jakichś skrupułów. Cóż prostszego nadto, by dzielić bogactwo, lub nędzę z ukochanym. A zresztą, czyż nie jestto małostkowem wzbraniać się z przyjęciem daru, który dającego taką napęla radością?

Po namyśle zgodziła się jednak na plan Oliwera. To właśnie, że mieścił w sobie pierwiastek askezy i wyrzeczenia, pociągało ją najbardziej. Była tu sposobność próby sił duszy. Zbuntowała się przeciw swemu otoczeniu, wycierpiała wiele, opór wzrosł jeszcze wraz z miłością, wyolbrzymiał, rozplonęło w niej pożądanie życia wielkiego, na szczytach. Szczegółowo i śmiało podejmowała walkę o byt, była czysta, piękna, wydała się sobie samej łukiem napiętym ze strzałą na cięciwie, skierowaną w cel wzniosły, szlachetny, szczęśny i dostojny. Trudności życia, braki, szczupłe dochody w przyszłości, wszystko to sprawiło jej samą jeno radość.

Pani Langeais była w tym czasie bardzo zajęta sobą, nie zwracała też wcale uwagi na to co się działo wokół niej. Od kilku miesięcy interesowała się wyłącznie swym zdrowiem, spędzała całe dni na pielęgnowaniu się i leczeniu jakichś imaginarnych chorób. Lekarze zmieniali się ustawicznie. Przerzucała ich dziesiątkami, a każdy nowy, gdy nań przyszła kolej wydawał jej się zbawcą i aniołem. W roli tej, atoli żaden ponad dwa tygodnie utrzymać się nie mógł i ustąpić musiał miejsca szczęśliwшему kole-dze. Po całych miesiącach przebywała zdala od domu w bardzo kosztownych sanatorjach i przestrzegała tam z, pokorą, nabożeństwem i poddaniem się wszelkich, najkonieczniejszych przepisów lekarskich. O mężu i córce zapomniała zupełnie.

Pan Langeais mniej obojętny, a zarazem bystrzejszy, spostrzegł niebawem, że się na coś zanosi w domu. Ojcowską zazdrością powodowany, zaczął śledzić pilnie każdą poszczególną wizytę Oliwera.

Kochał on żaklinę owem dziwnem, niepokoju pełnem uczuciem, jakie niemal zawsze towarzyszy miłości ojca dla córki dorosłej, chociaż żaden ojciec nie wyznałby tego pewnie. Było to nieokreślone tajemnicze, zmysłowe, chociaż do pewnego stopnia uświęcone pożądanie odzicia raz jeszcze w tworach swej własnej krwi, które się odczuwa jako własne ja, a które jednocześnie nieprzeparcie przez swą kobiecość wabi. W tajniach serc ojców mieści się tyle zawikłań, tyle tam światła i cieniów, że uczucie zdrowe najchętniej zamyka na nie oczy i idzie po linii najprostszej, chociaż najbanalniejszej. Boi się zboczyć na manowce.

Sprawiło mu dotąd przyjemność patrzeć jak żaklina zawraca głowy rozlicznym młodym lewkom salonowym. Lubił ją w tej roli kokietki romantycznej, a przytem mądrej życiowo i praktycznej. Sam był takim. Spostrzegłszy jednak, że sprawa zaczyna przybierać poważniejszy obrót zatroskał się nie na żarty.

Odtąd kpił sobie często w obecności Żakliny z Oliwera, poddając go krytyce dosyć surowej i bezwzględnej. Żaklina roześmiała się pewnego dnia i powiedziała:

— Nie mów o nim tyle złego, drogi papo! Byłoby ci potem przykro, gdybym się namysliła wyjść za niego.

Pan Langeais podniósł straszny protest, zaczął wymyślać i nazwał ją w końcu szaloną. Był to najpewniejszy sposób doprowadzenia do szaleństwa prawdę. Oświadczyła przeto, że właśnie namysliła się i wychodzi za mąż za Oliwera.

W ten sposób rzecz stanęła jasno. Ojciec spostrzegł, że nie był dla niej niczem i to go oburzyło do żywego. W zaślepieniu swem nie przypuszczał nigdy tej ewentualności. Rozgniewał się na dobre i poprzysiągł, że noga Krzysztofa ni Oliwera nie zostanie odtąd w jego domu.

Żaklina zacięła się. I pewnego dnia Oliwer spostrzegł ją z przerażeniem w swoim pokoju. Błada,

zdenierwowana, zdecydowana na wszystko wpadła wołając:

— Porwij mnie! Skompromituj! Rodzice nie chcą, ale ja chcę! Prostu weź mnie sobie i koniec!

Oliwer był tak przestraszony, a jednocześnie rozrzucony, że nie próbował nawet rozważać rozsądnie sprawy. Szczęściem był w domu Krzysztof. On, który uchodził zawsze za postrzelonego, niepraktycznego w najwyższym stopniu przywiódł ich do rozważy, wywodząc jak bardzo zaszkodzi skandalem zarówno sobie jak i całej rodzinie.

Żaklina gryzła niecierpliwie wargi, wreszcie powiedziała:

— Głupstwo! Potem odbierzemy sobie życie!

To oświadczenie, miast przerazić Oliwera utwierdziło go tylko w postanowieniu, a Krzysztof miał strasznie wiele trudu, nim tych dwoje warjatów przekonał i doprowadził do równowagi. Wy tłumaczył im, że przed sięganiem po środki desperackie winni spróbować naprzód zwyczajnych i mniej skrajnych. Żaklina miała, tak postanowiono, wrócić do domu, a Krzysztof postanowił udać się osobiście do pana Langeais dla tentowania ugody.

Dziwny to był zaiste pośrednik! W pierwszej chwili pan Langeais omal nie wyrzucił go za drzwi, ale Krzysztof wydał mu się tak śmiesznym, że z trudem zachowywał poważną minę.

W miarę jednak jak słuchał przemówienia Krzysztofa, zmieniał się jego pierwotny nastrój. Poważne, pełne godności zachowanie się jego sprawiło na nim wrażenie. Ale nie ustępował z placu i miotał nań ustawicznie strzały ironji.

Krzysztof udawał, że nie słyszy. Nakoniec uczuł tkwiące w sobie zatrute grot. Zamilkł. Gniew nim zakołysał. Palnął pięścią w stół i krzyknął:

— Przestań pan! Wizyta w pańskim domu nie sprawia mi żadnej przyjemności. Muszę sobie zadawać gwałt, by usiedzieć na krześle. Dlatego też nie odpowiadam także na niektóre z pańskich uwag. Proszę, zaprzestań pan! Mówię, bo uważam za swój

obowiązek rozmówić się z panem. Usunąć pan na bok moją osobę, jak ja to czynię i zechciej rozważyć moje słowa. Idzie przecież o pańską córkę!

Pan Langeais wystawił uszu, posłyszawszy o planie samobójstwa. Potem uśmiechnął się blado, bez przekonania. W gruncie serca był bardzo wzruszony. Zbyt był rozsądny, aby tego rodzaju pogrożki brać za żarty i uświadomił sobie, że ma się tu do czynienia z nieodpowiedzialną, opanowaną uczuciem dziewczyną. Przytem przeżył już raz straszną chwilę. Oto jedna z jego kochanek, dziewczyna łagodna i wesoła, której słów nigdy nie brał seryo, pewnego dnia zapowiedziawszy, że się zastrzeli, w jego oczach palnęła sobie w łeb z rewolweru.

Nie mógł zapomnieć tej sceny. Samobójczyni żyła jeszcze czas jakiś, męcząc się strasznie... Nie... nie, pomyślał, z babami nie można żartować... licha wie... licha wie... Ścisnęło mu się serce w pierśiach...

— Chce go koniecznie mieć! Niechże sobie bierz! Tem gorzej dla głupiej dziewczyny!

Pomyślał tak i zdecydował się raczej dać przyzwolenie niż doprowadzać Zaklinę do ostateczności. Przemknęło mu jeszcze, że mógłby dać odpowiedź wymijającą i żądać czasu do namysłu. W ciągu kilku miesięcy mógłby Zaklinę powoli, systematycznie odsuwać od Oliwera i oziębiać jej uczucie dla poety. Ale zaraz porzucił ten pomysł. Musiałby się okropnie napatygować, nadreżyć, porzucić swe własne przyjemności. Był za słaby, nie umiał postępować z premedytacją, o ile mu chodziło o niego samego. Fakt, że powiedział Zaklinie kategorycznie „nie!” pchał go teraz w drugą ostateczność. Kusiło go powiedzieć „zgoda!” Tak bywa u ludzi chwiejnych. Przytem... czyż wie się naprawdę co jest życie?... A więc ta warjotka ma słuszość? Rzecz główna, to przecież... miłość... tak, tak... nie wstydzmy się wyznać szczerze...

Pan Langeais wiedział dobrze, że Oliwer to chłopak porządny, pracowity, wykształcony, z do-

brego domu... podobno miał nawet trochę talentu... tak powiadano.

Przeto zdecydował się i dał swe przyzwolenie.

* * *

We wilgę ślubu spędzili przyjaciele znaczną część nocy na rozmowie. Nie chcieli stracić ani chwili z okresu miłości wzajemnej, który zachodził już, jak się zdawało, w przeszłość. Zachodził w przeszłość istotnie, dzień następny miał być nową erą.

Mieli to samo urojenie, jakie nachodzi żegnających się na peronie. Chwytają ostatnie chwile smutnego ze sobą obcowania, radzi, że pociąg się spażnia, a świadomi, że i tak wszystko doczesne. I staje się, że zmusza się każdy do pozostania, do patrzenia na drugiego, do rozmowy... Tymczasem dusze wiedzą co innego: przyjaciela już niema, już jest daleko.

Krzysztof próbował rozmawiać. Ale urwał w środku zdania, ujrawszy roztargnione oczy Oliwera i powiedział z uśmiechem:

— Jakżeś ty już daleko!

Oliwer tłumaczył się z zakłopotaniem. Przykro mu było, że myśli mu się rozlatywały i nie mógł ich skupić właśnie w tych ostatnich chwilach przyjacielskiego sam na sam.

Ale Krzysztof uściśnął dłoń jego i rzekł:

— Nie zmuszaj się... nie zmuszaj... proszę cię serdecznie. Jestem szczęśliwy twojem szczęściem. Nie krępuj lotu swych marzeń!

Stáli w otwartym oknie, przytuleni do siebie i patrzyli milcząc w głąb objętego mrokiem parku.

Po chwili rzekł Krzysztof:

— Uciekasz odemnie? Sądzisz, że zdołasz uciec? Myślisz ciągle o swojej Zaklinie. Nic z tego, niedługo cię dogonię... i ja bowiem myślę o niej.

— Mój drogi... — odparł Oliwer — myślałem także i o tobie i nawet...

Urwał.

A Krzysztof dokończył zdania:

— I nawet czyniłem wysiłki, ażeby o tobie myśleć.

* * *

Krzysztof zrobił się na tę uroczystość pięknym, niemal eleganckim. Ale nie było ślubu kościelnego. Oliwerowi nie zależało na tem, Zaklina wołała ślub cywilny, przez przekorę i dlatego, że wszyscy oczekiwali ślubu w kościele.

Krzysztof skomponował na ten dzień nawet symfonię osobną, ale cofnął ją w ostatniej chwili, uświadomiwszy sobie, czem jest właściwie ślub cywilny. Sam obrzęd wydał mu się wprost śmiesznym. I rzeczywiście trudno było zachować powagę i dostojność. Nie było tu nic ani dla katolika, ani wolnomysliciela. Jeśli katolik usiłuje stać się wolnomyslnym, to przecież nie poto, aby jakiemuś urzędniczynie państwowemu przyznać godność kapłańską.

Religii państwowej nie przysługuje prawo pośredniczenia pomiędzy Bogiem, a sumieniem. Państwo nie łączy dusz, protokołuje tylko poprostu, że tak a tak się stało i na tem koniec.

Ślub Zakliny z Oliwerem nie dał powodu Krzysztofowi do żalu. Oliwer słuchał gadaniny urzędnika, odwrócony półtwarzą od niego i uśmiechał się ironicznie z jego słów, przepelnionych prostactwami pochlebstwami dla młodej pary, teścia, jego pieniędzy i uorderowanych świadków.

Zaklina nie słuchała wcale. Raz nawet ukradkiem pokazała język Symonji Adam, wpatrującej się w nią uporczywie. Założyła się z nią, że małżeństwo nie wyrwie na niej najmniejszego wrażenia i miała wszystkie szanse wygranej, albowiem niemal nie zdawała sobie sprawy, iż to ona sama wychodzi za mąż. Radowało ją to bardzo. Inni trzymali się sztywnie, poważnie, robiąc miny obliczone na galerję. A galerja ta badała wszystko z wielką akuracnością i surowością nieprzejednaną.

Pan Langeais nadęty był, jak paw. Chociaż szczerze kochał córkę, było dlań rzeczą główną badanie min zaproszonych i liczenie ich, dla przekonania się czy kogoś przypadkiem nie opuścił.

Jeden tylko Krzysztof był wzruszony, jednoczyć sam we własnej osobie uczucia młodej pary, rodziców i księdza. Wpatrywał się w Oliwera, który go nie widział wcale.

Wieczorem odjechali młodzi do Włoch. Krzysztof i pan Langeais odprowadzili ich na dworzec. Byli oboje nad wyraz szczęśliwi, nie objawiali ani śladu smutku z powodu rozstania i nie kryli się wcale z niecierpliwością, z jaką wyczekiwali odlotu. Oliwer miał minę studencika, Zaklina wyglądała, jak podłotek. Jakaś smętku pełna słodycz leży w takim pożegnaniu. Ojciec bywa nieco smutny, nieco zdziwiony, że oto jego córkę porywa ze sobą ktoś obcy i uwozi niewiadomo jakim prawem i dokąd... w każdym zaś razie zabierając mu ją nieodwołalnie i nazawsze.

Młodzi zaś czują jedno tylko, ulgę ogromną i swobodę bezgraniczną. Życie leży przed nimi, bezkreśne życie, przeszkody znikły bez śladu, wydaje im się, że stanęli na jakimś szczycie. Teraz można już umrzeć, posiadało się wszystko, niema się czego obawiać. Coprawda, nie długo przekonają się, że był to jeno krótki wypoczynek wśród walki. Droga wiedzie dalej wzdłuż góry, pnie się kędyś, to znów spada w wąwozy niespodzianie i niewielu ludzi dociera do drugiego przystanku, drugiego schroniska...

Pociąg porwał ich i uwiózł w czarną noc. Krzysztof wracał sam na sam z panem Langeais. Sześć chwilę w milczeniu, wreszcie Krzysztof powiedział żartobliwie:

— I oto zostałem wdowcem!

Pan Langeais roześmiał się. Polubił Krzysztofa bardzo, poznaawszy go bliżej i wyzbył się uprzedzeń i obaw.

Po chwili powiedzieli sobie: „do miłego widzenia” i rozstali się. Obaj nie mogli wyzbyć się jakiegoś dziwnego smutku, połączonego z pewną słodką ża-

dumą. Krzysztof znalazłszy się w swoim mieszkaniu powiedział głośno:

— Moje lepsze „ja“ jest szczęśliwe!

Nic nie zmieniło się w pokoju Oliwera. Ułożyli się, że aż do czasu powrotu młodej pary i przeniesienia się do nowego mieszkania, wszystkie meble Oliwera, książki i pamiątki pozostaną u Krzysztofa. Nic przeto nie świadczyło o jego nieobecności. Krzysztof spoglądał długo na wszystkie strony, potem wziął fotografię Antosi postawił ją przed sobą na stole i spytał szeptem:

— Czyś zadowolona droga moja?

* * *

Pisywał do Oliwera często, trochę za często nawet, otrzymał zaś kilka zaledwo odpowiedzi krótkich i roztargnionych. Stawały się coraz jakby chłodniejsze, mniej przytomne. Smuciło go to, ale nie wyprowadziło z równowagi. Mówił sobie, że tak być musi i nie troskał się o przyszłe losy przyjaciela.

Samotność nie ciążyła mu zresztą nadmiernie. Przeciwnie, gdyby wszystko szło po jego myśli, mógłby żyć w jeszcze większym odosobnieniu. Rola „Grand Journal'u“ występującego ciągle jako jego opiekun, zaczęła mu porządnie dokuczać. Arseniusz Gamache był przekonany do głębi, że posiada prawo własności tych gwiazd, które raczy odkrywać. Uważał się tedy za pana Krzysztofa i jego władcę, podobnie jak Ludwik XIV Moliera Lebrun'a i Lully'ego, których posadzał na stopniach swego tronu.

Krzysztof przyszedł do przekonania, że nawet kompozytor „Pieśni Egira“ nie może być chyba bardziej majestatyczny, a zarazem więcej szkodzić sztuce, jak jego władca z „Grand Journal'u“. Albowiem dziennikarz ten, nie mający zgoła pojęcia o sztuce wygłaszał w tej materji poglądy straszliwe i chciał ponadto, by go słuchano. Brał się do rzeczy w sposób ogromnie uproszczony. Co mu się nie podobało, albo czego nie rozumiał odrzucał bez pardonu od-

mawiając mu, wszelkich zasad istnienia i oświadczał imieniem społeczeństwa, oraz dla jego dobra, iż dzieło to jest złe, bezpodstawne i nie należy nań zwracać uwagi.

Sprawa stała naprawdę fatalnie. Owi, niepowołani arbitrowie, ordynansi, prostacy ludzie pozbawieni wszelkiej kultury, a uzurpujący sobie nietylko sąd o tejże kulturze ale nawet wytyczający drogi ducha, przeznaczili dla ducha onego za schronisko psią budę i dawać mu chcieli strawę pod warunkiem, że da się wziąć na łańcuch.

Jeśli by nie chciał jadać z ręki i z nosić straży, mieli w rezerwie sforę posłusznych i wytresowanych matolków, czekających jeno gwizdnięcia. Gotowi byli zaszczyć opornego na śmierć.

Krzysztof nie był to człowiek nawykły do posłuchu i kultu autorytetów. Śmieszyło go wprost, gdy jakiś osioł wykladał mu co ma czynić, a czego zaniechać w zakresie muzyki.

Otwarcie powiedział też raz pewnego, że muzyka nie znosi nieuctwa i błazeństwa, że należy coś umieć naprawdę, nie można być zaś idiotą jak się to zdarza w zakresie polityki.

Odrzucił rzeczywiście, nie owijając w bawełnę, propozycję podłożenia muzyki, pod jeden niedołężny tekst, którego autorem był współpracownik dziennika. Autor posiadał znaczne wpływy, a projekt ten popierał sam Gamache.

Ale Krzysztof odmówił stanowczo, oświadcza-
jąc, że tekst nic nie wart i to było pierwszym jego starciem z potężnym wydawcą „Grand Journal'u“.

Krzysztof wiedział, że sam sobie zaszkodził, nie martwiło go to jednak. Wypląnąwszy ledwo z ciemka, czuł pociąg ukrycia się ponownie w zapomnieniu. Tam mu było najlepiej. Bał się, że na jaskrawem świetle dnia, palony spojrzeniami ludzi, zatraci pewność siebie, utraci swoje ja. Zbyt wielu interesowało się nim i mimowoli napłynęło mu do myśli powiedzenie Goetego: „Ile razy umysł niezwykle ściągnie, podjęciem pożytecznego dzieła, uwagę ogółu na

siebie, wysilają się zaraz wszyscy, wedle możności swojej na to, by mu uniemożliwić dokonanie czegoś takiego ponownie”.

Skupiony w sobie talent i twórczą wolę ciągną wszyscy ku rozrywce i rozprószeniu, ponieważ każdy żywi nadzieję, iż uda mu się z wybitnej tej osobowości coś uskubać dla siebie, coś sobie przywłaszczyć.

Zamknął się tedy przed wszelkim światem zewnętrznym, zasklepił wśród swych czterech ścian przyjmując teraz znowu częściej kilku starych, zaniedbanych w czasach ostatnich przyjaciół.

Odwiedził też Arnaudów, u których dawno nie był. Pani Arnaud, spędzając część dnia sam na sam, miała czas podumać nad troskami innych ludzi. Myślała tedy o onej pustce, jaka otoczyła Krzysztofa skutkiem rozłąki z Oliwerem. Przewyciężyła wrodzoną nieśmiałość i zaprosiła go na obiad. Miała także chętkę zaofiarować mu się z pomocą w gospodarstwie kawalerskim, przyjść doń od czasu do czasu i doprowadzić do ładu rzeczy i mieszkanie. Ale brakło jej odwagi. I nawet lepiej się stało, bo Krzysztof nie lubił, by się ktoś nim zajmował. Przyjął jednak zaproszenie i z wolna wzwyczajił się do przychodzenia do nich stale wieczorem.

Znalazł w ich domu tę samą co dawniej harmonijną atmosferę omlonej nieco i jakby zaśnionej serdeczności. Stała się może tylko jeszcze bezbarwniejszą, ścichłą i poszarzałą.

Arnaud przechodził właśnie okres przygnębienia duchowego, będącego skutkiem wyczerpującej pracy nauczycielskiej. Zaprawdę, życie takie nie było do pozazdroszczenia. Mijał dzień za dniem w monotonii wysiłku, w ruchliwości bezwładu, toczącego się niby koło, co nie staje nigdy, a nie porusza się z miejsca, wirując ciągle wokół swojej osi.

Mimo anielskiej cierpliwości miewał biedny Arnaud okropne chwile prostracji, zniechęcenia i rozpacz, a w takich okresach odczuwał niezwykle boleśnie każdą przeciwność, każdą niesprawiedliwość, czy brutalność ludzką.

Żona pocieszała go jak mogła. Wydawało się, że nie wytraciło jej dotąd nic ze zwyczajnej równowagi. Była spokojna i cicha, wyglądała tylko teraz dużo gorzej.

Krzysztof powinszował razu pewnego Arnaudowi w jej obecności, iż posiada tak rozumną żonę.

— Tak... to prawda... — odrzekł Arnaud — pocziwe to kobiecisko! Nic jej nie mąci spokoju. Szczęśliwa natura. Dla mnie jest to także wielkiem dobrodziejstwem. I jej naturalnie dokuczyło życie jakie nam przypadło w udziale, ale ja sam bez niej zginąłbym bez wątpienia z kretesem.

Pani Arnaud zarumieniła się i zamilkła. Potem zaczęła mówić o czem innym, zwyczajnym swym, łagodnym, cichym głosem.

Odwiedziny Krzysztofa oddziaływały jak zazwyczaj zbawiennie. Zjawieniem swem szerzył jasność. Z drugiej strony miło też było Krzysztofowi odczuwać głęboką dobroć tych serc szczerych, umiejących kochać.

Nagle znalazł Krzysztof inną przyjaciółkę. Wkroczyła niespodziewanie na ścieżkę jego życia, a raczej on ją sam pociągnął ku sobie, gdyż nie odważyłaby się nigdy zbliżyć sama, mimo wielkiej chęci poznania Krzysztofa.

Liczyła około dwudziestu pięciu lat. Otrzymała za grę na fortepianie pierwszą nagrodę w konserwatorium. Nazywała się Cecylia Fleury. Wzrostu dosyć niskiego, potrochu przysadkowata, miała gęste brwi, piękne, wielkie oczy, o wilgotnem spojrzeniu, mały, gruby, nieco zaczerwieniony, perkaty nos, wargi o wyrazie dobroci i serdeczności, energiczny, stanowczy, pełny podbródek i czoło niskie, ale szerokie. Włosy bujne nosiła skręcone w węzeł opadający na kark. Ramiona jej były silne, dłonie duże z daleko odstającym wielkim palcem i szeroką osadą paznokcia, istne ręce pianistki.

Cała jej postać wyrażała siłę, może nieco ociężałą i niespożyte zdrowie. Mieszkała razem z matką, którą kochała bardzo. Była to pocziwa, stara ko-

bieta nie posiadająca najmniejszego pociągu do muzyki. Ale ponieważ rozmawiano o tem ustawicznie w domu, przeto brała udział w pogadankach i wiedziała dokładnie co się dzieje w świecie muzycznym stolicy.

Cecylia żyła w skromnych warunkach, dawała po całych dniach lekcje, czasem też występowała na koncertach, o których nikt nie czynił najmniejszej wzmianki po pismach.

Do domu wracała pieszo, lub omnibusem i chociaż nieraz wyczerpana, nie traciła nigdy humoru. Z tą samą łatwością i beztróską ćwiczyła się na fortepianie i szła sobie kapelusze, paplała godzinami, śmiała się i pośpiewywała bez widocznego powodu.

Nigdy nie miała łatwego życia i dlatego nauczyła się cenić tę odrobinę wygód i przyjemności, do których dojść można własną pracą. Odczuwała każdą najmniejszą zmianę na lepsze, każdą radość, czy rozrywkę, niedostrzegalną niemal poprawę stopy życiowej, czy krok drobny w rozwoju talentu.

Jeśli zdarzyło się, że któregoś miesiąca zarobiła bodaj pięć franków więcej, czy to jeśli udał jej się gładko jakiś trudny, chopinowski pasaż, nad którym męczyła się przez cały miesiąc, natenczas była bardzo uradowana. Nic jej więcej do szczęścia nie brakowało.

Zajęcie, któremu się oddawała z miarą i zgola bez przesadnej usilności, odpowiadało doskonale uzdolnieniom jej duchowym, sprawiało jej też zadowolenie, jak jakieś rozumnie zastosowane ćwiczenie fizyczne.

Muzyka, śpiew, rozmowa wprawiała ją w równą, normalną aktywność, zaspakajały potrzebę ruchu, a jednocześnie stanowiły środek uzyskania znośnych warunków życia i dawały rezultaty niewielkie, ale stałe i pewne.

Cecylka miała doskonały apetyt, sypiała wyśmienicie i nie chorowała nigdy. Nie trapiła się niczem. Rozumna, skromna i doskonale zrównoważona żyła

ciągle chwilą bieżącą nie myśląc o tem co było, albo co przyjść może.

Zupełnie równą przykładala wagę do ćwiczeń muzycznych, jak do zajęcia sprawami gospodarczymi, rozmowy, czy też nawet do bezczynności.

Zabezpieczona od niespodzianek umiała żyć spokojnie. A nie było to życie z dnia na dzień, gdyż posiadała zaletę oszczędności i była ostrożną. Było to raczej wykorzystywanie każdej chwili życia.

Nie było w niej miejsca na żaden specjalny idealizm. Jedyny, jakim rozporządzała, cichy, mieszczanski, że tak powiedzieć można, idealizm pogody, opromieniał cały pracowity dzień w każdym jego momencie. Płynął on stąd, że cokolwiek czyniła, czyniła chętnie, bez sekundy oporu.

Każdej niedzieli szła do kościoła. Ale uczucia religijne nie zajmowały ani kątka jej duszy.

Podziwiała dusze płomienne, posiadające ogromną wiarę, czy wielki talent, jak na przykład Krzysztof, ale nie zazdrościła im wcale. Cóżby bowiem poczęła z tym ciągłym niepokojem i tymi ustawicznymi wybuchami twórczości?

Skądże się tedy brało, że mimo to zdolną była wczuwać się w muzykę takich ludzi, takich twórców? Nie umiała sobie tego sama wyjaśnić. Wiedziała jednakże, że posiada zdolność tego wczucia się w zgola odrębną sferę.

Od innych wirtuozów różniła się jędrną, silną równowagą fizyczną i duchową. I właśnie na glebie tej żywotności, wolnej od osobistych porywów bujały rażno i bogato namietności obce. Nie mąciło to ani na chwilę spokoju samej interpretatorki. Wypowiadała z nieporównaną mocą i precyzją straszliwe namietności kłębuszące się w duszy twórcy, a sama była odporną na ten jad. Nietknięta przechodziła mimo, w poczuciu siły, a czasem znużenia, ale było to znużenie zdrowego nawszkroś organizmu.

Po takim wysiłku czuła wyczerpanie, była cała spocona, ale pozostawała cichą i uśmiechała się z zadowoleniem.

Krzysztof, słysząc jej grę pewnego wieczoru, był porwany. Po skończonym koncercie podszedł do niej i uściśnął jej dłoń serdecznie. Była mu wdzięczna, gdyż zjawilo się bardzo mało osób, a zresztą nie nawykła do pochlebstw. Nie posiadała dosyć giętkości, by dać się zwerbować którejs z klik muzycznych, a także tyle wyrafinowania, by wlec za sobą cały kierdel wielbicieli. Nie miała żadnej specjalnie swojej interpretatorskiej manjery, nie czyniła jednak z drugiej strony wysiłków, by zwrócić na siebie uwagę przy pomocy jakichś sztuczek technicznych, czy wymyślnych sposobików w oddawaniu utworów znanych mistrzów.

Nie starała się też zmonopolizować dla siebie któregoś wielkiego kompozytora n. p. Bacha, czy Beethovena, gdyż nie miała na celu stwarzać teoretycznych formułek ich twórczości, ale zadawała sobie tem, aby grać poprostu tak, jak odczuwała ich utwory.

Nikt też nie interesował się nią w Paryżu, a krytycy nie wiedzieli nawet, że istnieje. Nie znalazł się dotąd człowiek, któryby im powiedział, że dobrze gra, a sami nie zauważyli tego wcale.

Krzysztof widywał się często z Cecylią. Pilna, a jednocześnie doskonale spokojna dziewczyna pociągała go tajemniczością zagadki. Tętniło w niej od mocy, a jednocześnie była leniwą. Oburzało go to, że nie miała rozgłosu i uczynił jej propozycję, że nakłoni znajomych z „Grand Journalu“, by o niej pisali.

Ale chociaż lubiła słuchać pochwał prosiła usilnie, by nie czynił żadnych kroków celem wydobycia jej na światło wielkiego świata. Nie chciała staczać walk, czynić wysiłków wielkich, wchodzić w odmęt zazdrostke i współzawodnictwa. Ponad wszystko ceniła spokój. Nie mówią o niej? Tem lepiej. Nie posiadała żadnej ambicji błyszczenia i pierwsza zachwycała się odrębną techniką pojawiającego się na wiodni nowego wirtuoza.

Obcą jej była żądza sławy, nie miała wielkich pragnień ni aspiracji. Ospalość i lenistwo wrodzone nie dawały wyzwolić się pożądaniam. O ile nie była zajęta czemś konkretnem, co leżało tuż przed nią, zapadała poprostu w bezczynność, nie robiła nic.

Nie marzyła nawet o niczem, nie śniła wcale wcale w nocy. Spała, albo leżała na łóżku bez myśli. Nie była wzorem innych dziewcząt opanowana chorobliwą myślą o wyjściu za mąż, co zatrzyma ich życie do tego stopnia, iż drzę przed ewentualnością staropaniństwa. Zapytana, czy nie chciałaby mieć jakiegoś odpowiedniego dla siebie męża, odpowiedziała:

— Odpowiedniego? To pewnie znaczy, z rentą 50.000 franków? Nic z tego! Trzeba się godzić z losem i brać co jest. Jesliby się zdarzyło... i owszem... któż nie przyjmie czegoś pomyślnego? Ale, jeśli padnie inaczej, daremnie się biedzić. Gdy niema ciastek, smakuje doskonale kawałek chleba, zwłaszcza, jeśli jest świeży, a długo jadło się suchy i spleśniały.

A matka dodała:

— Iluż ludzi i tego nie ma codziennie!

Cecylka miała pewne dane niedowierzać mężczyznom. Zmarły jej przed kilku laty ojciec, był to człowiek słaby i gnuśny. Sprawił żonie i swym bliskim wiele strapienia. Miała też brata, wykolejńca skończonego. Nie wiedziały obie dobrze, czem się zajmuje i gdzie przebywa. Jawił się od czasu do czasu żądając pieniędzy. Kobiety bały się go, wstyd im było, drżały na myśl, że mogą się pewnego dnia czegoś okropnego o nim dowiedzieć, a mimo to kochały go.

Krzysztof natknął się nań pewnego razu. Był właśnie u Cecylki, gdy rozebrzmiał dzwonek u drzwi. Matka poszła otworzyć. W sąsiednim pokoju rozpoczęła się rozmowa, zaczęły padać słowa wypowiedane podniesionym głosem.

Cecylka była widocznie wzburzona, kręciła się na krześle, potem wstała i wyszła, zostawiając Krzysztofa samego. Spór potoczył się dalej. Głos przybysza stał się groźnym. Krzysztof uznał, że ma obowiązek podjąć jakąś akcję rozjemczą. Wstał i otworzył drzwi.

Zaledwo miał czas dostrzec młodego, zlekka garbatego człowieka, gdyż przybysz odwrócił się błyskawicznie do wchodzącego plecami. Cecylka podbiegła i ją prosić Krzysztofa, by wyszedł. Zaklinała go. Wyszli oboje i usiedli naprzeciw siebie w milczeniu. W sąsiednim pokoju wykrzykiwał miły gość na całe gardło jeszcze przez kilka minut, potem poszedł, zatrząskując za sobą z całej siły drzwi.

Cecylka westchnęła i powiedziała do Krzysztofa:

— Tak... to jest mój brat.

Krzysztof zrozumiał.

— Ach... — odparł — Rozumiem to dobrze... posiadam takiego samego!

Cecylka pochwyciła z serdecznym współczuciem jego dłoń.

— Co pan mówi... — pan także? — spytała.

— Tak... Są to tak zwane rozkosze rodzinne... — odrzekł.

Cecylka wybuchła śmiechem i zaczęli rozmawiać o czym innym.

Nie, rozkosze rodzinne, nie miały dla Cecylki żadnego powabu, nie marzyła też nigdy o zamażpójściu. O mężczyznach wyrobiła sobie wyobrażenia wcale nie szczególne. Natomiast pociągało ją życie niezależne, uderzały ją dobre jego strony. Matka długo tęskniła za taką swobodą, a Cecylka nie miała ochoty zrzekać się wolności. Jedyną myślą, jaka ją czasem nawiedzała był plan, by kiedyś.. Bóg wie zresztą, kiedy... przestać dawać lekcje i zamieszkać na wsi. Ale nie zadawała sobie trudu wchodzenia w szczegóły tego planu, rozważania powabów takiego życia.

Nudziło ją poprostu myślenie o czymś tak bardzo nieokreślonym. Wolała już raczej spać, albo spełniać codzienne obowiązki.

Zanim jeszcze narodził się ów plan wiejskiego żywota zdarzyło się, że wynajęła pewnego lata mały domek na jednym z przedmieść Paryża i zamieszkała tam z matką. Prócz nich nie było innych lokatorów. Jechało się wszystkiego dwadzieścia minut pojeźdźcem. Domek położony był dosyć daleko od dworca kole-

jowego, samotny pośród rozległych parcel budowlanych przewanych „polem“.

Cecylka wracała do domu często późną nocą. Nie czuła trwogi. Nie myślała o niebezpieczeństwie. Posiadała wprawdzie rewolwer, ale zapominała go zawsze wziąć ze sobą. Zresztą nie była pewną, czy umie się nim posługiwać.

Krzysztof za każdym pobytom prosił, by grała. Sprawiało mu wielką radość jej głębokie ujęcie każdego utworu, nie skąpił też rad i wskazówek, w jaki sposób najlepiej dać w nich wyraz uczuciom autora.

Odkrył także, że posiada przepyszny głos, o czym nie miała zgoła wyobrażenia i zaczął nalegać, by go nie zaniedbywała. Za jego poradą śpiewała staroniemieckie pieśni, lub też kompozycje Krzysztofa.

Spodobało jej się to i zaczęła robić bardzo szybko niezwykle postępy, co zdziwiło zarówno Krzysztofa, jak i ją samą. Była zadziwiająco zdolną. Dziwnym jakimś przypadkiem padła w duszę tego dziecka małomieszczańskiej rodziny paryskiej, pozbawionej wszelkiego zgoła odczucia artystycznego, iskra muzycznego talentu.

Filomela (tak ją przezwali) rozmawiała z Krzysztofem często o muzyce, ale traktowała ją zawsze ze strony praktycznej, nigdy uczuciowej. Zaciekawiała ją, widocznie, sama tylko technika muzyki i śpiewu. Ile razy gwarzyli ze sobą, a tematem nie była muzyka, rozmowa toczyła się wyłącznie o prozaicznych sprawach, o gospodarstwie domowym, kuchni, drożyznie, i tym podobnych drobiazgach, a Krzysztof, któryby rozmowy takiej z gospodynią swego domu nie ścierpiał nawet przez jedną minutę, uważał, gdy szło o Filomele, że jestto rzecz zupełnie naturalna.

Spędzali całe wieczory sam na sam i wytworzyła się pomiędzy nimi jakaś żywa sympatja, jakieś przywiązanie spokojne niemal chłodne, a jednak szczere.

Pewnego wieczoru przybywszy na kolację Krzysztof zagadał się dłużej jak zazwyczaj. Późno już było. Nagle, właśnie, gdy miał odchodzić zerwała się burza.

Pospieszył, by chwycić jeszcze ostatni pociąg. Ale lunęło z góry i powiał gwałtowny wiatr.

Wówczas Cecylka powiedziała:

— Niema sensu jechać. Zostanie pan na noc...

Przenocował w małej stancyjce na zaimprovizowanym naprędcie posłaniu. Cienkie przepierzenie dzieliło go od sypialni Cecylki. Drzwi nie domykały nawet. Słyszał jak łóżko trzeszczy pod jej ciężarem, potem wyraźnie dochodzić go zaczął spokojny, miarowy oddech śpiącej. W ciągu pięciu minut zasnął także spokojnie, bez cienia jakichś myśli niepokojących, jakby znajdował się w mieszkaniu kawalerskim kolegi.

W tym czasie pozyskał Krzysztof innych jeszcze, nowych przyjaciół. Jego twórczość pociągnęła dusze pokrewne, a nieznane dotąd. Przeważnie żyli oni w zupełnem osamotnieniu w oddalonych dzielnicach i nie byłby ich z pewnością nigdy w życiu spotkał. Powodzenie niesie z sobą różne dobre rzeczy, chociaż samo w sobie jest rzeczą zgoła zewnętrzną. Oto przywodzi twórcy tysiące zacnych ludzi, którzyby o nim, bez owych głupich artykułów dziennikarskich nic a nic nie wiedzieli.

Z kilkoma z pośród nich wszedł Krzysztof w ściślejsze stosunki. Byli to samotnicy, ludzie młodzi, walczący o chleb codzienny. Każdy dążył z wysiłkiem ku jakiemuś niejasnemu majakowi celu. Zbliżyli się, chcieli wchłonąć w siebie promieniowanie duszy Krzysztofa, w przekonaniu że jest im bliską. Znalazło się pośród nich kilku młodych prowincjonalistów. Przejrzawszy jego pieśni, zgłosili się doń listownie, jako do mistrza, czując, że wypowiada to, co w ich duszach drzemie.

Biedacy ci, artyści, a był między nimi także jeden kompozytor, do niczego nie doprowadzili i doprowadzić nie mogli. Nie było tu mowy nietylko o rozgłosie, ale nawet o znalezieniu własnej formy wypowiedzenia się. W niemocy swej, w udręce twórczej uczuli się szczęśliwymi, że oto zjawił się naraz

któs, któremu zdaniem jest wyjawić, uzewnętrznić ich własny świat myśli.

Najgoręcej pokochał atoli Krzysztof tych, których listy nie były zapatrzone podpisami. Owe anonimowe wynurzenia szczere były, wzruszająco dziecięce. Pisali jak do starszego brata, z zaufaniem i prostotą. Krzysztof bolał w sercu, że drogich tych ludzi może nigdy nie będzie mógł przytulić do piersi. Czasem całował taki list bezimienny, a ten, kto go pisał całował niewatpliwie utwory Krzysztofa. Obaj myśleli:

— O jakże to słodko mieć przyjaciela!

Według prawa rytmiki wszechświata otoczyły Krzysztofa kręgiem pokrewne duchy. Zawsze się tak dzieje. Genjusz skupia, ci którzy go otaczają, żywią się nim, nawzajem oni sami stanowią jego siłę. Zgrupowanie to powiększa się, narastają warstwy coraz to nowe i jawi się twór duszy zbiorowej. Genjusz stanowi ogniste jądro, przyjaciele to rój planet ducha. Krążą wokoło, a on wie dzie cały swój układ, przestrzenną pustką świata, ku jakiemuś nieznanemu słońcu, którego jest wybrańcem.

Tak się dzieje i dzieć musi, wedle nieogarniętych praw harmonji sfer.

Ten przedziwny związek Krzysztofa z nieznanymi przyjaciółmi wpłynął zasadniczo na jego twórczość, a przemiana owa pogłębiała się coraz to bardziej w miarę zacieśniania się węzłów przyjaźni. Tworzył teraz na szerszej podstawie i bardziej po ludzku. Nie chciał słyszeć o muzyce, podobnej do monologu, do utworu, który sam w sobie ma jeno znaczenie niezależnie od słuchaczy. Podobnie też porzucił twórczość uczoną, zaniechał utworów przeznaczonych wyłącznie dla fachowców. Zapragnął dać ludziom muzykę, postanowił wprowadzić ją w życie człowiecze. Tylko taka sztuka może być żywotną i spełniać swe zadanie.

Jan Sebastjan Bach był nawet w godzinach najgłębszego swego osamotnienia połączony z ludźmi swą głęboką wiarą religijną, wyrażoną w muzyce.

Hendel i Mozart pisali z konieczności dla słuchaczy, nie zaś dla siebie wyłącznie. Nawet Beethoven musiał się liczyć z publicznością. Jest to rzecz zbawienna wielce. Dobrze, jeśli świat mówi czasem genjuszowi: I cóż mi dajesz w swej sztuce? Daj mi coś, jeśli nic nie przynosisz, znać cię nie chcę!

Ow przymus liczenia się ze światem, z którego genjusz wyrasta jest dlań bardzo korzystny. Są co prawda mistrze wyrażający samych siebie jeno, największymi atoli są ci, których serce ogarnia wszystkich. Kto chce patrzeć w oblicze Boga, niechże nie szuka go oczyma po pustelniach firmamentu myśli swojej, ale zstąpi w ludzi i ukocha ich, a tam ujrzy Pana swego.

Współcześni artyści bardzo dalecy byli od takiej miłości. Pisali jeno dla wybrańców, pełnych zrozumienia, mniej, lub więcej anarchistycznie, aspołecznie nastrojonych, nie tkwiących korzeniami w życiu. Nie licząc się z socjalnymi warunkami, z przekorną dumą trwali oni w nieuznawaniu przesądów i namiętności społeczeństwa drwiąc, z nich i pogardzając nimi. Pragnąc być niepodobni innym, pozbawili się wszystkich wartości życia i w tem zakładali swą dziwną, zaprawdę, ambicję. Niechże, tedy spoczywają w grobie — pomyślał Krzysztof. Musimy opowiedzieć się po stronie żywych, chcemy pić mleko życia z piersi świata, brać udział w tem, co pokolenie nasze ma najgłębszego i najświętszego, chcemy czerpać natchnienie w miłości ogólnoludzkiej, miłości rodzinnej i ojczystej. Wszakże w wiekach korzystających z największych swobód, gdy cały lud składał hołd pięknu i czczył je z miłością, Rafael, książę włoskiego Odrodzenia podniósł do najwyższego symbolu życia macierzyństwo w swych niezrównanych Madonnach. Któż da nam dziś muzyczną „Madonnę della sedia”? Kto stworzy nam muzykę na wszystkie godziny życia? We Francji niema nic takiego! Ile razy chcecie dać „pieśń” waszemu ludowi, musicie z konieczności czerpać ze skarbcza starych mistrzów niemieckich. Wszystko

w sztuce waszej od A do Z musi być stworzone na nowo, albo przetworzone!

Krzysztof pisywał często do Oliwera, który przebywał teraz na prowincji i odbierał od niego listy. Chciał w ten sposób utrzymać dalej współpracę, jaka w czasie gdy byli razem okazała się tak owocną. Radby był otrzymywać od niego piękne poetyckie teksty, dotyczące życia codziennego, podobne do tekstów pieśni dawnych mistrzów. Wyszukiwał mniejsze ustępy z Pisma Świętego, utwory poetycko-religijne Hindusów, liryki dawnych Greków, ody, małe obrazki natury, nastroje poranne, wieczorne, rzeczy zawierające uczucia rodzinne, słowem wszystko, co mogło trafić do serc prostych i zdrowych.

Cztery, czy sześć wierszy, starczy zupełnie dla pieśni. Idzie o najszczerzy, najbezpośredniejszy wyraz, bez balastu uczoności i kunsztownego, przerafinowanego harmonizowania. Cóż mam wspólnego z arbitrami estetyzmu — myślał? Chcę, by kochano co piszę, chcę kochać i żyć wedle tej miłości — oto wszystko! Wspólnie szukać musi autor ze słuchaczem skarbów twórczych. Unikać muszą obaj, jak zarazy wykrętnej, pustej mowy owej kasty ludzi zwących się artystami, kasty tak licznej w dzisiejszej Francji. Trzeba mieć odwagę przemawiać do ludzi, jako ludzie, nie jako „artyści”. Czerpać trzeba z głębin dostępnych wszystkim, używając bez fałszywego wstydu form znanych, uświęconych przez wieki, posiadających styl uznany, form, które przepojone są miłością ludzkich pokoleń.

Spojrzymy na to co stworzyli ojcowie nasi. Klasycy niemieccy z końca XVIII wieku wrócili do ogólnoludzkiej muzycznej ekspresji i dali dzieło nowe. Pełne melodyjności takty Glucka, twórcy symfonji, a także kompozytorów pieśni czasów owych są często prostackie i wprost kółtuńskie w porównaniu do do wyrafinowanych, uczonych rzeczy Bacha i Rameau. Ale właśnie ten zapach gleby rodzimej sprawił, iż dzieła wielkich klasyków uzyskały popularność niesłychaną i osiągnęły siłę ogromną.

A wszystkie wzięły swój początek w najprostszej pieśni. Owo kwiecie łąk ojczystych nappełniło zapachem całe życie Mozarta i Webera. Uczynicież to samo, komponujcie pieśni dla wszystkich! Na nich oprzyć będzie można później kwartety, czy symfonie. Na cóż się zdało przeskakiwać stopnie pośrednie? Nie zaczyna się budować piramidy od wierzchołka. Dzisiejsze wasze symfonie, to głowy, bez ciała, myśli, bez trzewi. Stańcie się żywymi ludźmi o pięknoduchach z puchu. Potrzeba nam całych pokoleń cierpliwych twórców, którzyby obcowali w pogodzie i serdecznym zbrataniu z ludem. W ciągu jednego dnia nie powstanie nowa, wielka sztuka!

Nie było dość Krzysztofowi głosić takich haseł muzycznych, zachęcał Oliwera by wszczął podobny ruch w literaturze, i stanął na jego czele. Literatura współczesna — pisał mu — wysiła się na wypisywanie dziwactw i cudactw ludzkich, oraz zjawisk anormalnych, zdarzających się tylko pośród osób, stojących poza rzeszą czynnych, zdrowych ludzi. Osobniki takie wyłączyły się ze społeczeństwa, stoją za drzwiami. Niech sobie stoją, pomini ich i idź tam gdzie trwa społeczeństwo żywych. Ukaz człowiekowi zwyczajnemu życie proste i codzienne. Głębsze ono — zapewniam cię — i ogromniejsze od morza. Największy prostaczek nosi w sobie nieskończoność. Mieszka ona w każdym, który jest dość prostym, by być człowiekiem, jako kochanek, przyjaciel, czy żona okupująca bólem święte prawo tworzenia życia na ziemi. Owa nieskończoność żyje w każdym, kto poświęca się w cichości, tak, że nikt ofiary owej nie dostrzeże... Oto fala życia idąca z rozchwiei dalekiej ku osobnikowi, bijąca od osobnika w dal...

Opisz proste życie prostaczka, stwórz ciche, spokojne dzieło dni i nocy następujących po sobie, podobnych do siebie wzajem, jako dzieci jednej matki, a jednak zgoła różnych, jako to było i jest i będzie od początku do końca świata. A pisz spokojnie, jak spokojnie dni one płyną. Nie wysilaj się na niezwykle wyrażenia, jak to czynią dzisiejsi pisarze marno-

trawiający na tem swe siły. Mówisz do wszystkich, przeto musisz używać języka większości. Niema słów wzniosłych i zwyczajnych, niema stylu szlifowanego i nieczystego, są tylko ludzie, którzy mówią jasno to co mają do powiedzenia i ludzie, którzy kryją w słowach brak treści. Wkładaj się cały w to, co czynisz, myśl całą duszą, co myślisz i mów, co czujesz. Rytm serca niech tętni w tem, co piszesz! Styl to obraz duszy!

Oliwer przyznał Krzysztofowi słusność, ale odpowiedział z pewną ironią:

— Dzieło takie byłoby piękne, tylko nie dotarłoby do tych, którzyby go ocenić potrafili, gdyż krytyka zdławiłaby je po drodze.

— Oto obraz mieszczaucha francuskiego! — napisał mu na to Krzysztof — Nie może pozbyć się myśli o tem, co krytyka powie o jego dziele! Krytycy, mój drogi są na to, by zapisać w księgach kupieckich zwycięstwo, lub klęskę... zostań tylko zwycięzcą, a zobaczysz... Obchodziłem się zawsze doskonale bez nich... uczyni to samo...

Oliwer nauczył się tymczasem obchodzić bez innych jeszcze rzeczy, bez sztuki, bez Krzysztofa i bez całego świata. Myślał tylko o Żaklinie, a ona o nim.

Miłość jej była egoistyczna i wytworzyła wokół próżnię zupełną. Taką być musi zresztą każda miłość. Pali świadomie wszystkie dawne środki pomocnicze, czy zastępcze. W pierwszych tygodniach dwie istoty wtopione w siebie wzajem nie widzą nic, nie czują prócz samych siebie. Ciała ich i dusza rozkoszują się i pragną się przeniknąć.

Niedługo trwała podróż poślubna po Włoszech. Osiedli w jednym z miast wschodniej Francji, gdzie Oliwer otrzymał stanowisko profesora. Żyli sami ze sobą, nie zapoznawali się z nikim i nie brali w niczem udziału. Gdy musieli z konieczności złożyć komuś wizytę, wychodziła wówczas jaskrawo na jaw zupełna obojętność na wszystko, tak, że jedni czuli się obrażonymi, inni śmiali się z zakochanych. Każde

słowo, każda uwaga spływały zresztą po nich nieopatrzenie, nie przenikając do świadomości. Zachowanie ich cechowała zarozumiałość i bufonada nowożeńców, która zda się mówić wszystkim:

— Cóż wy wogóle wiecie moi państwo!...

Zarówno na pięknej, rozmarzonej, nieco odętej buzi Żakliny, i w oczach Oliwera roziskrzonych i jakby roztargnionych wyraźnie było wypisane:

— O jakże nas nudzicie szanowni państwo? Kiedyż będziemy nareszcie sami!

Nie krępowali się wcale towarzystwem, rzucali sobie spojrzenia nie związane zupełnie z treścią rozmowy. Widzieli się, nawet nie patrząc na siebie i uśmiechali się, wiedząc, że w tym samym momencie myślą o temsamem. Gdy minął przymus towarzyski i byli wolni, wówczas wydawali okrzyki zachwytu i płatali figle żakowskie, godne ośmioletnich wisusów. Nadawali sobie wzajem najdziwniejsze przezwiska nie mające sensu.

Zachowywała się, jak mała dziewczynka, a chciała zjednoczyć w sobie wszelkie rodzaje miłości. Chciała mu być matką, siostrą, żoną, kochanką. Nie poprzestając na udziale w radości, chciała wziąć także udział w pracy jego, a i to było dla niej igraszką. W pierwszych tygodniach siadła do pracy z zapałem, jakim przepaja kobietę każda nowość. Najmniej wdzięczne zadania sprawiały jej największą uciechę. Odpisywała całe rozdziały w bibliotece, tłumaczyła nudne książki, a wszystko to było częścią planu życia, planu nader poważnego, opartego o wspólność myśli i pracy.

Wszystko szło doskonale jak długo prześwieślała te rzeczy miłość, gdyż myślała o nim, nie o tem, co czyni. I co dziwne, to fakt, że wszystko co podejmowała było zrobione doskonale. Ogarniała duchem najbardziej abstrakcyjne rozprawy, których treść w innej chwili życia sprawiłaby jej trud niesłychany. Miłość uniosła ją jakby nad ziemię, nie uświadamiała sobie co czyni, podobnie jak lunatyczka stąpająca po dachach. Uśmiechnięta, uroczysta szła ponad przepa-

ściami ku jakiemuś urocznemu celowi życia, oglądającemu we śnie.

Potem nadszedł czas, że spostrzegła nagle owe dachy, gzymsy i otchłanie. Nie przeraziło jej to, zadała sobie tylko pytanie co czyni tam w górze i wracała na ziemię. Praca wydała jej się nudną. Wmówiła w siebie, że to przeszkadza jej w miłości. Zapewne miłość ta zmalała, ale nie było tego widać.

Nie mogli się bez siebie na chwilę obejść. Odgradzili się od świata, zabarykadowali drzwi, nie przyjmowali zaproszeń, stali się zazdrośni o życzliwość ludzi, nawet o ich zajęcie, słowem o wszystko, co ich odводziło od miłości. Oliwer pisywał do Krzysztofa coraz to nieregularniej. Żaklina go nie cierpiała, był dla niej rywalem, wyobrażał cały rozdział życia Oliwera, w który nie brała udziału. A im większą rolę odegrał, z tem większą instynktową zawiścią wypierała go z jego duszy.

Bez specjalnych przełomów rozluźnił się stosunek Oliwera do Krzysztofa. Żaklina stroiła sobie żarciki z jego gustów, rysów twarzy, sposobu wyrażania się, stylu i dziwacznych planów artystycznych. Robiła to bez złośliwości, nawet bez chytrego zamiaru... natura uczyniła to za nią sama. Oliwerowi podobały się te drwinki. Nie widział w tem nic złego. Wydawało mu się, że kocha Krzysztofa po dawnemu, tymczasem kochał już tylko idywidualność jego, a niewiele to w stosunku przyjacielskim znaczy.

Ani spostrzegł, że zwolna przestaje go rozumieć, że traci zainteresowanie światem jego myśli, że zeń wychodzi, że ów bohaterski idealizm, stanowiący główną nić duchowego związku nic go już nie ciekawi, nie rozgrzewa. Miłość, to słodycz zbyt upojna dla młodego serca. Jakaż inna potęga, jakaż wiara mogłaby się wobec niej ostać? Wszelka wiedza zawarta jest w ciele ukochanej i w jej duszy, która niby kwiat mistyczny to ciało wieńczy. Z jakimże politowaniem patrzy się wówczas na ukochania i wiary innych, na swe własne dawniejsze porywy? Z całego potężnego drzewa życia, z całej żywiołowej zjawy

jego nie pozostaje nic prócz owego, jedyne kwiatu, co trwa godzinę, a wydaje się nieśmiertelnym.

Oliwera opanowała miłość, zatonął w tej fali bez ratunku. Zrazu miał jeszcze tyle siły, że szczęście swe wypowiadał w pięknych, szczerych wierszach. Potem uznał, że jest to nie potrzebne. Szkoda czasu wykradanego miłości... — myślał. Żaklina współzawodniczyła z nim w niweczeniu wszelkiej innej treści życia w podeinaniu pnia owego potężnego drzewa, bez którego podpory bluszcz miłości w górę pięć się może.

O jakże szybko przyzwyczajają się człowiek do szczęścia. A kiedy egoistyczne szczęście stanie się samym w sobie celem życia, to życie owo bardzo szybko traci wszelki cel. Staje się ono nawyknięciem, nałogiem, trucizną, bez której obejść się nie sposób. A jakże dobrze byłoby, gdyby można to uczynić. Szczęście bowiem, to jeden tylko moment w rytmie świata, jedno wychylenie belka wagi, jeden z dwu biegunów, pomiędzy którymi ta waga oscyluje. Gdyby ktoś ją przytrzymał w tym momencie, strząsałaby się niezawodnie.

Poznali też niedługo ów nadmiar dosytu, który napina nadmiernie zdolność odczuwania. Szczęsne chwile mknęły zwolna, stawały się blade, omdlałe, wiedły niby kwiaty bez wody... Niebo było jeszcze pogodne, ale nie wiał już rzeźwy podmuch zaranny.

Wszystko martwiało, wokół zaległa cisza. Byli sami, jak tego pragnęli, ale w sercach rozpostarł się jakiś smutek.

Uczuli, że ogarnia ich nuda, jakaś niewyraźna pustka, która miała w sobie pewien urok. Nie umieli sobie wyjaśnić tego uczucia, zaniepokoiłi się tylko w duszach. Przyszła na nich chorobliwa drażliwość. Nerwy nawykłe do ciszy bezmiernej drżały niby liście osiczy, za najmniejszym, niespodzianym powiewem życia.

Żaklina rozplýwała się we łzach, nie mając powodu do płaczu, a chociaż byłaby w to chętnie uwie-

rzyła, że nie miłość sama wyciska łzy. Osiągnęła swój cel, przekroczyła go nawet i spostrzegła nagle, że ustała w niej wszelka tęsknota za nowem jakimś przystosowaniem. Nie było wokół nic i to ją przerażało. Nie chciała się zrazu przyznać do tego uczucia i przypisywała to nerwowości odziedziczonej, śmiała się ze siebie. Ale śmiech ten był równie nienaturalny i chorobliwy, jak łzy.

Z wielką odwagą jąta się na nowo pracy. Ale przy pierwszej zaraz próbie ze zdziwieniem spostrzegła, że zadania, które rozpały ją dawniej, są to rzeczy bezcelowe i głupie. Z odrazą odwróciła się od nich. Umyśliła nawiązać stosunki towarzyskie, ale i to się nie powiodło. Stała wobec faktu, że odwykła zupełnie od ludzi i owej pustej gadaniny, którą narzuca życie codzienne. Spostrzegła jej nicość i głupotę. Zawróciła przeto i skryła się w owej samotni we dwoje, upatrując w tem nawrocie dowód, że niema nad miłość nic lepszego. Przez czas jakiś rzeczywiście miłość ta wezbrała w niej na nowo, ale dlatego tylko, że tak chciała. Był to akt jej woli.

Oliwer był mniej namiętny i posiadał większy zasób objawów miłosnych, przeto nie przeżywał owych momentów strachu. Czasem tylko przebiegł go jakby dreszcz. Nie doceniał tego, ale właśnie przymus codziennego pełnienia obowiązków zawodowych uchronił od zagłady miłość jego. Że jednak był bardzo wrażliwy i każde drgnienie serca ukochanej przenikało do jego serca, przeto opanował go również niepokój trapiący Żaklinę.

Pewnego pogodnego popołudnia odbyli przechadzkę. Cieszyli się na nią naprzód. Wszystko wokół oddychało swobodą i wesołością. Ale zaledwo uczynili kilka kroków, ogarnął ich ciężki, głuchy smutek. Czuli, że nie mogą do siebie mówić. Wysilali się, ale słowo odbijało echem ową pustkę, w której byli po-grażeni. Automatycznie dokończyli przechadzkę, nie widząc, nie czując i wrócili bardzo przygnębieni do domu. Padał mrok, mieszkanie było puste, ciemne i zimne. Nie zapalili światła, by się nie widzieć. Za-

klina udała się do swego pokoju i nie zdejmując kapelusza, ni okrycia, usiadła przy oknie. Oliwer w sąsiednim pokoju uczynił to samo, spartłszy ramiona na stole. Drzwi stały otworem, byli tak blisko siebie, że mogli słyszeć swe oddechy. Siedzieli w mroku i płakali rzewnie, a każde przyciskało dłoń do ust, aby nie było słyhać szłochu. Nakoniec odezwał się Oliwer stłumionym głosem:

— Żaklino!

Przełknęła łzy i spytała:

— Co?

— Chodź tu!

— Idę!

Zdjęła okrycie i przemyła wodą oczy. Oliwer zaświecił lampę. Po chwili weszła do pokoju. Nie patrzyli na siebie, wiedzieli, że płakali oboje. Nie mogli się pocieszać, bo znali powód łez. Nadeszła chwila, kiedy nie byli w stanie dłużej ukrywać troski.

Ponieważ jednak nie chcieli wyznać powodu prawdziwego, przeto wzięli inny, o co zresztą nie było wcale trudno. Zepehnęli winę na nudy życia prowincjonalnego i otoczenie, w którym przebywali. To im bardzo ulżyło.

Pan Langeais, uwiadomiony przez córkę, nie zdziwił się wcale, iż ma dosyć tego bohaterstwa, użył swych wysokich wpływów politycznych i uzyskał przeniesienia zięcia do Paryża. Gdy nadeszła dobra nowina, Żaklina zaczęła tańczyć z radości i odzyskała całą swobodę duszy. Teraz wydał im się drogim ten zakątek, który porzucić mieli. Ileż wspomnień miłości mieściło się tutaj? Ostatnie dni spędzili na wędrowce śladami szczęścia i jakaś rzewna melancholia ogarnęła ich dusze. Słyszeli głos szepczący zcicha.

— Wiecie co opuszczacie, nie wiecie, co was czeka...

Wieczorem w dniu wyjazdu rozplakała się Żaklina, Oliwer spytał czemu płacze, ale nie odpowiedziała nic.

* * *

W Paryżu spotkali ludzi, których opuścili. Ale nie byli to już ci sami ludzie. Na wieść o przyjeździe Oliwera, Krzysztof przybiegł rozpromieniony. Oliwer uczuł taką samą radość jak przyjaciel, ale zaraz od pierwszego spojrzenia, odczuli obaj niespodziewane zgola zakłopotanie. Starali się je zwalczyć... ale bez skutku. Coś się mieniło w Oliwerze. Krzysztof to odczuł. Przyjaciel żonaty, choćby nie wiem jakie czynił wysiłki, już nie jest tym samym przyjacielem. Duszy mężczyzny towarzyszy odtąd stale dusza kobiety. Krzysztof widział ją w całym Oliwerze, w nieznacznym połysku spojrzenia, w jakimś rozehyleniu ust, którego przedtem nie było, w nowym nagięciu głosu, w całym toku myśli.

Oliwer nie uświadamiał sobie tych właśnie zmian, jakie w nim zaszły, dziwił się tylko, że Krzysztof obecny nie różni się od dawnego. Nie twierdził zresztą wcale, iż sam się nie zmienił, wiedział, że rozwinął się, co zresztą odpowiadało jego wiekowi, ale dziwił się właśnie, nie dostrzegając tych cech rozwoju w przyjacielu. Krzysztof wydał mu się, jednem słowem skostniałym, zakrzepłym w dawnych ideach i myśłach, które ongiś i dla niego były drogą, ale teraz dziecinne, archaiczne jakieś i papierowe.

Brakło wspólnoty duchowej pomiędzy nimi. Oliwer nie doceniał teraz Krzysztofa, pogląd jego obecny był wypływem onej nowej duszy, jaka w nim obrała siedlisko. Zjawisko owo występowało jeszcze wyraźniej gdy Żaklina była przytomną ich rozmowie. Wówczas, pomiędzy oczyma Oliwera i Krzysztofa snuła się lekka przysłona ironji. Obaj starali się ukrywać swe uczucia. Krzysztof przychodził dość często, a Żaklina w naiwnej niewinności swojej wbijała weń czasem szpilki o nasiekanych ostrzach, które nie wychodziły z ran. Nie bronił się, nie odczuwał tego, tylko gdy wrócił do domu doznawał przygnębienia.

Pierwsze miesiące pobytu w Paryżu stały się dla Żakliny, a temsamem dla Oliwera okresem wielkiego zadowolenia i szczęścia. Z samego początku zajęła się urządzeniem domu. Znaleźli małe mieszkanko

w cichej uliczce w Passy. Okna wychodziły na ogrody. Wybór mebli i tapet wypełnił parę tygodni w sposób bardzo miły. Żaklina włożyła w to ogromną energię i namietność. Wydawało się, że zbawienie jej duszy zawisło od barwy i desenu portjery, czy kształtu komody. Potem nawiązała stosunki z ojcem, matką i przyjaciółkami, o których zapomniała całkiem podczas pierwszego roku miłosnych upojen. Wydało jej się, że czyni nowe odkrycia. Stopiwszy się w jedność z Oliwerem przyjęła także część jego duszy, przeto patrzyła teraz na rodzinę i domowych innemi oczyma. Odnalazła we wszystkich wielkie zmiany na korzyść. Zrazu nie tracił Oliwer zbyt wiele na porównaniu. Skupienie uczuciowe, poetyczny półcień będące admosferą duchową męża, uwypuklały zalety owych światowców, nie pragnących niczego poza życiem, użyciem i świetnością. Uwodzicielskie przywary i niebezpieczne słabości tego świata, który znała dobrze, bowiem była jego członkiem, podkreślały wartość Oliwera i jego solidność moralną, co ją napępiało dumą i zadowoleniem. Obie strony wychodziły przeto dobrze na porównaniu. Żaklina rozmyślała się w tych porównaniach i przesadzała nawet, chęć samej sobie udowodnić, iż świetny uczyniła wybór. Toteż nigdy może nie była dla Oliwera tak serdeczną, jak teraz.

Ale niebawem uświadomiła sobie też sprzeczności i różnice. Owe dwa światy, miast uzupełniać się harmonijnie, zwalczały się i walka ta zaostrzała się coraz to bardziej. Żaklina zadała sobie pewnego dnia pytanie, czemu Oliwerowi brak owych zalet, czyli raczej błędów, które jej tak miłymi czyniły przyjaciół i znajomych paryskich.

Nie powiedziała mu tego, ale Oliwer odczuł niepokojliwość w spojrzeniu żony, niemal krytykę i to go zaniepokoiło i zmartwiło bardzo. Wprawdzie nie utracił dotąd nad Żakliną władzy, jaką mu dawała miłość i harmonia w młodem małżeństwie byłaby trwała jeszcze długo, gdyby nie to, że nagle zmieniły się znacznie warunki zewnętrzne. Ta zmiana

wstrząsnęła budową będącą w stanie chwiejnej równowagi.

Quivi trovamo Pluto il gran nemico...

Zmarła siostra pani Langeais, bezdzietna wdowa po wielkim przemysłowcu, przywiązana do Żakliny i cały jej majątek przeszedł na rodzinę. Żaklina stała się skutkiem tego znacznie zamożniejszą. Gdy posłyszal o dziedzictwie wspomniął Oliwer słowa Krzysztofa i powiedział:

— Obchodziliśmy się bez tego 'wysmienicie... Kto wie, czy nam nie przyniesie szkody...

Żaklina wyśmiała się z niego:

— Oj głuptasie! Nie zdarzyło się dotąd, by to komuś zaszkodziło! Zresztą w życiu naszym nic się nie zmieni!

I z pozeru nie zmieniło się nic. Co więcej pewnego razu żaliła się Żaklina, że jest poprostu biedną w porównaniu z innymi.

To był rzeczywisty dowód zmiany. Potrójne dochody rozchodziły się teraz niewiadomo na co. Zadawali sobie pytanie, jak mogli dotąd wyżyć. Pieńdziedze płynęły pochłaniane potrzebami, które zdawały się koniecznie niezbędne i naturalne. Żaklina ubierała się teraz u wielkich krawców, odprowadzając krawczynię domową przychodzącą na kilka godzin, starą kobietę, która znała ją od dzieciństwa. Minęły czasy tanich kapelusików przybieranych niewiadomo czem, a mimoto tak pięknych, znikły również owe sukienki, może niezupełnie nienagannej elegancji, ale posiadające odblask wdzięku osobistego, piętno twórczości własnej. Coraz to bardziej ginał i zacierał się urok płynący od wszystkiego co ją otaczało. Sama zatracala się coraz to bardziej, stawała przeciętną i powszednią.

Przeprowadzili się oczywiście gdzieindziej. Dawne mieszkanie urządzone z takim trudem i przyjemnością wydało się teraz ciasne i brzydkie. Miast niewielkich, zacisznych pokoiów z oknami na smukłe, znane dobrze sylwety drzew, mieli teraz okazałe komnaty i kurytarze zasłane dywanami, apartamenty

bezosobiste, nie budzące uczuć, których pokochać nie można, gdzie musi osiąść nuda i smutek. Nie było już mebelków dawnych, pamiątek rodzinnych, ale wytwory tapicerskie martwe i takiesame martwe, cudze tapety.

W rozległym domu nie było miejsca dla wspomnień, toteż pierwsze lata wspólnego życia zostały wykreślone z pamięci. Źle robią małżonkowie przecinając tę nie wiążącą ich z pierwszym okresem życia miłości. Obraz tej przeszłości, to ochrona przeciwko depresji, przeciw starciom, jakie muszą przyjść nieuchronnie po upojeniach.

Żaklina była zamożną i to zbliżyło ją zarówno w Paryżu jak i w podróży (bogaci jeżdżą często tu i ówdzie) do owej klasy nieponiów pogardzających pracą, ludźmi pracującymi i ludźmi wogóle. Obracała się wśród nich i przyjęła ich poglądy z niezrównaną łatwością, wprost niepostrzeżenie. Dusze płytkie i bezpłodne wzięły ją w posiadanie i od razu uznała, że kołtuńskie, małomieszczańskie szczęście nie dla niej. Wyśmiewała się z obowiązków domowych, z owej *aurea mediocritas*, stała się śmiałą despotyczną i zapomniała zupełnie owych niedawnych chwil, kiedy wielkodusznie rozrzutną była w miłości, serdeczności i zapoznawaniu siebie samej na rzecz ukochanego.

Oliwer nie miał sił do walki, zresztą zmienił się także. Porzucił zawód profesorski i nie miał teraz zajęć obowiązkowych. Zabawiał się publicystyką i literaturą, dotąd cierpiał przez to, że nie mógł się cały oddać sztuce, teraz, mogąc to uczynić czuł, że wpadł w jakiś bezkres, nie widzi brzegu i nie może sobą kierować. Sztuka powinna mieć równowagę w zawodzie, w czynie, w codziennym obowiązku. Pozbawiona bodźca, pracy na chleb, traci jedną z najważniejszych cech, przestaje być żywą prawdą, pełną siły, a staje się zbytkiem. Najwięksi genjusze wyrażali w sztuce święty kwiat ludzkiego cierpienia. Zadowolony dosyt, to grunt niebezpieczny.

Oliwera ogarnął nastrój leniwej obojętności. — Po co? — pytał się siebie. I w samej rzeczy, nic go nie zmuszało do pracy. Nie tykał pióra i wałęsał się po świecie, nie mogąc się odnaleźć. Zatracił kontakt z kolegami zawodowymi, przebojem idącymi przez życie, orzącymi z wysiłkiem swój zagon. Dostał się w inny świat, gdzie mu było źle, ale świat ten wabił go i nęcił.

Był słaby, ciekawy wszystkiego i miły w obejściu. Ten nowy świat przyjął go ochotnie, a on go badał z życzliwością i spostrzegł, że posiada wdzięk, tylko brak mu mocy. Nie spostrzegł, jak rychło słabość owa, ugruntowana w nim samym objęła go w posiadanie i rozluźniła całą ową budowę mozolnie wznoszoną, którą zwiemy poglądem na świat.

Przemiana ta odbywała się w nim powolniej, niż w Żaklinie. Kobieta posiada zdolność przeistoczenia się z gruntu w jednej chwili. Ta właściwość nagłej śmierci i równie nagłego zmartwychwstania przeraża tych, którzy kochają kobiety. A jednak stworzenia te, nieopanowane wolą uważają za rzecz naturalną, niż są dzisiaj inne, niż były wczoraj, Są, niby płynąca woda. Kochanek ma do wyboru, dać się unieść, albo siłą odwrócić falę w inne koryto. W obu wypadkach zmiana jest nieuniknioną, a miłość zna dopiero ten, kto przeszedł ową niebezpieczną próbę. Przecudny ustrój dusz w pierwszych zaraz miesiącach, kiedy jest najsilniejszy, może zepsuć najdrobniejsza różnica drgań duszy jednego z dwojga. Cóż dopiero dziać się musi później, gdy nastąpi nagła zmiana majątkowa i przejście w inne otoczenie. Trzeba być bardzo silnym, albo bardzo tępym, by stawić należyty opór.

Oliwer i Żaklina nie byli ani silni ani tępi. Ogłędali się oboje w innym świetle, a oblicze przyjaciela stało im się obce. Kryli to znówu przed sobą, albowiem kochali się jeszcze. Oliwer uciekał się do pracy, która mimo braku zainteresowania, z tytułu pewnej regularności dawała mu chwile spokoju. Żaklina nie miała nic... nie robiła tedy nic! Wylegiwała się bez

końca w łóżku, to znów godziny całe spędzała w gotowni siedząc przed lustrem napół ubrana bez rucha, zatopiona w bezmyślnych marzeniach. Smutek gromadził się w niej, jak coraz gęstniejąca, ciężka, lodowata chmura. Nie była w stanie pozbyć się opętania miłosnego. Miłość, to najcudniejsza z rzeczy, jaką posiada ludzkość, jeśli znaczy ona: oddanie się pełne uniesienia, ofiarą własnego ja... najokropniejsza to sprawa i tragiczne rozczarowanie, jeśli staje się pogonią za użyciem za egoistycznym upojeniem zmysłów. Żaklina nie umiała sobie stworzyć innego celu życia.

Czasem usiłowała z dobrą wolą przepoić się uczuciem dla innych, lub wziąć udział w czyjejs niedoli. Ale nie udawało się. Cierpienie i jego widok napełniało ją wstrętem nieprzewyciężonym. Dwa, czy trzy razy, dla zaspokojenia sumienia, zrobiła coś, co wyglądało na dobrodziejstwo. Ale rezultat był bardzo nikły.

— Widzisz pan? — mówiła do Krzysztofa — Ile razy chce się zrobić dobrze, czyni się źle. Lepiej dać temu pokój. Ja przynajmniej nie mam do tego talentu.

Krzysztof patrzył na nią i myślał o jednej, przełotnie poznanej dziewczynie. Była to zachłanna, nieobyczajna gryzетка, niezdolna do żadnego prawdziwego przywiązania. Gdy jednak ktoś był jej sympatycznym okazywała mu miłość wprost macierzyńską, choćby człowieka tego nie znała jeszcze dnia poprzedniego. Nie cofała się przed najwstrętniejszymi nawet posługami, przeciwnie te, które wymagały najwięcej przewyciężenia sprawiały jej pewnego rodzaju zadowolenie. Nie zdawała sobie z tego sprawy. Zdawało się, że wyładowuje się tutaj cała odziedziczona, a utajona tęsknota ku dobremu, że w chwilach takich rozkwitała jej dusza. Ile razy mogła ulżyć niedoli, uczuwała zadowolenie i szczęście wewnętrzne, przeistaczała się tak, że gdy potem wybuchła jej swawolna, wyuzdana wesołość, przykro się robiło.

Dobroć tej, myślącej zresztą tylko o sobie i chciwej dziewczyny i egoizm dobrej zresztą Żakliny nie były to ani cnoty, ani występki. Jedno i drugie świadczyło jeno o stanie zdrowia ich dusz.

Żaklina na samą myśl o cierpieniu czuła się wdeptaną w ziemię. Wolałaby śmierć, jak cierpienie fizyczne, raczejby zmarła, niż miałaby utracić jedno ze źródeł uciech, piękność, lub młodość. Pewną była, że ma prawo do szczęścia, pełnego, większego niż inni, a szczęście to było nietylko jej wiarą, uważała je za cnotę. Nieszczęście wydawało jej się kalectwem i grzechem jednocześnie i na tej fundamentalnej zasadzie oparła teraz swe życie. Prawdziwa jej natura wyłoniła się z idealistycznych osłon dziewiczej, trwójnej wstydlivosti. Zbuntowawszy się przeciw onemu idealizmowi sądziła iż widzi wszystko jasno i sądzi trzeźwo.

Uznawała tylko to, co stało w zgodzie z opinią świata i wygodą życia. Stała się duchowo zupełnie podobną do matki. Chodziła do kościoła, pełniąc te obowiązki z przykładową i sumienną bezmyślnością. Nie dręczyła się pytaniem, czy to prawda, miała realniejsze troski i z pobłażliwą pogardą wspominała nadzmysłowe dociekania i bunty lat młodocianych.

Ale obecny realizm jej nie był silniej ugruntowany, niż dawniejszy idealizm, zmuszała się do niego. Nie była ani aniołem ani szatanem, była biedną, nudzącą się kobietą. Ach, jakże się straszliwie nudziła! A na usprawiedliwienie swe nie mogła nawet przytoczyć faktu, że ją Oliwer zaniedbuje, lub, że sama czuje doń odrazę. Życie zdało jej się замуrowaniem, zaryglowaniem raz na zawsze i zupełnie beznadziejnym. Tęskniła za nowem, ciągle odnawiającem się szczęściem, a dziecinne było to, że bardzo nikły talent szczęścia, jaki posiadała nie usprawiedliwiał tej tęsknoty.

Wiele jest takich kobiet i takich małżeństw. Są nudni przez swą nudę i nie ciekawi, ale cierpią są chorzy, przeto nie można im odmówić współczucia.

Żaklina nie była winną, że oddalała się od Oliwera, ani on nie był winien, że jej nie może przy-

trzymać przy sobie. Była, czem ją uczyniła jej natura. Nie wiedziała, że małżeństwo jest wyzwaniem natury, a gdy raz rzuconą została rękawiczka, można być pewnym, iż natura ją podejmie — tedy należy co prędzej gotować się do boju. Zauważyła tylko, że popełniła omyłkę. Oburzyła się na siebie, a rozczarowanie przemieniło się w złość w nienawiść do wszystkich co kochała, więc także do poglądów i wierzeń Oliwera, które dzieliła dawniej.

Wierzyła przedtem w małżeństwo oparte o wspólną wiarę w szczęście, którego treścią byłoby walczyć cierpienie razem i budować jedno dzieło. I pracowała nad owym dziełem, ale tylko dopóty, dopóki oświecało je słońce miłości. Gdy zaszło, ujrzała nagie ponure szczyty gór i nie miała odwagi iść dalej. I na cóż się zda osiągnąć szczyt? Cóż jest po tamtej stronie? Co za nowe, straszliwe oszustwo? Nie mogła uwierzyć, by Oliwer dał się ciągle jeszcze ludzi owym majakom, wmówiła w siebie, że nie jest on ani dosyć inteligentny, ani silny. Działała pod nakazem instynktu samozachowawczego, nie mogła oddychać powietrzem wyżyn ducha, przeto w obronie osobistej rozpoczęła atak. Zaczęła niweczyć wierszenia ukochanego, używając wszelkiej broni, ironji, zmysłowości, oplątywała go powojem żądz, rozczulała swą słabością, chciała go uczynić koniecznym podobnym do siebie, chociaż nie wiedziała jaką jest i czego chce. Oliwerowi nie przypadło w udziale powodzenie. Nie pytała czemu się to dzieje, czuła tylko upokorzenie, bo była niezłomnie przekonana, że ostatecznie tylko sławą różni się ludzie talentu od rozbitków.

Oliwer czuł, że ciąży na nim to milezące oskarżenie i ramiona mu opadały. Walczył ile mógł, podobnie jak przed nim ludzie walczyli i po nim walczyć będą, ale jak oni, walczył daremnie, bo jak u nich, istniała przeciwstawność egoistycznego instynktu mężczyzny i kobiety. Żaklina w zaślepieniu swem podkopywała stosunki męża z Krzysztofem, a to była jeszcze jedyna ucieczka, jedyne oparcie Oliwera, siła oparta

na uczuciu przyjaźni, którą mógł odeń wziąć i odżyć.

Od czasu wzbogacenia się małżonków, Krzysztof nie czuł się u nich dobrze. Pełne płytkiego snobizmu, zachowanie się Żakliny, które w obecności jego najwyraźniej z umysłu reptała, powodowana złośliwością, stało się w końcu nieznośne. Wybuchał czasem i wyrażał się ostro, co gniewało panią domu. Nie mogło to spowodować zerwania, byli sobie zbyt bliscy. Oliwer za nic nie odstąpiłby Krzysztofa, ale nie mógł go też narzucić żonie, gdyż miłość uczyniła go słabym. Krzysztof wiedział, ile przez to cierpi, wiedział, że pozostając dalej, nie oddaje mu przysługi, ale raczej szkodzi. To też postanowił wycofać się i, aby rzecz ułatwić, sam dał powód do rozłąki.

Oliwer był za słaby, by nie skorzystać ze sposobności i uczynił to, mimo, że czuł, iż przyjaciel robi ofiarę i doznawał wyrzutów sumienia. Krzysztof nie miał doń żalu. Pomyślał tylko, że słusznie nazywają żonę połowicą męża, gdyż żonaty mężczyzna nie jest już zupełnym człowiekiem.

Starał się ułożyć sobie życie bez Oliwera. Wmawiał w siebie, że rozstanie to nie będzie trwało wiecznie, ale mimo tego optymizmu, ciężkie nieraz przeżywał chwile. Odwykł od samotności. Podczas pobytu przyjaciela na prowincji, był cokolwiek sam, ale wiedział, że Oliwer wróci, było to pocieszenie się, a jednak zmieniło się w prawdę. Teraz był obecny, a mimo to znajdował się dalej niż przedtem. Wraz z przyjaźnią utracił najważniejszy bodziec czynu.

Dotąd każdą pracę łączył z Oliwerem, miał go zawsze przed oczyma, stało mu się to nawyczką i bez tej obecności przyjaciela praca nie starczyłaby sama na wypełnienie próżni. Teraz uczuł, a raczej uświadomił sobie dawny już fakt, że... Oliwer nie bierze udziału w jego dziele, że go nie ma!

I stracił równowagę. Przywrócić ją mogło jeno nowe uczucie. Cieszył się wprawdzie przyjaźnią pani Arnaud i Filomeli, ale te dwie ciche dusze nie mogły mu wystarczyć.

Obie kobiety czuły dobrze, że Krzysztof przeżywa czas wielkiej troski i współczuły z nim serdecznie. Pewnego dnia zdziwił się bardzo, widząc panią Arnaud wchodzącą do jego mieszkania. Nie ośmieliła się uczynić tego dotąd. Była wzburzona, ale Krzysztof przypisał to jej drażliwości. Usiadła bez słowa. Krzysztof starał się wyprowadzić ją z zakłopotania, robiąc honory domu. Rozmawiali o Oliwerze, bo wszystko go tu przypominało. Krzysztof mówił swobodnie, naturalnym głosem, nie zdradzając się z tem, co pomiędzy nimi zaszło. Ale pani Arnaud wiedziała wszystko, nie mogła się przeto powstrzymać i spytała:

— Panowie nie widujecie się już teraz?

Krzysztof sądził, że przyszła, by go pocieszyć. Rozgniewało go to, gdyż nie znosił, by się ktoś mieszał w jego sprawę.

— Ależ owszem, bywam u niego, ile razy mi się podoba!

Zarumieniała się i rzekła:

— Nie chciałam popełnić niedyskrecji.

Żał mu się zrobiło, że był opryskliwy, ujął ją przeto za rękę i powiedział:

— Proszę przebaczyć. Boję się zawsze, by go ktoś źle nie sądził, biedaczyska! Cierpi z tego powodu narówni ze mną!... Nie... nie, nie widujemy się już...

— I nie pisuje nawet do pana?

— Nie... — odparł zawstydzony.

— Jakże smutnem jest życie? — powiedziała po chwili.

Podniósł głowę.

— Nie, życie nie jest smutne, ma tylko przykre chwile! — rzekł stanowczym głosem.

Ale pani Arnaud mówiła dalej z goryczą:

— Ludzie się kochali... nie kochają się już... więc na cóż to wszystko?

— Wspomnienie, to rzecz cenna! — odparł.

— Poświęcił się pan dla niego... — ciągnęła dalej — Gdybyż przynajmniej ofiara przydała się na coś osobom kochanym? Ale nie stanie się przez to szczęśliwszym!

— Nie poświęciłem się! — oświadczył Krzysztof rozgniewany — A jeśli się nawet poświęcam, czy nie to dla własnej przyjemności! Nie warta o tem mówić, człowiek robi to, co musi, gdyby nie uczynił po swej myśli, napewne uczułby się nieszczęśliwym. Niema nic głupszego, jak to gadanie o ofiarach. Tylko zakapturzona pastorska dusza łączy ofiarę ze smutkiem! Cóż to za ofiara, która nie raduje? Nie poświęcajcie się wy, którzy nie czerpicie stąd roskoszy... nie godniście być ofiarnikami... Idźcie do licha! Nie umiecie żyć!

Śluchała, nie śmiejąc nań spojrzeć.

Nagle wstała i powiedziała:

— Żegnam pana!

Sądząc, że przyszła, by mu się z czegoś zwierzyć, rzekł gorąco:

— Proszę przebaczyć! Jestem egoista, mówię tylko o sobie... Niechże pani nie odchodzi...

Ale odparła:

— Nie, dziękuję... nie mogę...

I poszła.

Minęło sporo czasu zanim się spotkali ponownie. Nie dawała znaku życia, a Krzysztof nie poszedł ani do niej, ani do Filomeli. Lubiał bardzo obie, ale bał się, by nie mówiły o rzeczach smutnych. Żył samotny, ale pewnego dnia uczuł się przygnębiony swą egzystencją w atmosferze wyżynnej, gdzie powietrze zbyt rzadkie dla płuc. Zapragnął ludzi, nowych twarzy, nowych wrażeń, uczuć nowych, bo uczuł, że tylko w ten sposób odnaleźć może siebie.

Chodził teraz często do teatru, który zaniedbał od pewnego czasu. Uważał go za dobrą szkołę dla muzyka, który chce obserwować jak wyraża się namiętność i pragnie pochwycić jej wyraz.

Od samych początków swego pobytu w Paryżu nie lubił sztuk fancuskich, a nie zmienił dotąd swego zapatrywania. Tematy były wciąż te same, wszystko kręciło się koło psycho-fizjologii miłości i nie mógł oczywiście w tem gustować. Ale prócz tego francuski

język teatralny wydał mu się, zwłaszcza w dramatach wierszowanych, z gruntu fałszywym. Ani proza, ani poezja nie odpowiadały żywotnym cechom narodu. Proza, sztuczna i płytka przydać się mogła najwyżej blagierowi salonowemu dla zabawiania dam, lub drugorzędnemu feletoniście. Poezja dramatów, było to coś, co już określił Goethe:

„Poezja, to rzecz dobra dla ludzi, nie mających nic do powiedzenia“...

Poezja ta, była niby rozczynek wodnistym i mętnym prozy. Do pomysł owych, dosypano kilka garści obrazów, zacierających się wzajem, a ta nadmiernie stosowana przyprawa, zaczerpnięta była zresztą z literatury obcej. Wszystko dawało wrażenie kłamstwa i obłudy. Krzysztof znalazł w dramatach owych uderzające podobieństwo do włoskich oper, napchanych słodkawymi, rzęgotliwymi ariami i teatralnymi ćwiczeniami wokalnymi. Więcej niż sztuki zaciekawiali go aktorzy. I autorowie sztuk, zwracali na nich główną uwagę.

— Nie można sobie wyobrazić sztuki dającej jakikolwiek sukces, bez starannego modelowania bohaterów podług występów, nałogów i wogóle świństw, wybitnych aktorów stolicy.

Od kiedy Diderot napisał te słowa, nic a nic się nie zmieniło we Francji. Komedjanci byli pierwowzorami autorów. Każdy taki błazen lub błaznica, osiągnąwszy pewną porcję sławy, sprawiali sobie zaraz teatr i najmowali krawca-poetę, który im sporządzał sztuki na ich przykrojoną miarę.

Pośród takich manekinów literackich, będących w modzie zaciekała Krzysztofa niejaka Franciszka Oudon. Od roku, czy dwu lat, szalał za nią Paryż. Oczywiście miała swój teatr i swych dostawców ról. Ale pozatem grywała też inne rzeczy, a bogaty jej repertuar obejmował dziwną mieszaninę wszystkiego od Ibsena do Sardou — od d'Annunzia, do Dumasa młodszego i od Bernarda Shawa, aż do najmłodszych krawców teatralnych. Czasem nawet wychylała się na fale klasycznego heksametra, wedle wzorów wersal-

skich, lub zanurzała w odmęty namiętnych wirów Szekspira. Ale nie było jej dobrze w tem środowisku, a widzom również nie przypadło to do gustu. Cokolwiek zresztą grała, nie przestawała być sobą. Było to jej siłą i słabością zarazem. Jak długo opinia nie zwróciła uwagi na jej osobę, tak długo nie miała żadnego powodzenia, od chwili jednak, gdy zainteresowano się nią osobiście, wszystko wydało się prześlicznem. I w rzeczy samej, było na co popatrzeć. Znikały niedomagania danej sztuki, przestawała ona sama istnieć, artystka używała jeno motywów z niej, by ukazać siebie samą. Toteż niezmiernie zaciekało Krzysztofa to zjawisko kobiece, któremu nieznana dusza nadała kształt.

Miała około trzydziestu lat. Krzysztof słyszał raz pewnego na zebraniu u Gamacha, brutalnie wyrażone pochwały. Była to pono samoistna, mądra, odważna dziewczyna, obdarzona ogromną energią i żądzą sławy, przytem opryskliwa, uparta, zmienna i gwałtowna. Powiadano, że wycierpiała dużo zanim stała się znaną i podziwianą i teraz oto, chce sobie powetować minione przykrości i niedostatek.

Pewnego dnia udał się Krzysztof koleją do Meudon, do Filomeli. Wsiadł do przedziału i zastał tam Franciszkę Oudon. Wydało mu się, że jest wzburzona i cierpiąca. Na widok Krzysztofa doznała nieprzyjemnego uczucia, z czem się nie kryła weale. Obrociła się doń tyłem i patrzyła bez przerwy w okno. Krzysztof zaniepokojony bolesnym skureczem jej rysów nie spuszczał z niej oka. Patrzył z wyrazem naiwnego współczucia, co jej najwyraźniej ciążyło. Czuli to spojrzenie i była zła; po chwili spojrzała nań z wściekłością, ale on nie zrozumiał o co idzie. Wysiadła na najbliższym przystanku i zajęła miejsce w innym wozie. Teraz dopiero spostrzegł, że ją wystraszył z przedziału i było mu to bardzo przykre.

W kilka dni później siedział na ławce w poczekalni pewnej miejscowości tejsamej linii kolejowej. Cekał na pociąg do Paryża. Zjawiła się i zajęła miejsce obok niego. Chciał wstać, ale powiedziała:

— Proszę zostać!

Byli sami. Przepraszał ją, że przed paru dniami zmusił ją do zmienienia wagonu i oświadczył, że sam byłby wysiadł, gdyby spostrzegł, że ją drażni.

Uśmiechnęła się ironicznie i odparła:

— Rzeczywiście, nieznośne było to uporczywe wpatrywanie się pańskie.

— Proszę wybaczyć — powiedział — nie mogłem się powstrzymać... Była pani wyraźnie cierpiąca...

— No, więc cóż z tego? — odrzuciła twardo.

— Nie mogę na to patrzeć obojętnie. Przecież widząc tonącego, podałyby mu pani rękę!

— Ja? Ani mi się śni! Przeciwnie, przytrzymałabym mu głowę pod wodą, by prędzej skończył!

Powiedziała to z gorzką i jakąś dziwną wesołością, a widząc jego przerażenie, roześmiała się głośno.

Pociąg nadszedł. Wszystkie wagony, z wyjątkiem ostatniego były przepelnione. Wsiadła. Konduktor naglił do pośpiechu. Krzysztof, któremu nie zależało na dalszej rozmowie, chciał iść do innego przedziału. Ale zatrzymała go:

— Proszę wsiadać! — a kiedy już siedział obok niej, dodała: — Dziś mi pan nie przeszkadza.

Potoczyła się rozmowa. Krzysztof z wielką powagą tłumaczył jej, że nie wolno przechodzić obojętnie mimo ludzi, że można sobie wzajem świadczyć wiele dobrego, jeśli się wnika w cierpienia bliźnich, pomaga im i pociesza...

— Pocięcha? — zdziwiła się — Kpię sobie z tego!

A gdy Krzysztof upierał się przy swoim, powiedziała:

— No naturalnie, rola pocieszyciela jest często bardzo korzystną, przynosi zyski...

Dopiero po chwili zrozumiał, co ma na myśli. Pojawszy, że podejrzewa go o to, iż chciał wykorzystać sytuację, podczas gdy myślał tylko o niej... wstał nagle oburzony, otworzył gwałtownie drzwi wa-

gonu i chciał wysiąść, mimo, iż pociąg był w pełnym biegu. Z wielkim trudem udało jej się powstrzymać go. Głęboko wzburzony usiadł i zamknął drzwi, właśnie w chwili, gdy wjeżdżali do tunelu.

— Widzi pan! — powiedziała — Mógł pan się zabić.

— Gwizdę na to! — zawołał.

Nie miał właściwie ochoty mówić do niej, ale nie wytrzymał i burknął:

— Świat jest pełny głupców! Ludzie dokuczają sobie, wszyscy cierpią, a kiedy zjawi się ktoś z pomocą, to natychmiast podejrzewają go o niskie pobudki. To jest wstrętne... ohydne!

Starła się go uspokoić, śmiała się, położyła rękę na jego rękę, mówiła życzliwie i wymieniła jego nazwisko.

— Jakto, pani mnie zna? — zdziwił się.

— Oczywiście, w Paryżu znamy się przecież wszyscy... Pan również zalicza się do tych, co budują kulturę. Bardzo mi przykro, że to panu powiedziała! Widzę, iż pan jesteś naprawdę dobrym człowiekiem! No, dość tego! Uspokój się pan i zawrzyjmy przy mierze!

Podali sobie dłonie i rozmawiali po przyjacielsku.

— Widzi pan — mówiła — to właściwie nie moja wina. Tyle nagromadziłam przeróżnych doświadczeń, że stałam się podejrzliwa!

— I mnie ludzie nieraz zawiedli, — odrzekł — a jednak zawsze udzielam im kredytu...

— Widzę, — zawołała ze śmiechem — że pan może połknąć dużą porcję rozezarowania, ma pan strawny żołądek!

— Zgadła pani! Byłem do tego nieraz zmuszony, a nie doznałem nigdy zakłócenia zdrowia. Połykam z łatwością nawet twarde kaski, jak na przykład nędzę, a gdy tak padnie, to także nędzników, którzy się na mnie rzucają. Mimo wszystko czuję się wyśmienicie!

— Panu łatwiej, — powiedziała — bo pan jest mężczyzną!

— A pani kobietą... — zaczął.

— Właśnie, w tem cała bieda!

— Przeciwnie, — zawołał — w tem cała korzyść, bo wszystko może się stać w kobiecie i przez kobiety piękne i dobre!

Roześmiała się, trochę szyderczo.

— Może się stać! — odrzekła — Ale co na to powie świat?

— Trzeba się bronić przed światem?

— A w cóż się obróci wówczas dobro i piękno?

— To prawda! — przyznał — walka zabija szczęście, jeśli trwa za długo i jest zbyt uporczywa...

— Tak... tak... — rzekła — Złe jest cierpieć zbyt wiele! To wysusza duszę... strasznie wysusza!

Chciał ją znowu pocieszać, ale w sam czas przypomniał sobie, że tego nie lubi, przeto powiedział:

— Czyż mi pani jeszcze będzie wyrzucała, że korzystam z roli pocieszyciela?

— Nie, nigdy! Nie powiem tego i nie pomyślę! — zawołała — Przekonałam się, że pan jest dobry i szczerzy. Dziękuję panu! Nie... nie... nie mów pan już nic... pan nie wie... Jeszcze raz serdecznie dziękuję!

W tej chwili znaleźli się w Paryżu i rozstali się nie zostawiając sobie adresów, nie zapraszając się wcale w odwiedziny.

W miesiąc, czy dwa potem przysłała i zadzwoniła do drzwi Krzysztofa.

— Przyszłam — oświadczyła — gdyż czuję potrzebę porozmawiać trochę z panem. Od czasu naszego spotkania myślałam o panu często.

Usiadła.

— Nie zostanę długo, nie będę przeszkadzała!

Zaczął rozmowę, ale przerwała:

— Przystań pan na chwilkę!

Siedzieli w milczeniu. Potem odezwała się z uśmiechem:

— Było mi strasznie źle! Teraz czuję ulgę! Chciał pytać.

— Nie... nie... daj pan pokój!

Rozglądała się po pokoju, patrzyła na różne przedmioty, czyniła spostrzeżenia, наконец wzięła w rękę fotografię Luizy.

— To pewnie matka pańska? — spytała.

Patrzyła na postać starej kobiety ze współczuciem.

— Szczęśliwy z pana człowiek! — powiedziała poważnie.

— Niestety, zmarła! — odparł.

— To nic! Miałaś ją pan, a to rzecz główna!

— No, a pani...

Zmarszczyła czoło i nie odpowiedziała. Nie chciała by ją wypytowano o sprawy osobiste.

— Mówmy lepiej o panu, proszę mi opowiedzieć coś ze swego życia!

— Cóż to panią obchodzi?

— To moja rzecz... opowiadaj pan!

Nie chciał mówić, ale nie udało się, musiał odpowiadać na pytania, a ona była zreczną. Toteż wygadał się ze wszystkim, zdradził się nawet z tego, że zerwanie z Oliwerem gnębiło go dotąd. Opowiedział całą historję tej przyjaźni i jej smutny koniec. Słuchała życzliwie, ale uśmiechała się trochę dziecięco. Nagle krzyknęła:

— Ach, któraż to? Boże wielki, siedzę tu od dwu godzin... Proszę przebaczyć... Jakże mnie to odświeżyło! Czy mogę jeszcze przyjść? Nie często... ale tak... od czasu do czasu... Ogromnie by mi to dobrze zrobiło, ale nie chcę pana nudzić i kraść panu czasu...

— Przyjdę do pani! — powiedział.

— Nie, nie, nie przychodź pan. Ja przyjdę tutaj... wolę... wolę!

Ale minęło dużo czasu, a nie zjawiała się u Krzysztofa. Pewnego dnia dowiedział się przypadkiem, że ciężko zachorowała i nie grywa od wielu tygodni.

Nie pomny zakazu udał się do niej zaraz. Nie przyjmowała nikogo. Wymienił swe nazwisko i odszedł, ale zawrócone go ze schodów. Leżała w łóżku; ale czuła się znacznie lepiej. Przeszła zapalenie płuc i była bardzo zmieniona. Mimo to nie straciła drwiącego wyrazu twarzy i ostrego spojrzenia. Uradowała się szczerze przybyciem Krzysztofa i poprosiła, by usiadł przy niej. Opowiadała z właściwymi sobie kpinkami, przebieg choroby, która omal nie pozbawiła jej życia, a gdy spostrzegła wzruszenie Krzysztofa wyśmiała go. Wyrzucał jej, że mu nie dała znać.

— Zawiadomić pana? — krzyknęła — Pocóż to? Byłbyś zaraz przyszedł! Nie, za nic w świecie...

— Założyłbym się, że pani ani razu nie pomyślała nawet o mnie... — powiedział.

— I wygrałbyś pan! — odparła — z ironią i pewnym smutkiem — Przez cały ciąg choroby nie myślałam o panu, ani na chwilę. Ale dziś właśnie wspomniałam pana, właśnie dzisiaj. Proszę sobie z tego nie nie robić, gdy jestem chora nie myślę o nikim, pragnę tylko, by mnie ludzie zostawili w spokoju. Obracam się nosem do ściany i czekam co będzie. Chcę być samą, przetrwać lub zginąć, jak szczer.

— To straszna rzecz, cierpienie w samotności! zauważył.

— Nawykłam do tego. Przez całe lata byłam nieszczęśliwa, a nikt mi nie spieszył z pomocą. Przyzwyczaiłam się... To nawet i lepiej. Przecież nikt nikomu naprawdę pomóc nie może. Ludzie robią tylko hałas, walczą się po pokoju, krzają się koło człowieka obłudnie, robią głupie miny... Nie, nie, wolę umierać samotnie!

— Pani jest zrezygnowana? — spytał.

— Nie! Nie znam i nie uznaję rezygnacji! Zaczynam zęby i walczę z owym przeklętym złem, które mnie napadło...

Spytał, czy bywa kto u niej, czy ma opiekę.

Powiedziała, że koledzy z teatru, to ludzie do brzy i zapytują się o nią, radziby nawet pomóc. Są

wprawdzie durniami, ale nie brak im życzliwości... owej powierzehownej, współczesnej życzliwości.

— Powtarzam panu, że sama nie chcę ich widzieć. Jestem nieznosną osobą, kapryszką!

— Ja zniósłbym wszystkie kaprysy pani! — oświadczył.

Spojrzała nań z politowaniem i powiedziała:

— Mówisz pan to samo co wszyscy mężczyźni, pocieszyciele w Paryżu!

— Proszę przebaczyć! — prosił — Proszę przebaczyć! Boże drogi... stałem się więc Paryżaninem... Wstydzę się... Przysięgam, że nie miałem żadnej ubocznej myśli, mówiłem szczerze...

Ukrył twarz we fałdach kołdry. Roześmiała się i uderzyła go zlekka po głowie.

— No, to ostatnie oświadczenie nie ma w sobie nic paryskiego. W sam czas cofnął się pan. Poznaję w tem pana... No, proszę podnieść głowę... kołdra przemoknie od pańskich łez.

— Czy pani przebaczyła i zapominała?

— Przebaczam i zapominam! Ale proszę nie wpadać w recydywę.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, Franciszka pytała co robi, potem jednak uczuła się znużoną i odprawiła go.

Umówili się, że zobaczą się za tydzień. Ale właśnie w chwili, kiedy wybierał się do niej otrzymał depeszę, w której prosiła go aby nie przychodził, gdyż nie czuje się usposobioną i przebywa mały kryzys nerwowy. Zapraszała go na pojutrze.

Przyszedł i spostrzegł, że szybko przychodzi do siebie. Leżała na szezlongu przy oknie. Nadchodziła wiosna, niebo było przeświecone słońcem, na drzewach rozwijały się pączki. Była przystępniejsza i łagodniejsza jak przedtem. Powiedziała mu, że w czasie ostatnim nie mogła znieść nikogo, nawet jego...

— A dziś? — spytał.

— Dzisiaj czuję się młodą i rześwą i cieszę się wszystkim młodem i świeżem wokół.

— Wszakżem nie jest już tak bardzo młody i świeży.

— Zostaniesz pan dzieckiem do śmierci.

Mówili o tem, co robił w ostatnim czasie, potem o teatrze i rozpoczęciu występów. Przy tej sposobności powiedziała mu, że w gruncie rzeczy teatr ją odpycha, jako rzecz błaha i fałszywa, ale nie może się zeń wyswobodzić.

Nie chciała, by często do niej przychodził, natomiast obiecała bywać u niego. Bała się tylko, że mu może przeszkadzać. Powiedział jej, o której porze może przyjść bez wszelkich skrępowań. Umówili znak rozpoznawczy. Miała zapukać do drzwi w pewien, właściwy sposób. Otworzy, jeśli będzie miał ochotę, jeśli nie, pójdzie sobie...

W pierwszych tygodniach po wyzdrowieniu nie korzystała z umowy. Pewnego wieczoru, jadąc na jakieś wielkie przyjęcie gdzie miała deklamować, uczuła nagle straszną niechęć do ludzi. Wysiadła, za telefonowała, że przybyć nie może i kazała się zawieźć do Krzysztofa. Miała zamiar wpaść tylko na chwilę i powiedzieć mu: dobry wieczór. Ale właśnie owego wieczoru otwarła przed nim serce swoje i opowiedziała całe dzieje życia od dzieciństwa począwszy.

Smutne to były dzieje, najsmutniejsze zaś dzieciństwo. Ojcem jej był jakiś przygodny człowiek, którego nie znała wcale. Matka miała w miasteczku na północy szynkownię najgorszego gatunku. Stała przy ulicy, furmani wstępowali tam na wódkę, spędzali noc z gospodynią i bili ją na odjezdnem. Jeden z nich ożenił się z nią, albowiem miała nieco uskładanego grosiwa. Bił ją dalej i zapijał się. Franciszka miała starszą siostrę, która pełniła w szynkowni obowiązki dziewczki do posług. Targała siły w ciężkiej pracy. Gospodarz posiadał ją w oczach matki i robił swoją kochanką. Dostała suchot i zmarła niedługo. Franciszka wzrastała wśród bijatyk codziennych i plugawych gadanin. Było to dziecko blade, zgorzkniałe, zamknięte w sobie o dzikiej nierozwiniętej duszy.

Widziała jak matka i siostra cierpią, poddają się swemu losowi, upadają się i mrą, toteż opanowała ją uporna wola walki i buntu. Postanowiła nie poddać się i wyjść z tego strasznego środowiska. Była buntowniczką z urodzenia, na widok niesprawiedliwości i okrucieństwa dostawała ataków nerwowych, gdy ją bito, drapała i gryzła.

Pewnego dnia chciała się powiesić, ale nie doszło do tego. Zaledwo poczuła ściskanie gardła odeszła ją chęć, poznała, że mogłaby to uczynić z wielką łatwością i napoły uduszona rozciągnęła pętlę drżącymi, zlodowaciałymi palcami. Ogarnęła ją ogromna żądza życia, postanowiła nie schodzić ze świata, ale zwyciężyć, zostać wolną, bogatą i zdeptać tych wszystkich, którzy ją gnębić się pozwalają.

Krzysztof uśmiechnął się smutnie, wspominając podobne przejścia duchowe własne.

Pewnego dnia zaprzęsiła to sobie.

Do komory gdzie syiała dochodziły wrzaski i klątwy furmana, płacz matki i jej siostry. Wszystko to było okropne, a jednak przysiągłszy poczuła wielką ulgę, zacisnęła zęby i powiedziała:

— Położę was wszystkich u moich stóp.

W tem smutnem dzieciństwie był jeden moment świetlany. Pewnego dnia urwis jakiś, jeden z wielu, z którymi wałęsała się po ulicy i polu, syn stróża domu, gdzie mieścił się teatr zabrał ją ze sobą na próbę. Zaczaili się w ciemności, w kątku widowni, a przed jej oczyma rozbłysnął świat nieznan. Misterjum sceny olśniło ją, działy się tam rzeczy niezrozumiałe, mówiono coś, czego nie pojmowała, królewską była mina aktorki, grającej rzeczywiście dramacie. Odrętwiała z wrażenia, a serce jej waliło młotem... Tak... niezawodnie... to się stać musi jej udziałem! Ale jakże się zabrać do dzieła?

Po próbie postanowiła za każdą cenę zobaczyć przedstawienie wieczorne. Wysłała przodem swego towarzysza i udała, że idzie za nim, potem zaś wśliznęła się do teatru i wlała pod ławkę. Siedziała

tam trzy godziny i dusiła się od kurzu podnoszącego się z podłogi w chwili, kiedy publiczność zaczęła się gromadzić. Wyciągnięto ją z kryjówki, wysmiano i wyrzucono na ulicę, a potem zaprowadzono do domu, gdzie otrzymała zwiększoną porcję cięgow. Tej nocy ustaliło się w niej postanowienie. Wiedziała już co ma czynić, by pokonać tych wszystkich ludzi i zemścić się na nich.

Zaraz nazajutrz uciekła od matki i przyjęła służbę w hotelu obok teatru położonym, gdzie zajeżdżali wędrowni aktorzy.

Nie umiała czytać, ani pisać, nie czytała nigdy nic i nie miała z czego czytać. Ale chciała się uczyć i wzięła się do rzeczy z ogromnym zapalem. Kradła książki z pokojów przejezdnych i czytywała je przy blasku księżyca, lub o świcie, oszczędzając świece. Aktorzy są to ludzie nie nawykli do porządku, przeto nie dostrzegano kradzieży, a właściciele książek poprzestawali na klątwach. Zresztą odnosiła książki po przeczytaniu — z wyjątkiem kilku, których treść tak ją bardzo zajęła, że nie miała siły rozstać się ze swoim skarbem. Nie zwracała jednak książek w pierwotnym stanie. Wydierała kartki zawierające rzeczy najpiękniejsze, a potem zdekompletowane egzemplarze wsuwała pod łóżka lub kryła pod meble, tak, by się wydawało, że nikt ich nie zabierał z pokoju.

Często podsłuchiwała pod drzwiami aktorów studiujących rolę, a kiedy była sama, zamiatając kurytarz, naśladowała wymowę i robiła uroczyste gesty. Przyehwycono ją na tem pewnego dnia, zwymyślano i wysmiano. Mileżała pełna gniewu. Taki stan rzeczy mógł trwać nie wiadomo jak długo, ale popeliła raz wielką nieostrożność. Porwała z pokoju jednego aktora rolę. Wpadł w pasję. Nikt prócz niej tam nie wchodził przeto obwiniał dziewczynę o kradzież. Zapierała się najbezczelniej, a aktor zagroził, że każe zrobić rewizję. Wówczas rzuciła mu się do nóg, wyznała wszystko, opowiedziała o kradzieży książek, wyrwaniu karetek, słowem odprawiła spowiedź generalną.

Klął okropnie, ale nie był taki zły, jak się wydawało, udawał tylko pasjonata. Zapytał, czemu to wszystko czyniła, a gdy mu powiedziała, że chce zostać artystką dramatyczną wysmiał ją nielitościwie. Potem zaczął wypytывать, a ona recytowała z pamięci całe strony.

Zdziwiło go to i spytał, czy chce, by ją uczył. Zdawało jej się, że została uniesioną do nieba i całowała po rękach.

— Ach, jakżebym go była kochała! — wykrzyknęła w tem miejscu opowiadania — Niestety uzupełnił swą propozycję:

— Ale wiesz przecież moje dziecko, że nic w tym świecie zadarmo!

Była dotychczas niewinną. Odpychała od siebie wszystkie zakusy rozmaitych drabów i uciekała ze zwinnością dzikiego zwierzątka. Patrząc ciągle na występki nabrała obrzydzenia do wstrętnych scen, ukochała czystość ciała i duszy i za nic nie byłaby się zgodziła na dotknięcie niskiej zmysłowości, pozbawionej miłości. Posiadała wówczas to wszystko i musiała ponieść ofiarę...

— Pani się zgodziła? — spytał Krzysztof ogromnie zdumiony.

— Tak! Byłabym skoczyła w ogień, byle znaleźć inne wyjście. Ale zagroził, że mnie, jako złodziejkę wtrąci do więzienia. Nie miałam wyboru! — W ten sposób wtajemniczoną zostałam w arkanasztuki i poznałam życie...

— Nędznik! — szepnął Krzysztof.

— Nienawidziałam go. Ale przez długie lata spotykałam tylu innych, jemu podobnych, że nie uważam go za najgorszego. Dotrzymał przynajmniej słowa, wyuczył mnie swego rzemiosła aktorskiego o ile je sam znał, wreszcie umieścił mnie w teatrze. Byłam zrazu popychadłem, do wszystkiego, grałam najostatniejsze role. Pewnego wieczoru zachorewała nagle subretka i odważono się dać mi jej rolę. Od tej pory grywałam stale. Wszyscy twierdzili, że jestem wprost niemożliwa, śmieszna, dziwna. Byłam wówczas brzydka

i taką pozostałam aż do dnia, w którym mnie nagle uznano — nie za „boską“ jak tyle innych, ale za „kobietę w najwyższym słowa znaczeniu“, jak pisał krytyk... jednym słowem za: kobietę.

— Co za głupcy! — dodała, a potem ciągnęła dalej: — Grę moją uznano zresztą za błędną i przesadną, publiczność nie chciała na mnie patrzeć, koleżanki wyśmiewały się ze mnie, trzymano mnie jednak, gdyż mimo wszystkie wady, mogłam być użyta do wszystkiego i ponadto pobierałam bardzo niską płacę. Każdy krok naprzód musiałam okupywać cierpieniem... ciałem własnem. Koledzy, dyrektor, impresario, przyjaciele impresaria...

Zamilkła. Siedziała blada, z zaciśniętymi ustami, bez łzy w oku, chociaż dusza jej płakała i szloch ten słyszał Krzysztof wyraźnie. W błyskawicowym świetle wspomnień ujawniła się cała miniona hańba jej życia, ale także nieugięta wola zwycięstwa, wiedząca poprzez upokorzenia do celu. Wiele, wiele razy pożyła śmierci, ale jakże okropnem byłoby, by owe męki nie zdały się na nic, by padła pośród drogi.

Milezała, a Krzysztof chodził po pokoju, jak niedźwiedź po klatce. Mruczał i zgrzytał zębami. Byłby w tej chwili zdolny pomordować ludzi, którzy dręczyli tę kobietę, którzy ją tarzali w błocie. Spoglądał na nią z głęboką litością i stając przed nią ujął jej głowę w obie dłonie, pogładził po skroniach i czołe i powiedział:

— Biedne, biedne stworzenie!

Uczyniła gest odporu. Ale rzekł jej:

— Niech się pani nie boi. Lubię panią naprawdę bardzo!

W tej chwili potoczyły się po jej bladych policzkach łzy. Ukląkł i całował piękne, wąskie, białe ręce zroszone łzami.

Potem usiadł. Ona odzyskała panowanie nad sobą i podjęła spokojnie opowiadanie.

Na wyżyny powodzenia wprowadził ją pewien poeta. Odkrył on w owym dziwnym stwerczeniu demona i geniusz, owięcej istotę nową, nowy typ te-

atralny, nową kobietę przedstawicielkę nowych czasów. Oczywiście, jak tylu innych, przedtem uczynił ją swą kochanką, a ona oddała mu się, jak tamtym bez miłości, przeciwnie z nienawiścią w sercu. Ale utrwalił jej sławę, a ona wstawiła jego.

— Ale teraz, — powiedział Krzysztof — nikt nie już do pani nie ma i posiada pani zupełną swobodę postępowania!

— Tak pan sądzi? — spytała z goryczą.

I opowiedziała mu rzecz, będącą ponowną ironią losu, zwierzyła mu się z namiętnej miłości dla pewnego nędznika, którym w gruncie rzeczy pogardzała. Był to literat, który ją wyzywał, wydarł jej najboleśniejsze tajemnice, zużytkował je, opublikował, a potem znikł.

— Pogardzam nim — mówiła — jak błotem ulicznym i drzę z wściekłości na myśl, że go kocham, że starczy kiwnięcia palcem, a pospieszę i ukorzę się przed nędznikiem. Cóż czynić? Serce me nie kocha nigdy tego ku czemu wyrывa się rozum i naprzemian muszę zawsze jedno poświęcać drugiemu, jedno rzucić w proch u stóp drugiego. Mam serce, mam ciało, jedno i drugie domaga się głośno udziału w szczęściu, a ja nie posiadam siły nałożyć im pęt, nie mam ostoji wiary, nie wierzę... jestem wolna... wolna! Ach, coż to za wolność? Niewolnicą jestem mego serca i ciała, które często, zawsze niemal przeciwdziałają mi. Daję się porwać i wstydę się tego, ale coż mam czynić?

Zamilkła na chwilę i mechanicznie grzebała szczypcami w popiele kominka.

— Zawsze słyszałam, że aktorzy nie odczuwają niczego! — powiedziała — Sama znam wielu i wiem, że wszystkie ich troski redukują się do kwestyi miłości własnej i honorów, na które są łakomi. I nie wiem, czy to oni nie są prawdziwymi, wielkimi artystami, czy może ja nie jestem artystką. Sądzę, że ja nie mam prawa do tego tytułu. W każdym razie cierpię za innych.

Przestała mówić. Była godzina trzecia. Zabierała się do odejścia. Krzysztof zaproponował, by została do rana i spoczęła na jego łóżku. Ale wolała siedzieć w fotelu przy wygasłym kominku i rozmawiała z nim dalej spokojnie. Cisza panowała w całym domu.

— Jutro będzie pan zmęczony! — zauważyła.

— Nawykłem do tego! — odparł — Ale co pani ma jutro do roboty?

— Jestem wolna, z wyjątkiem godziny zajęcia około jedenastej... Zresztą zrobiona jestem z mocnego drzewa!

— Dobrze pani sypia?

— Doskonale! Najcięższa troska nie pozbawia mnie snu. Czasem wściekłość mnie ogarnia, że tak dobrze sypiam! Ileż godzin życia traci człowiek!

Rozmawiali dalej półgłosem z coraz dłuższymi przestankami, aż wreszcie Krzysztof zasnął. Uśmiechnęła się, podsunęła mu pod głowę poduszkę, tak, by się nie zesuwała na bok. Siedząc przy oknie, patrzyła zadumana w ciemń ogrodu, która powoli zaczęła się rozświetlać brzaskiem. Koło siódmej zbudziła Krzysztofa i pożegnała się z nim.

W ciągu miesiąca przychodziła kilka razy w dzień, właśnie w porze, gdy go nie było w domu. Drzwi były zamknięte. Krzysztof dał jej przeto drugi klucz, by mogła wejść, ile razy go nie zastanie. Zdarzyło się nieraz, że przybyła napróżno. Wówczas zostawiała zawsze coś na stole, bukietik fiołków, parę słów na kartce, albo znowu kilka kresek, rysunek, czy karykaturę na znak, że była.

Pewnego wieczoru po przedstawieniu przyszła na pogawędkę przyjacielską. Krzysztof pisał. Zaczęli rozmawiać. Ale zaraz od pierwszych słów spostrzegli, że nie są w owym szczęśliwym ukojnym nastroju, jaki panował poprzednio. Chciała odejść, ale było późno. Krzysztof nie namawiał jej, by została. Uczyniła to z własnej woli. Oboje czuli, że wzrasta w nich pożądanie... rozmowa rwała się coraz to bardziej i na koniec padli sobie w objęcia.

Po tej nocy przestała przychodzić i trwało to kilka tygodni. Krzysztof czuł, że zmysły jego zażnione od długiego czasu, zbudziły się nagle i nie mógł się bez niej obejść. Zabroniła mu wizyt w jej domu, chodził przeto do teatru, by ją zobaczyć. Siadywał ukryty w fotelu ostatniego rzędu i płonął wzruszeniem i miłością. Drżał, patrząc na jej grę przepełnioną żarem tragizmu i czuł ten żar w sobie. Nakoniec napisał:

— Droga przyjaciółko! Czy gniewasz się na mnie? Przebacz, jeśli cię zraziłem.

Otrzymałszy te pełne skromności słowa, przybyła natychmiast i rzuciła się w jego ramiona.

— Lepiejby było — mówiła — gdybyśmy byli poprzestali na uczuciu przyjaźni. Ale nie udało się. Teraz niema sensu walczyć z niepodobieństwem! Niech się dzieje co chce...

Zostali kochankami, ale każde mieszkało, jak dotąd, osobno i zachowało swą osobistą wolność. Franciszka nie byłaby w stanie przywyknąć do mieszkania z Krzysztofem. Stałoby to w sprzeczności z całym jej sposobem życia. Przychodziła, spędzała z nim część dnia i noc, ale codziennie wracała do domu, a często pozostawała u siebie na noc.

Nadeszły ferje teatralne, przedstawienia ustały. Wynajęli sobie mieszkanie w okolicy Paryża, w pobliżu Gif. Pędzili tam szczęsne dni w ciszy i pracy. Mieli piękny, słoneczny pokój na piętrze z widokiem na daleką roztocz pól. W nocy widzieli z łóżka przez szyby dziwne, ciemne chmury sunące po niebie. Napoły zażnieni we wzajemnym uścisku słyszeli radosny gwar świerszczy i dudnienie ciężkich kropel deszczu po dachu. Przepajali ich zapach gorącej od słońca ziemi i woń kwiatów. Cisza nocna... Sen we dwoje. Poszczek psa w dali. Pianie kogutów. Potem brzask. Z wieży kościółka, kędyś od skraju widnokregu płynię ranne dzwonicie. Szara poświata napęlnia pokój. Tulą się do siebie miłośnicie. Ptaki budzą się wśród gałązek wina pokrywającego ściany domu. Krzysztof

otwiera oczy, wstrzymuje oddech i spogląda wzruszony na znużoną, pobladłą od miłości twarz śpiącej towarzyski swojej.

Miłość ich nie była egoistyczną namiętnością. Była to raczej przyjaźń głęboka, w której udział wzięły także ich ciała. Nie ciążyły sobie wzajemnie. Każde pracowało w swym kierunku. Franciszka podziwiała jego talent, dobroć i czystość charakteru. Pod różnymi względami czuła się odcień starszą i otaczała go uczuciem macierzyńskim. Żałowała, że nie rozumie nic a nic z tego co gra. Muzyka była dla niej sprawą zupełnie obcą i niedostępną. Poniekąd pojmowała ją jeno w chwilach dzikiego wzburzenia, ale źródłem tego nie była muzyka, lecz ona sama i ta namiętność, przepajająca wtedy wszystko, pejzaż, ludzi, barwy i tony. Nie rozumiejąc nawet muzyki odczuwała wyrażający się nią geniusz Krzysztofa. Było to tak, jakgdyby parzyła na grę wielkiego dramaturga mówiącego na scenie nieznanym językiem. Pod tym wpływem ożywał się jej własny talent. Krzysztof zawdzięczał miłości nowe formy myśli, pełny, nieosiągnięty dotychczas wyraz uczuć. Widział wszystko w kształcie piękniejszym w chwale antyku i wieczności. Rozwarł mu się skarbiec nieprzebrany pod wpływem obcowania z tą duszą słabą, po kobiecemu dobrą, a jednocześnie okrutną prześwieclaną genialnymi myślami.

Dowiedział się od niej dużo o życiu i ludziach, dała mu mnóstwo szczegółów dotyczących kobiet, które znał bardzo niedokładnie. Była mistrzynią obserwacji. Ponad wszystko zapoznał się z teatrem. Przez nią wniknął w ducha tej przedziwnej, doskonałej, tej najuboższej i najbogatszej ze wszystkich sztuk pięknych. Ukazała mu piękno tego czarodziejskiego instrumentu, którym się posługuje marzenie człowiecze i przekonała go, że musi komponować — na ten właśnie instrument, nie zaś... dla siebie samego grać, co było jego nawyczką.

Wielki dramaturg nie wstydzi się pisać... dla tej a tej sceny i przystosowywa swe pomysły do aktorów, którymi dysponuje. Wie, że przez to nie nie zatracą z siebie, że duża widownia domaga się innych środków ekspresji, jak mała, że nie wolno fletowi grzmieć jak trąba.

Te uwagi artystki odpowiadały bardzo Krzysztofowi, który teraz właśnie, na obecnym stopniu swego rozwoju zmierzał ku jakiejś sztuce ogólnej, wiążącej go z ludźmi i światem. Z doświadczeń Franciszki przekonał się jak wielkie znaczenie posiada harmonja, łącząca słuchaczy z aktorami. Ona sama nie zawsze uświadamiała to sobie wśród gry, zapoznawała swe walory wzajemnej suggestywności. Czasem doznawała jeno olśnień, które zazwyczaj już nie powtarzały się na drugim przedstawieniu tej samej sztuki. Zazwyczaj odrabiała swe zadanie mechanicznie i rozumowo, a przeto na zimno. Ale tak być musi, rzecz ciekawa, genialna, to wyjątek, to błyskawica, oświecająca głębie i czuwającą w nich, zbiorową duszę społeczeństwa.

Właśnie tę duszę winien w sztuce wyrazić prawdziwy artysta. Ideałem jego ma być obiektywizowanie samego siebie w życiu, zjednoczenie się z tymi, dla których śpiewa, rzekanie się i uwalnianie od własnej osobowości, a temsamem stwarzanie kształtu ogólniejszego, formy zbiorowej ludzkiej namiętności. Franciszka odczuwała tem większą potrzebę takiej sztuki, że była niezdolną do owego wyrzeczenia się samej siebie i zawsze tylko siebie wygrywała na scenie. Rozkwit indywidualizmu lirycznego, panujący od stu pięćdziesięciu lat przybrał w czasach ostatnich formy wprost chorobliwe, stał się maniactwem fanatyków, oderwanych od życia i ziemi.

W muzyce usiłował Wagner zbudować w Bayreucie nową sztukę religijną przystępną dla wszystkich, łączących artystę z widzem i słuchaczem. Ale wielka dusza jego była nie dość prostą i nadto skazaną niedomaganiem upadającej sztuki kompozytorskiej, toteż na świętej górze zjawili się — nie galijscy rybacy, ale faryzeusze.

Czuł to dobrze Krzysztof i pragnął wejść na nowe tory. Ale brakło mu poety. Musiał poprzestać na samym sobie, a muzyka — cokolwiekby mówić — nie jest to rzecz zrozumiała ogółowi. Koniecznym jest tok słowa, by strzalała tonów przenikła do serc.

Zamierzył cykl symfonij o tematach zaczerpniętych z życia, a pierwszą z nich miała być — *symphonia domestica* — w typie różniącym się od Ryszarda Straussa. Tamto było rodzajem kinematograficznego obrazu życia rodzinnego. Nie chciał on wypychać mechanicznie różnych osobistości w poszczególne tematy muzyczne, co uważał za dzieciństwo pełne sztuczności i przerafinowania. Zamierzył dać wyraz nie czynom i osobom — ale uczuciom. Część pierwsza miała wyobrażać naiwną szczęśliwość młodych małżonków, ponęty zmysłów, wzajemne zaufanie i wiarę w przyszłość. Drugą — chciał uczynić elegją na temat śmierci dziecka, bez realistycznych efektów, pragnął jeno wyrazić ból znany wszystkim ludziom, którzy przeżyli katastrofę. Część trzecia, opiewająca ubytek życia miała nawiązywać do tematów peczętkowych i kończyć się hymnem miłości opromienionej blaskami nieba.

Pozatem wyszukiwał w dziełach czasów minionych prostych i ogólnie ludzkich tematów, które są przez to właśnie najcenniejsze, iż trafiają do każdego serca. Napotkał tutaj oczywiście znowu nierozstrzygniętą od setek lat kwestję i nieprzewycięzoną trudność połączenia poezji z muzyką i stopienia ich w jedno. Rozmowy z Franciszką przywiodły mu na pamięć dawny plan takiej formy dramatu muzycznego, któraby była czemś pośrednim pomiędzy recitativem operowym, a dramatem deklamowym. Chciał zachować swobodę słowa i zjednoczyć ją ze swobodną muzyką. Nawiązywał tedy do tradycji wagnerowskich i pragnął stworzyć muzykę nową, wolną od wad i niedostatków, których pełno było w próbach dotychczasowych.

Nie chciał w tej formie wyrażać wszystkiego, wiedział, że to niemożliwe. Musiała to być muzyka

arystokratyczna. Ale właśnie czas nie był po temu, gdyż władali sami parwenjusze, pozatem sam Krzysztof nie bardzo się nadawał do takiej kompozycji. Siła jego leżała w plebeizmie i to stanowiło jedną z największych przeszkód.

Poszukiwania i dociekania Krzysztofa w tym czasie był to szereg utarczek ze sobą samym, było to mocowanie się z problemami życia i śmierci, z mocami rządzącymi światem od jego zarania. W walkach tych męźniał i zestalał swą wolę.

Jako próbkę czego w tym rodzaju dokonać zamierza, przełożył niemal dosłownie z Biblii ustęp, w którym Józef poznać się daje braciom swym, którzy go sprzedali do Egiptu: Otom Józef, jeschceli żyw ojciec mój? Przystąpcie do mnie, jamci jest brat wasz, któregoście przedali do Egiptu! Nie bójcie się i nie mniemajcie, iż wam złorzeczę, dla dobra bowiem waszego posłał mnie tutaj Pan...

Piękny ten, wolny związek nie mógł trwać długo. Przeżyli ze sobą upojne dni, dali sobie bardzo dużo, ale różnili się zasadniczo. Byli oboje gwałtowni i nie panowali na sobą, przeto przychodziło nieraz do starć. Nie miały one nigdy form prostackich, Krzysztof zbyt wysoko bowiem cenil Franciszkę, a ona, mimo, że skłonna do bezwzględności umiała odpłacać sercem tym, którzy jej okazywali dobroć. Pozatem oboje mieli spory zapas zdrowego humoru. Franciszka pierwsza wyśmiewała po każdej scenie samą siebie i momentalnie nastawiała harmonję. Ale nie osiągała spokoju, dręczyła ją bowiem dawna namiętność. Nie mogła zapomnieć owego nicponia, kochała go i czuła swe poniżenie. Krzysztof domyślał się tego.

Czasem po całych dniach bywała zamyślona, smutna, zdenerwowana. Krzysztof dziwił się, czemu nie czuje się szczęśliwą. Wszakże osiągała swój cel, była sławną, wielką, podziwianą...

— O tak... — mówiła mu — Wszystko by było dobrze, gdybym była komediantką o duszy kramarskiej, traktującą sztukę, jako interes. Natenczas czu-

łabym się szczęśliwą „postawiwszy na swoim“ wyszłabym bogato za mąż, wystarała się o legję honorową i... basta! Ale nie mogę na tem poprzestać! Powodzenie wydaje mi się jeszcze bardziej puste i smutne, niż klęska. Ty powinienbyś także coś o tem wiedzieć?

— Wiem... wiem — odparł Krzysztof — Będąc młokosem wyobrażałem sobie sławę zgola inaczej. Jakże jej pożądałem i w jakiej to aureoli mi się przedstawiała! Była świętością... Ale przyznaj jedno: Sława to wielka rzecz, gdyż można przez nią czynić wiele dobrego!

— Cóż dobrego? — zdziwiła się — Zwycięzyłeś... i co dalej? Cóż się zmieniło? Teatr, koncerty... wszystko po dawnemu. Nastała tylko nowa moda, pojawił się inny człowiek. Nikt cię nie rozumie, co najwyżej ludzie pomyślą o tobie to i owo powierzchownie i zwrócą się zaraz do czego innego. Powiedz, czy ty sam rozumiesz dobrze innych artystów? W każdym razie o porozumienie bardzo trudno. Jakże dalekimi są tobie nawet ci, których kochasz! Wspomnij swego Tolstoja!

Krzysztof pisał doń swego czasu, był zachwycony, płakał czytając jego książki. Chciał napisać muzykę do jednego z opowiadań tego mistrza, prosił o zezwolenie i posłał mu swe pieśni. Ale Tolstoj nie odpowiedział. Podobnie nie odpisał Goethe Szubertowi i Berliczowi, kiedy mu posłali swe dzieła. Tolstoj kazał sobie odegrać utwory Krzysztofa i rozgniewał się, nie rozumiejąc ich wcale. Uważał Beethowena za dekadenta, a Szekspira za błazna. Natomiast dał się opanować przez muzyków trzeciorzędnych i rokoszował się melodyjkami szpinetowymi, któreby w zachwyt wprawiły Serenissimusa. Uważał zresztą „Zwierzenia pokojówki“ za książkę arcychrześcijańską.

— Wielcy nas nie potrzebują! — zauważył Krzysztof — Musimy myśleć o społeczeństwie.

— O kim? O mieszczechach, kołtunach! — zawołała — O tych szematycznych stworzeniach, które

utrudniają nam życie? Dla nich mamy grać i pisać? Dla nich poświęcać życie? Śmieszna rzecz!

— No... no... — uspokajał ją Krzysztof — nie gloryfikuję ich, ale nie są znowu tak źli.

— O głuptaku! O niemiecki optymist! — zawołała.

— Są to ludzie podobni mnie, czemużby tedy mieli nie rozumieć... A nawet gdyby nie zrozumieli, czyż mam dlatego popadać w rozpacz? Pośród tysięcy znajdzie się zawsze kilku, a to mi wystarczy, to będzie jak małe okienko przez które wpadnie w me płuca haust świeżego powietrza. Nie zapominaj o tłumach oddanych słuchaczy i widzów, którzy patrzą na twą grę, zwłaszcza młodzieży zapatrzanej z nabożeństwem. Jakże pilnie śledzą twój głos, twe ruchy, widząc w nich objawienie tragicznego piękna, z jakąż radością wchłaniają w siebie to wszystko, co odrywa ich od szarzyzny codziennego życia! Wspomnij swój własny wiek młodociany! Czyż nie wielka to rokosz, bodaj jednemu człowiekowi oddać ten zachwyt, który się otrzymało od innych?

— Czy sądzisz, że jeden choćby rozumie mnie, jak należy? Podziw każdego widza, upokarza. Im jest wszystko jedno na kogo patrzą, byle jaka komedjantka daje im te same uniesienia, co artystka prawdziwa. Wszystkie stoją w ich oczach na jednym poziomie. Powodzenie każdego rodzaju, bez względu na jakość jego uważają za jedno i to samo...

— A przecież do historii przechodzą tylko najwięksi artyści! — zauważył — Oni tylko mają siłę narzucić się potomnym!

— To jest skutek odległości, rodzaj historycznego actio in distans! — odparła — Góry wydają się tem wyższe im dalej odejść. Można lepiej wymierzyć ich wielkość, ale znajdujemy się wówczas bardziej oddaleni. Któż ci zresztą zaręcza, że są to najwięksi? Czy znasz nazwiska tych, co poginęli, których przeto nie widać?

— Do licha! — wykrzyknął — Pal ich kat!

Niechże sobie tedy nie rozumieją. Ale rozumiem ja sam... i tego mi dość!

— Jesteś w dużo lepszym położeniu! — odparła — Możesz ze swoją muzyką robić, co ci się podoba, ale co mam czynić ja? Muszę grać to, co mi narzuci konieczność chwili i przeżywać każdą sztukę aż do obrzydzenia. A pamiętaj, że we Francji my aktorzy nie jesteśmy jeszcze takimi niewolnikami jak n. p. w Ameryce, gdzie sztuki jak „Rip“, albo „Robert Macaire“ grywane są po sto tysięcy razy. Przez dwadzieścia pięć lat życia aktor musi codziennie obracać, niby muł, kierat tak nędznego utworu... i to się nazywa: sztuka! Na tę samą drogę wchodzimy zwolna. Teatry nasze upadają, publiczność trawi geniusz tylko w bardzo małych dawkach i to musi jej być strawa podana w sosie maniery i modernizmu... Modny geniusz!... Ha... ha... ha... to wprost śmieszna myśl! Cóż za marnotrawienie sił. Wspomnij co zrobiono z takim Mounetem? Cóż grywał przez całe życie... oto dwie, czy trzy role... Edypa i Polieukta! Czyż to nie straszne? A poza Francją wcale nie lepiej. Cóż uczyniono z taką choćby Duse? Na czym strawiła życie... cóż za role grywała?

— Zadaniem waszem — oświadczył Krzysztof — jest, narzucać światu godne podziwu, wielkie dzieła!

— Nie warto trudu, szkoda sił! — odrzekła z goryczą — Każde wielkie dzieło, gdy się tylko zetknie ze sceną, natychmiast zatracą cały rozmach poetycki i staje się obłudne. Więdnie od gorących oddechów widzów. Publiczność miejska wyrosła w brudnej, pokrytej plamami atmosferze nie ma wyobrażenia o świeżości natury, o prawdzie twórczej. Wymaga deklamacji teatralnej, uszinkowanej i przeładowanej ozdobami z szychu, wydającej woń podejrzaną. A zresztą... zresztą, gdyby się nawet udało to, co powiadasz, mnie to nie wystarczy... nie wypełni mi życia.

— Ciągłe o nim myślisz? — spytał.

— O kim?

— O owym człowieku...?

— Tak!

— Gdybyś posiadała nawet owego człowieka i gdyby cię pokochał, nie czułabyś się szczęśliwą. Uświadom sobie to, że, wówczas nawet znalazłabyś sposób, by się dręczyć dalej!

— To prawda! Ale skądże to pochodzi? Oto za dużo walczyłam, zanadto się szarpałam i teraz nie mogę znaleźć ukojenia. Tkwi we mnie wieczysta gorączka, jakiś strach...

— To musiało w tobie tkwić od urodzenia, to było, zanim zaczęłaś walkę.

— Być może... Tak... jak sięgnę pamięcią... jako mała dziewczynka odczuwałam już ów niepokój...

— Czegoż pragniesz?

— Nie wiem... wiem tylko, że więcej, dużo więcej, jak mogę osiągnąć!

— Znam to! Doznawałem tego samego, będąc chłopcem!

— Ale wyrosłeś na męża, ja zaś na zawsze pozostanę na tym samym stopniu rozwoju. Jestem istotą niedokształconą!

— Nikt nie jest dokończony. Szczęście, to poznać swe granice i ukochać je!

— Nie potrafię... Przekroczyłam już granice swoje! Życie zgwałciło mnie, zużyło przedwcześnie, okaleczyło. A czuję, że mogłam być kobietą normalną, zdrową i piękną, nie przynależąc mimo to do trzody ludzkiej!

— Musisz to osiągnąć... czuję!

— Jak sobie to wyobrażasz?

Opowiedział jej jaką być może w warunkach harmonijnego, spokojnego rozwoju, kochając i będąc kochaną, szczęśliwa i dająca szczęście. Słuchała i uspokoiło ją to. Ale nagle zawołała:

— Nie, nie... to niemożliwe!

— Ano... wobec tego musisz sobie powiedzieć to, co Hendel, kiedy stracił wzrok: Wszystko dobre co się stało...

Ucałowała serdecznie wiekuięstego optymistę i doznała wielkiej ulgi. Ale czuła co dzień mocniej, że

mu przynosi szkodę. Miewała napady rozpacz, których nie mogła przed nim ukryć. Miłość uczyniła ją słabą. Leżąc obok niego w nocy drżała tłumiąc strach i ból. Odczuwał to i zanim jeszcze mogła się zdobyć na zwierzenie przygarniał ją i koił. Nie opierała się wówczas dłużej i otwierała mu swe serce, a on godzinami całemi, nieraz do samego rana pocieszał ją z cierpliwością niewysłowioną.

Z biegiem czasu i on jednak zaczął uczuwać przygnębienie, a Franciszkę ogarnął strach, by się nie zaraził ową nerwozą okropną. Kochała go bardzo, przeto nie mogła znieść myśli, iż może cierpieć przez nią. W tym właśnie czasie otrzymała bardzo korzystną ofertę do Ameryki. Podpisała kontrakt, by zmusić się do rozłąki. Opuściła go z niejakim wstydem, a on również doznawał tego samego uczucia. I czemuż nie byli w stanie dać sobie wzajemnie trwałego szczęścia?

— Mój biedny chłopcze! — powiedziała doń ze smutnym uśmiechem — Jesteśmy straszne niedołągi! Nie znajdziemy oboje zapewne nigdy takich możliwości szczęścia, ni takiej przyjaźni. Ale wszystko na nic... wszystko na nic... jesteśmy zbyt głupi...

Spojrzeni na siebie jak winowajcy.

Roześmiali się poto, by nie zapłakać i rozeszli się, mając oczy pełne łez. Nigdy nie kochali się tak, jak w chwili rozstania. Po jej wyjeździe wrócił do dawnej swej przyjaciółki... do sztuki.

Niedługo potem otrzymał Krzysztof list od Żakliny. Ton jego był bardzo miły. Wyrażała żal, że tak długo się u nich nie pokazał i zapraszała bardzo serdecznie, by przybył, jeżeli nie chce zasmucić dwojga przyjaciół kochających go szczerze. Krzysztof uczuł wielką radość, a list ten nie zdziwił go wcale. Był w gruncie serca pewnym, że długo potrwać nie może niechęć Żakliny do niego, że wreszcie spostrzeże, iż była niesprawiedliwą. Powtarzał sobie zresztą przy każdej sposobności trafne powiedzenie starego dziadka swego.

— Kobiety dochodzą prędzej, czy później do jasnej świadomości rzeczy, trzeba się tylko uzbroić w wielką cierpliwość, by doczekać tej pory.

Poszedł zaraz do Oliwerów i został powitany z wielką serdecznością. Żaklina była niezmiernie uprzejma, unikała ironicznego sposobu mówienia, wystrzegając się wszystkiego, co go mogło dotknąć, interesowała się żywo tem co robi obecnie i w sposób roztropny dysputowała o poważnych sprawach.

Krzysztof zauważył tę wielką zmianę, nie wiedział atoli, że przyczyną była chęć podobania mu się. Żaklina wiedziała dobrze, iż miał stosunek ze słynną artystką, gdyż chodziły o tem plotki po całym Paryżu i odtąd Krzysztof przedstawił jej się z nowej zupełnie strony. Ciekawość kobieca została podrażniona. Gdy go ujrzała, odkryła w nim nieznane dotąd powaby, a nawet jego niedomagania i błędy przedstawili jej się teraz pod innym kątem. Uczyniła spostrzeżenie, że jest to ezłowiek genialny i że wartoby doprowadzić go do tego, by się w niej zakochał.

Wewnętrzne stosunki młodego małżeństwa nie tylko się nie poprawiły, ale uległy nawet pogorszeniu. Żaklina nudziła się coraz to więcej, umierała wprost z nudów. Jakże samotną jest w zasadzie kobieta! Dziecko zdolne jest tylko wypełnić jej życie, a i to nie zawsze. U kobiety, której duszą macierzyństwo nie zawładnęło zupełnie, sprawa przedstawia się wprost ponuro. Tęskni ona za wielu rzeczami, a dokonać ich nie może bez pomocy. Dusza jej tkwi na kotwicy miłości, przeto będąc sama, rozpaczna. Mężczyzna nigdy nie bywa tak bardzo samotny, prowadzi monolog i to go ratuje w opuszczeniu, tak, że mniej je czuje, czasem go nawet nie dostrzega. Kotwica jego duszy, to myśl i czyn. Cóż może te ważne rzeczy zastąpić kobiecie? Przez czterdzieści wieków istnienia myślącej ludzkości, kobieta z całą ogromną masą swych pożądań i tęsknot, to ofiara całopalna, składana na ołtarzach tych dwu bożyszcz, jakimi są: miłość i macierzyństwo. A przecież są to majaki, rzeczy przemijające.

jające, niedostępne ogromnej liczbie kobiet, zdolne ponadto wypełnić zaledwo kilka lat.

Żaklina utraciła równowagę. Przeżywała chwile strachu, który zadawał jej ciosy sztyletu. Myślała:

— Pocóż żyję: Na co przyszedłam na ten świat?

Ścisnęła jej serce pewność:

— Umrę... umrę... muszę umrzeć!

Myślała o tem po całych nocach, śniła jej się, że mówi:

— Mamy teraz rok 1889...

— Nie, — odpowiadał ktoś — mamy rok 1909.

Czuła się wówczas nieszczęśliwą, gdyż okazało się, że ma o dwadzieścia lat więcej.

— Wszystko przeminie, — rozpacziała — nie żyłam i żyć nie będę! Cóż uczyniłam w tych dwudziestu latach? Cóż zrobiłam z życia swego?

Śniła, że ona sama składa się z czterech oddzielnych dziewcząt. Spały w jednym pokoju, każda w swoim łóżku. Wszystkie wyglądały zewnętrznie jednak, miały tęsamą postać i rysy twarzy. Pierwsza liczyła lat ośm, druga piętnaście, trzecia dwadzieścia, a czwarta trzydzieści. Nagle przyszła zaraźliwa choroba. Trzy młodsze zmarły, czwarta przejrzała się w zwierciadle i pobiadła ze strachu. Ujrzała bowiem swą maskę pośmiertną, wydłużony nos, zapadłe policzki, zmienne rysy twarzy.

— Umrę... umrę... jak tamte i będzie po wszystkim! — jęła rozpacznie. — Ach, cóż uczyniłam z życiem swoim?

Zbudziła się zalana łzami. Przyszedł dzień, ale zmora nie zniknęła, zniknąć nie mogła, była bowiem rzeczywistością.... Cóż uczyniła z życiem? Kto go jej skradł? Zaczęła nienawidzić Oliwera, jako mimoswolnego współnika swych błędów (był nim bez winy swej, ale czyż to zmienia postać rzeczy? Zło jest to samo). Był współnikiem tej siły pozaczłowieczej, która ją miażdży. Uczuwała natychmiast wyrzuty sumienia, gdyż była dobrą, cierpienie ją tylko naszło niepojęte. Jednocześnie nie mogła się powstrzymać od zemsty, nad owym człowiekiem, (niewinnym zresztą i współ-

nieszczęśliwym) do którego przywiązaną została łańcuchem. Znienawidziła go przedewszystkiem, a potem samą siebie. Czuła teraz, że jeżeli nie znajdzie drogi wyjścia, narobi dużo złego i szukała tej drogi omakiem w ciemności. Jak tonący, czepiała się wszystkiego, chciała jąć się czegoś, co byłoby jej dziełem, wypełniło jej istotę, stało się nią samą. Zaczęła się uczyć języków, rozpoczęła artykuł, nowelę, obraz, kompozycję muzyczną... Nadaremnie, pierwszy zaraz wysiłek sprowadzał rozczarowanie, wszystko wydało jej się za trudne... A zresztą, coż warte książki... dzieła sztuki? Nie wiedziała sama, czy istnieją dla niej, czy istnieją wogóle, czy nie są jedną złudą więcej...

Czasem rozmawiała żywo z Oliwerem, śmiała się, interesowała różnemi sprawami, tem co mąż robi... słowem wysilała się na to, by znaleźć zapomnienie, oszołomić się w jakiś sposób... Nagle podniecenie przepadało gdzieś, serce lodowaciało, przerażona, niezdolna nawet do płaczu, uciekała kędyś w dal mglistą pełną zjaw rospaczy.

Zrobiła, jak tego pragnęła, z Oliwera człowieka światowego i skeptycznego, ale nie zadowolniło ją to i nie była mu za to wdzięczną, gdyż łatwość z jaką swego dokazała, świadczyła dowodnie, iż był słaby, jak ona. Każdego niemal wieczoru wlokła swą śmiertelną nudę poprzez paryskie salony, uśmiechnięta stereotypowo i zamaskowana na szczęśliwą. Szukała człowieka, któryby ją pokochał i zatrzymał nad przepaścią. Na rospaczny krzyk o ratunek, odpowiadało straszliwe echo pustki.

Nie mogła znaleźć Krzysztofa, raziła ją jego rubasznosć, jego niemiła szczerosć, a zwłaszcza jego równowaga i obojętnosć. Ale czuła, że przynajmniej jest silny, że to skała, zdolna stawić czoło falom czarnym śmierci. Chciała tedy czepić się jej, chciała otoczyć ramionami dzielnego pływaka, władającego sobą na powierzchni życia i uratować się, albo razem z nim utonąć.

Miała też inne powody, bardziej kobiece. Nie wystarczało jej, że rozdzieliła męża z przyjacielem,

chciała mu go zrabować. Najuczciwsze kobiety nacierają czasem chęć wypróbowania, jak daleko sięga ich władza, a nawet żądza przekroczenia granic tej władzy. Takie nadużycie napędza niemocne istoty złudą potęgą. A kobietom samolubnym i zarozumiałym fakt rabunku dokonanego na mężu, sprawia ponadto jakąś przewrotną radość. Zadanie jest łatwe, zazwyczaj wystarcza kilka zalotnych spojrzeń. Nawet rzekomo silny mężczyzna jest słabym, gdy idzie o kobietę. Walka z samicą tkwi w nim atawistycznie i wystarczy potrafić o ten instynkt, a natychmiast wali się w gruz cała nadbudowa kultury. Myśl zwyciężenia rywala - przyjaciela pociąga każdego, choćby nie posunął się do samego czynu. Gdy drugi mężczyzna to spostrzeże, przyjaźń się kończy, nigdy już nie spojrzą na siebie temi samemi oczyma. Kobieta zazwyczaj zatrzymuje się w tym punkcie i nie żąda niczego więcej, wie, że teraz każdego z osobna trzyma w swem ręku.

Krzysztof spostrzegł niezwykłą serdeczność Żakliny, ale go to nie zdziwiło. Ile razy uczuwał dla kogoś życzliwość, uważał w naiwności swej za rzecz naturalną, że odpłacają mu temsamem, bez wszelkich myśli ubocznych. Bez namysłu tedy, uderzył w ten sam ton, w oczach jego Żaklina była teraz zachwycającą istotą, nadszalał jej wesoło, bawił ją i nie mógł się oprzeć myśli, że Oliwer był naprawdę wielkim niedołęgą, jeśli nie mógł uszczęśliwić żony i nie znaleźć z nią szczęścia.

Udali się we troje autem na kilkogodzinną wycieczkę do pałacyku w Burgundji położonego, będącego własnością rodziny Langeais'ów. Pałacyk ten, był pamiątką dawnych czasów i zajeżdżano tam rzadko. Stał pośród winnic i lasów opuszczony i zaniedbany zewnątrz i wewnątrz. Okna się niedomykały, wszędzie panował odór pleśni, zmieszany z zapachem dojrzałych owoców, wilgocią cienistych alei i przepojonej słońcem żywicy sosny. Krzysztof spędził kilka dni w pobliżu Żakliny, opanowany dziwnie słodkim uczuciem, które wzrastało ciągle, nie niepokojąc go

jednak weale. Roskoszował się (niezupełnie zresztą estetycznie tylko) jej widokiem, śledził powab ruchów, wdychiwał zapach jej włosów, oddech jej ust. Oliwer zasmucony potrochu, milczał. Nie miał podejrzeń, ale nie mógł się oprzyć niepokojowi, do którego wstydził się przyznać i niejako karząc się sam, zostawiał ich czasem sam na sam. Żaklina zrozumiała to i uczuwała wzruszenie. Miała ochotę powiedzieć mu:

— Odrzuć smutek drogi mój. Kocham ciebie i tylko ciebie...

Ale nie rzekła nic i wszyscy troje płynęli z falą losu, bezsilni, nieświadomi przyszłości. Gdy wola milczy, zabiera głos instynkt, gdy dusza nie napęnia sobą ciała, ciało to kroczy własną drogą.

Pewnego wieczoru, po kolacji chcieli przejść się po parku. Była noc cudna, bezksiężycowa, a gwiazdy rozbłysły na firmamencie. Oliwer i Krzysztof poszli przodem, Żaklina udała się do pokoju na piętrze poszał i długo jej nie było widać. Krzysztof począł narzekać na maródtwo kobiet i wrócił, by przyspieszyć powrót Żakliny. (Od niejakiego czasu, nie spostrzegając tego, zachowywał się, jak przystało małżonkowi). Nagle posłyszał jej kroki. W pokoju, w którym się znajdował właśnie były zamknięte okiennice i panowała ciemność zupełna.

— Prędzej... prędzej... pani nudziareczko! — wołał wesoło — Lustra stracą cały połysk od tego ustawicznego przeglądania się!

Nie odrzekła nic. Krzysztof zamilkł także. Szedł omackiem ku niej, czując wielki niepokój. Nagle przystanął, a serce biło mu młotem.

— Gdzież pani jest? — spytał głucho. Milezała, ale posłyszał tuż obok jej szybki oddech. Stali blisko siebie, czuł ciepło jej ciała. Nastąpiło milczenie. Nagle ręce Żakliny pochwyciły jego dłonie. Przyciągnęła go ku sobie, a usta pałające położyły się na jego ustach. Objął ją ramieniem. Nie mówili nic, nie ruszali się z miejsca. Po długiej chwili rozerwały się przemocą ich wargi, a Żaklina wybiegła szybko z pokoju. Szedł za nią drżący, kolana ugiwały się pod nim. Przystanął,

oparł się o ścianę i czekał, aż serce uspokoi się trochę. Potem ruszył do ogrodu, gdzie Zaklina rozmawiała swobodnie z mężem. Małżonkowie kroczyli przodem, Krzysztof stapał ich śladem, niezdolny zebrać zmysłów. Naraz Oliwer przystanął, czekając na przyjaciela. Nie mogąc się go doczekać, zawołał wesoło. Krzysztof nie odpowiedział. Oliwer nawykły do jego dziwactw, do nagłych napadów milczenia, które zapadało często pomiędzy Krzysztofem, a światem, niby drzwi potrójne, nie zdziwił się i poszedł dalej z żoną, a Krzysztof jak pies kroczył za nimi w odległości dziesięciu kroków. Przystawał, gdy stawali, szedł dalej, gdy ruszyli naprzód. Obeszli w ten sposób park i wrócili do domu. Krzysztof udał się do siebie i zaryglował drzwi. Nie zapalił świecy, nie położył się, nie myślał o niczem. Późną nocą zdrzemnął się oparty o stół, ale zbudził się za godzinę. Zaświecił, drżącymi rękami, pobierał papiery i rzeczy i spakował ręczną walizkę. Potem rzucił się na łóżko i spał do świtu. Gdy się rozwidniło zszedł na dół i... wyjechał. Czekali nań cały ranek, szukali go przez cały dzień. Zaklina, ukrywając straszliwy gniew pod pozorem obojętności, uczyniła uwagę, że należałoby przeliczyć srebro. Powiedziała to z pogardliwym szyderstwem. Nazajutrz otrzymał Oliwer list.

Krzysztof pisał:

— Mój drogi! Nie gniewaj się, że wyjechałem nagle, jak warjat. Wiesz dobrze, że jestem postrzelony i na to niema rady. Trudno się zmienić. Dziękuję ci za serdeczną gościnę, odpocząłem i odświeżyłem się. Ale nie jestem zdolny długo obcować z ludźmi, nie wiem wogóle, czy jestem dostosowany do życia na tym świecie. Powinienbym siedzieć w swoim kącie i stamtąd — kochać ludzi. Kochać zdala — to najlepsze. Gdy się zbliżę, staję się mizantropem, a nie chcę nienawidzić człowieka. Pragnę was kochać i oddałbym wszystko, co mam najdroższego, byście byli szczęśliwi... Ale nie umiem tego dokazać... umiem tylko prawić kazania i wskazywać drogę. Sam drogą

tą kroczyć nie potrafię, nie umiem się uwolnić od siebie... Stań się wolnym, stańcie się wolnymi...

Twój z całego serca

Krzysztof.

P. S. Ukłony uprzejme dla pani Twojej.

Zaklina odczytała list uśmiechnęła się pogardliwie i powiedziała:

— Posłuchaj rady... stań się wolnym!

Oliwer wyciągnął rękę, chcąc odebrać list, ale Zaklina potargła go w kawałki i rzuciła na ziemię. Dwie wielkie łzy stoczyły się jej po twarzy.

Oliwer pochwycił jej dłoń.

— Cóż ci to? — spytał wzruszony.

— Puść mnie! krzyknęła z pasją.

Wyszła z pokoju. W progu zawołała podniesionym głosem!

— Egoiści... egoiści! Wszyscyście tacy sami!

* * *

Krzysztof dokazał tego, że protektorowie z „Grand Journalu“ stali się wreszcie jego wrogami. Można to było zresztą z góry przewidzieć. Opatrzność wyposażała Krzysztofa w cnotę wystawianą przez Goethego, w niewdzięczność.

— Odraza do wdzięczności — pisał Goethe z ironią — to cecha największych ludzi, a zwłaszcza genialnych jednostek, które w życiu musiały ciężko walczyć i sięgać często po pomoc bliźnich. Czując swe zdolności, swój talent, z odrazą wspominają przysługi ludzi małych, niskich, za które pokutować muszą nieraz ciężko...

Krzysztof nie mógł znieść myśli, by miał wzajemian za poparcie poniżać się, lub co na jedno wychodziło zatracać swą niezależność duchową. On sam nie wypożyczał swych dobrych czynów na procenty, ale rozdawał dobrodziejstwa. Inaczej postępowali protektorowie „Grand Journalu“. Uczuli się dotkniętymi w swych moralno-kupieckich poglądach, tem, że Krzysztof odmówił napisania hymnu do głu-

pich słów tekstu, reklamujących pewną uroczystość urządzoną przez wydawnictwo. Dali mu do poznania, iż zachowanie jego jest niestosowne, a Krzysztof skłamał ich co wlaźło. Do ostatecznego zerwania doszło, gdy Krzysztof zaprotestował publicznie w prasie przeciw twierdzeniom, jakie mu przypisał tenże dziennik.

Rozpoczęła się regularna walka, w której za dobrą uznano każdą broń. Wyciągnięto na wały starą, wypróbowaną armatę oszczerstwa. Zestawiając umiejętnie wyimki z jego dzieł z partjami innych kompozytorów z pod ciemnej gwiazdy skonstruowano zarzut plagiatu. Wykazano, że kradł innym pomysły, a ponadto szkodził kolegom, niedozwalając im wypłynąć. Nie cofnęli się przed tem nawet zdolni krytycy, oraz wybitni kompozytorowie, co zresztą nie dziwne, gdyż zawiść, to rzecz ugruntowana w sercu współczesnego człowieka.

Zwróciła się też przeciw Krzysztofowi cała profesjonalistyczna prasa muzyczna i podniosła iż jest Niemcem, co podkreślano jako ciężki zarzut, niemal zdradę.

Dotąd miał on wielką liczbę zwolenników pomiędzy słuchaczami ze sfer wysoko postawionych, literatami i współpracownikami najmodernistyczniejszych czasopism. Utworom jego przypisywano ideje filozoficzne o których nie miał pojęcia, innym razem uważano go za rewolucjonistę muzycznego, który obalił tradycję i stworzył nowe horyzonty. Twierdzono, że przed nim muzyka nie istniała. Wszyscy sławiący go, sławili jednocześnie mądrość własną, przeto spierać się z nimi nie wypadało. Teraz i ci właśnie entuzjaści zaczęli się zwracać przeciw niemu, pod wpływem opinii fachowców, z którą, gdy się oświadczyła nieprzychylnie, zadzierać nie śmieli.

Krzysztof czytał wyroki na siebie pełen obrzydzenia, wzruszał ramionami i myślał:

— Tak sądzisz o mnie? Nie wiesz co ja sądzę o tobie. Minie sto lat, wówczas pogadamy....

Publiczność słuchała z rozdziawioną gębą i nie wiedziała skąd się wzięło, że nagle ubóstwiany mistrz

stał się zerem. Krzysztof pogorszył jeszcze swą sytuację przez poróżnienie się z nakładcą. Nie miał powodu uskarżać się na Hechta. Wydawał punktualnie każdą nową kompozycję i był przyzwoity w kwestjach finansowych. Mimo to umowy, jakie zawierał z Krzysztofem, często wychodziły na wielką niekorzyść kompozytora. Pewnego dnia spostrzegł Krzysztof, że jego kwartet został przerobiony niedołężnie na septet, a kilka utworów fortepianowych ukazało się w przeróbce na cztery ręce. Hecht nie raczył spytać o pozwolenie autora ani nawet nie zawiadomił go o tem. Krzysztof pobiegł do Hechta i spytał, podsuwając mu pod nos corpus delicti:

— Znasz pan to?

— Oczywiście! — odparł Hecht.

— I pan śmiałeś grzebać brudnymi palcami w dziełach moich? Nie spytałeś nawet o pozwolenie?

— Na cóż pozwolenie? — zdziwił się Hecht —

Dzieła pańskie są moją własnością!

— I moją również! — zawołał Krzysztof.

— Nie! — powiedział lodowato wydawca.

— Jakto? — wrzasnął autor — Dzieła moje mają nie być moimi?

— Nie! — powtórzył Hecht — Są moje, gdyż pan mi je sprzedajeś.

— Kpi pan ze mnie! Sprzedałem panu papier. Sfinansuj go pan sobie wedle woli, ale to co tam napisane, to moja krew, to moja własność!

— Pan mi sprzedajeś wszystko razem. Zapłaciłem wysoką kwotę 300 franków nie za kawałek papieru, ale za utwór, licząc po 30 centimów od egzemplarza pierwszego wydania. Wzamian za to odstąpiłeś pan na moją rzecz wszystkie swe prawa autorskie...

— Razem z prawem paskudzenia? — spytał, a Hecht wzruszył ramionami, zadzwonił i powiedział urzędnikowi:

— Proszę przynieść dokumenty pana Krzysztofa.

Przeczytał Krzysztofowi zwolna, z naciskiem tekst umowy, którą tenże podpisał nie czytając. Wedle panującego wówczas zwyczaju wydawca stał się

wyłącznym panem utworu. Przekonał się, że Hecht wchodzi we wszystkie jego prawa, że ma wyłączność wydać utwór, opublikować go, wydrukować, sprzedać innemu, wypożyczyć, lub w inny sposób sfinansować, dalej ma prawo wystawić w każdej formie jaką za stosowną uzna, na koncertach, w kabaretach, salach tańca, czy teatrach, wreszcie przerobić na dowolny instrument, a na koniec zaopatrzyć tekstem i zmienić tytuł...

— Widzi pan, nie przekroczyłem swych praw, byłem jeszcze bardzo względny! — zakończył Hecht.

— Winienem więc panu jeszcze podziękę! — zawołał Krzysztof — mógł pan przerobić mój kwartet na katarynkę.

Upadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

— Sprzedałem swą duszę! — jęknął.

— Bądź pan pewny — oświadczył Hecht — że nie zrobię z niej złego użytku.

— I to się dzieje w republice, gdzie każdy człowiek rzekomo zażywa pełnej wolności... Więc tutaj istnieje niewolnictwo ducha?

— Wziąłeś pan pieniądze? — spytał Hecht.

— Tak! — odparł Krzysztof — Trzydzieści srebrników! Oddam je panu!

Zaczął szukać po kieszeniach, by oddać Hechtowi owe 300 franków, ale mu brakło. Hecht uśmiechnął się pogardliwie i to doprowadziło Krzysztofa do pasji.

— Odkupię moje rzeczy! — zawołał.

— Nie masz pan prawa! — zauważył wydawca — Ale chcę panu udowodnić, że nie upieram się przy literze umowy i nie używam gwałtu. Przeto zrzeknę się swych praw o ile zwróci mi pan wyłożone dotąd koszty.

— Dobrze! Zwrócę! — zawołał Krzysztof — Choćbym się miał sam zastawić.

Zgodził się bez wahania na wszelkie warunki, które mu w dwa tygodnie potem Hecht przedłożył. W niepojętym zaślepieniu odkupił nakłady poprzednie po cenie pięciokrotnie wyższej od ceny sprzedaży.

I nie było w tem zgoła nadużycia ze strony Hechta, albowiem suma wyliczoną została najskrupulatniej wedle zysków nakładcy. Oczywiście Krzysztof nie był w stanie sumy tej złożyć i na to właśnie liczył Hecht. Nie chciał on zrujnować Krzysztofa, cenił go jako kompozytora i człowieka wyżej od innych, pragnął mu tylko dać nauczki. Nie mógł dopuścić, by się ktoś buntował przeciw normalnym warunkom wydawniczym, nie stworzył ich sam, były one ogólnie przyjętą regułą w owym czasie, a przeto uważał je za sprawiedliwe. Nie mógł także zgodzić się na to, by Krzysztof, któremu w znacznej mierze dopomógł do uzyskania sławy wyzwolił się nagle. Chciał go popierać dalej, ale pod warunkiem, że będzie go trzymać w garści. Zawarli tedy umowę warunkową, Jeśli do pół roku Krzysztof złoży wymienioną sumę Hecht odstępuje od praw nabytych, jeśli nie, poprzednie kontrakty zachowują swą moc. Łatwo było przewidzieć, że Krzysztof ani czwartej części kwoty zdobyć nie potrafi.

Krzysztof uparł się przy swoim. Porzucił mieszkanie mimo, że pełne było wspomnień i wziął tańsze, sprzedał potem różne przedmioty, dziwiąc się, że posiadają tak małą wartość, potem zaś wplątał się w długi. Musiał uciec się do uczynności Moocha, który smutnym zbiegiem okoliczności sam znajdował się w kłopotach. Trapiiony reumatyzmem, biedak przykutą był do domu. Krzysztof zaczął szukać innych wydawców, ale natrafiał wszędzie na takie same warunki, zawsze wydawcy przypadał lwi udział w zyskach, często też spotykał się z odmową.

Działo się to w czasie, kiedy najgwałtowniej przeciw niemu występowała prasa. Jedno z pierwszorzędných pism uwzięło się nań specjalnie. Co parę dni pojawiała się tam notatka oszczercza, lub ośmieszająca. Krzysztof cierpiał moralnie, a jednocześnie walczył przeciw sobie samemu, starając się wyżyć reklamy, którą Hecht robił systematycznie dziełom jego dotychczas. Sprawy stały złe, owo pismo zapo-

wiedziało zasadniczy artykuł, mający udowodnić, że cała jego twórczość od samego początku to humbug...

Nagle, pewnego dnia, jakby cudem, ustały padać pociski. Zapanowała cisza. Zapowiedziany artykuł nie ukazał się wcale. Walka ustała. Co więcej, po dwu tygodniach, w temże samem piśmie, pojawiło się kilka lekko rzuconych pochwał. Jednocześnie wielki wydawca lipski, zwrócił się do Krzysztofa listownie z propozycją wydania kompletu jego dzieł i umowa została zawarta na warunkach bardzo korzystnych. Krzysztof otrzymał także list zamknięty pieczęcią ambasady austriackiej, zawierający prośbę, by pozwolił zamieścić swe utwory w programach wieczorów koncertowych ambasady. Pupilkę Krzysztofa, Filomele zaangażowano na jeden taki wieczór i od tej pory, miała stale zaproszenia do wielu arystokratycznych salonów niemieckiej i włoskiej kolonii Paryża. Krzysztof zmuszony pojawić się na jednym z takich koncertów, został powitany przez ambasadora z najwyższym szacunkiem. Po kilku słowach, przekonał się, że gospodarz niema pojęcia o muzyce, a dzieł jego nie zna wcale. Skądże się przeto wzięło owo nagle zainteresowanie? Jakaś niewidzialna ręka kierowała tem wszystkim. Krzysztof zaczął badać, a ambasador wspominał o parce dostojnych protektorów, hrabiostwie Bereny, którzy zachwycają się jego twórczością. Nie znał ich Krzysztof nawet z nazwiska, a nie miał sposobności poznać na przyjęciu w ambasadzie. Nie starał się o to, przeżywał właśnie chwile wstępu do ludzi, przyjaciele i wrogowie obmierzli mu zarówno.

Od kiedy wyjechał od Oliwerów, dawny przyjaciel nie dał znaku życia, wydawało się, że między nimi wszystko skończone. Krzysztof unikał nowych znajomości. Myślał o tych Berenych, jak o wielu innych snobach, zwących się jego przyjaciółmi i wielbicielami i nie uczynił żadnego kroku, by się do nich zbliżyć. Raczej uczuwał chęć unikania protektorów.

Pożądał ucieczki od ludzi, wyjazdu z Paryża, czuł potrzebę skrycia się na kilka tygodni w jakimś zaciszu. O gdybyż mógł zajrzeć do ojczyzny, zacer-

pnąć tam sił... Pragnienie to rosło, stawało się chorobliwą zacheianką. Ogarnęła go żądza zobaczenia rzeki swojej, swego nieba, ziemi, kędy spoczywają zmarli. Pragnął tego, a nie mógł jechać, nie narażając się na uwięzienie. Wisiał nad nim ciągle areшт policyjny od kiedy uciekł z Niemiec. Ale czuł, że gotów popełnić każde szaleństwo, byle mógł bodaj jeden dzień spędzić wśród swoich.

Zdarzyło mu się spotkać jednego ze swoich protektorów. Pewien młody attaché ambasady niemieckiej oświadczył w rozmowie na przyjęciu, kiedy grano jego utwory, że Niemcy dumni są ze swego ziomka, tak znakomitego muzyka. Na to odpowiedział:

— Nie wiem czy są dumni, wiem natomiast, że nie wpuściliby mnie do ojczyzny, gdybym miał nawet umrzeć u słupów granicznych.

Młody dyplomata prosił o objaśnienie, a w kilka dni potem przyjechał do Krzysztofa i powiedział:

— Pewna wysoka osobistość interesuje się panem bardzo. Dostojnik, w którego mocy leży skasować wyrok ciążyący na panu, został o wszystkim poinformowany i przyrzekł uczynić co trzeba. Nie pojmuję co prawda jak mu się podobać mogą pańskie utwory, gdyż, prawdę mówiąc, nie posiada zgoła smaku artystycznego, ale jest on mądry i szlachetny. Nie podobna cofnąć natychmiast wyroku, ale władze postanowiły przymknąć oczy i wolno panu spędzić dwa dni w rodzinnem mieście. Oto paszport. Po przyjeździe i przed odjazdem należy zgłosić się i uzyskać potwierdzenie. Bądźże pan ostrożny i nie zwracaj pan na siebie uwagi.

Krzysztof stanął na ziemi ojezystej. Dwa dni przyznane sobie spędził na rozmowie z tą ziemią i tymi, którzy w niej spoczęli. Poszedł na grób matki. Plenił się na nim zielska, ale leżał także przywidły wianek. Obok spoczywali ojciec i dziadek. Wszystkie trzy groby dotykały muru. Wyniosły kasztan, rosnący poza murem, przy gościńcu, osłaniał je gałęzmi. Po- przez niski mur widać było łany zboża kołysane po-

wiewem wiatru. Słońce płynęło ponad drzemiącą ziemią, dolatywały głosy przepiórek i szum wiatru w cyprysach cmentarza, Krzysztof marzył, a w sereu jego panowała cisza. Siedział oparty o mur plecami, rękoma objawszy kolana, zapatrzony w niebo. Na chwilę przymknął oczy. Jakież to wszystko proste, myślał. Przyjechał oto i znalazł się pośród swoich, zda się trzyma teraz ich dłonie w dłoniach. Mijały godziny. Z wieczora zatrzeszczał piasek ścieżyny pod krokami. Nadszedł dozorca cmentarza i spostrzegł Krzysztofa. Krzysztof spytał, kto przyniósł wianek na grób. Dozorca odpowiedział, że dzierżawczyni Buiru przychodzi tu czasem i przybiera grób.

— Czy to Lorcja? — spytał Krzysztof.

Zaczęli rozmawiać.

— Pan zapewne syn? — spytał dozorca.

— Zmarła miała trzech... — odparł.

— Mówię o tym z Hamburga. Dwaj inni zesłali na manowce...

Krzysztof siedział bez ruchu z głową opartą o mur i milczał. Tymczasem słońce zniżyło się do zachodu.

— Zamknę furkę! — oświadczył dozorca.

Krzysztof wstał i szedł z nim powoli wokół cmentarza. Dozorca wziął na się rolę przewodnika. Krzysztof zatrzymywał się, czytając napisy. Iluż tu znajomych! Stary Euler, jego zięć, a dalej towarzysze młodości, małe dziewczynki, z którymi się bawił... tam zaś w kątku przeczytał imię, które poruszyło jego serce...: Ada...

Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie...

Czerwień zachodu powlekła horyzont. Krzysztof wyszedł za furkę. Długo chodził po polach. Gwiazdy roziskrzyły się na widnokręgu.

Nazajutrz przyszedł tu znowu i spędził całe popołudnie na cmentarzu. Ale nie było już wczorajszej ciszy. W duszy jego zaczął snuć się hymn. Siedział na kamieniu grobowym i spisywał olówkiem to, co słyszał. Wydało mu się, że siedzi w swej dawnej stancji, a matka krząta się tuż obok, za cienką, drew-

nianą ścianką. Tak minął dzień. Nareszcie skończył i wstał. Oddalił się kilka kroków od grobu, przystanął i zawrócił. Powziawszy postanowienie, przykląkł, odgrzebał ziemię, włożył w dołek utwór napisany, przykrył piaskiem i ułożył na wierzchu gałązki powoju.

Uczuł na twarzy kilka kropel deszczu. Tem lepiej, pomyślał, wszystko się zamaże... tem lepiej... nie będzie nikt czytał... to dla ciebie, wyłącznie dla ciebie...

Poszedł nad rzekę, ujrzał znane ulice. Wydały mu się bardzo malutkie, podobnie, jak ogrody, mury i wszystko wokół. Nagle usłyszał turkot i zobaczył wózek. Mimowoli spojrzał na jadących i dostrzegł damę świeżutką, pulchniutką, wesolutką, wpatrzoną w niego z ciekawością. Wydała okrzyk zdziwienia:

— Pan Krafft?

Pojazd zatrzymał się na jej skinienie.

— Minna... — rzekł Krzysztof.

Zbliżył się do niej z wahaniem. Minnie towarzyszył zażywny, łysy jegomość z podczesanyim batorsko w górę wąsem. Był to jej mąż, sędzia powiatowy. Minna chciała zabrać Krzysztofa do domu i dokazała swego, chociaż się wzbraniał. Gadała ustawicznie, trzepała, chwaliła się, wysławiała swego męża jako pierwszorzędnego człowieka, wprost nad człowieka, a on uśmiechał się łaskawie. Nadezłowiek był poinformowany o pozycji Krzysztofa i nie wiedział, czy być niegrzeczny, ze względu na ciężący na nim areszt, czy uniżony z powodu wysokiej protekcji, jaka go otaczała. Był przeto naprzemian impertynenki i uniżony. Minna trzepała ciągle, pyszniąc się domem, dziećmi, dobrobytem, mężem i sobą. Prosiła by Krzysztof coś zagrał i oświadczyła, że to śliczne, w gruncie rzeczy wolala dużo grę męża, ale Krzysztof był sławny i to jej podchlebiało.

Po pół godzinnej rozmowie poświęconej gościowi małżonkowie wzięli się do codziennych plotek. Obmawiali ludzi, których nie znał i przeciwstawiali im ciągle siebie. Krzysztof uczuł się zbyt cenny, wstał i pozostawił ich w mniemaniu, że przyjdzie nazajutrz.

Gdyby był powiedział, że tegoż wieczora odjedzie, byłiby go trzymali do samego odejścia posiagu.

Gdy się znalazł sam w ciemności, doznał wielkiej ulgi. Cały przykry wieczór został wymazany z pamięci. Wszystko zatoneło w poszumie Renu. Księżyc przymglony wytonił się z chmur, a na grzywach fal rozblęśły świetlne łuski. Krzysztofowi wydało się, że rzeka dawniej nie tak blisko płynęła wzgórza, na którym siedział. Wstał i zbliżył się do brzegu. Tak, był tu dawniej poza gruszą, mały wyskok ładu pokryty trawą, na którym bawili się chłopcy i dziewczęta. Fale zmyły go i dobierały się teraz do korzeni starego drzewa. Krzysztof uciekł niepokój. Udał się ku stacji. Powstawała tu zwolna nowa dzielnica. Mijał nędzne domki, obszerne place budowlane, wysokie kominy fabryczne.

I to podmywa rzeka czasu, pomyślał... i droższemu jeszcze stała mu się owa stara, zaśnieżona miejscina. Wskoczył do wagonu i odjechał z uczuciem, że usieka przed powodzią, chłonącą wszystkie dawne ukochania. Oddalił się, unosząc iskrę wziętą z domowego ogniska, świętość, przeszłość.

Żaklina i Oliwer zbliżyli się do siebie na czas jakiś. Umarł ojciec Żakliny, a śmierć ta poruszyła ją do żywego. Wobec realnego nieszczęścia znalazły jej drobne troski codzienne, a głębokie współczucie objawione przez Oliwera ożywiło jej sympatię dla męża. Stanąwszy oko w oko ze skonem uczuła, że pośród wieczystego przemijania kochać należy to co się ma, a podróż odbyta wspólnie z Oliwerem, wskazana przez lekarza nastroiła ją serdecznie. Zwiedzili miejsca, które były świadkami ich miłości, ujrzeli postać tej miłości, w istnienie której zwątpili już i chwytając kurczowo jej szatę, prosili namłotnie:

— Nie odchodź, zostań... kiedyż się spotkamy... może nigdy w życiu!

Wiedziała, że długo nie zabawi...

Gdy Żaklina wróciła do miasta, uczuła, że zapalił się w niej nowy płomyk życia. Miłość przemi-

nęła, ale ciężar, który dźwigać teraz zaczęła związał ją silniej z mężem, lecz nie odczuła radości. Dawniej, czasu udręki myślała, że dziecko byłoby jej ratunkiem. I cóż się stało? Gdzież się podziła nadzieja. Prerażona, zatopiona w sobie czuła tę istotę wrośniętą w siebie, żywiącą się jej krwią... wsłuchiwała się w życie tego nieznanego stworzenia, które wzięło ją w posiadanie...

Nagle zrywała się prerażona, ogarnięta buntem. Chciała się uwolnić, odzyskać swą osobę, rozzerwać się zdradziecką, w którą ją oplątała natura. Za chwilę uczuwała zawstydzenie, spostrzegając, że myśli jej są chorobliwe i odnajdywała spokój. Był to jakiś spokój roślinny, cicha zaduma drzewa przez które płyną wiosenne soki.

Posłyszawszy pierwszy krzyk dziecka Żaklina przeistoczyła się zupełnie. Przyszło na nią objawienie: czem jest, uczuła radosną dumę macierzyńską. Ogromna fala miłości objęła ją i poniosła w górę, pod niebo. Trwało to długie jak wieczność i krótkie, jak drgnienie serca, potem łódź duszy znowu osiadła na piasku.

Drżąc ze wzruszenia pochylił się Oliwer nad kołyską i pragnął odgadnąć co to za nowy węzeł tajemny łączący ową półludzką zaledwo istotę z matką i ojcem. Niemal z odrazą dotknął ustami malej, żółtej główki, a Żaklina odsunęła go ządkami, przegarnęła niemowlę do piersi i zasypała pocałunkami. Dziecko zaczęło krzyżeć przeto oddała je, odwróciła się do ściany i wybuchnęła płaczem. Oliwer chciał ją pocieszyć, ale prosiła, by ją zostawił w spokoju...

Miłość skończyła się, nie było na to rady. Mężczyzna żyjący myślą nie zapomina nigdy całkiem uczucia, które przeżył. Zostaje w nim jego myślowy, duchowy ślad. Nie mogąc kochać, pamięta, że kochał. Ale cóż ma czynić kobieta gdy kochać przestanie? Czyńcie wysiłki, łudzić się?... Sparta o podobizni patrzyła Żaklina na swe dziecko. Było ono nie tylko nią samą, tkwiła w niem cząstką owego

człowieka, którego kochać przestała... Stworzenie to wiązało ją z martwą przeszłością, było wspomnieniem nie zaś zadatkiem przyszłości...

Żaklina chorowała długo po narodzeniu dziecka. Przez kilka miesięcy leżała w łóżku otoczona lekarzami, dziecko tymczasem karmione przez zdrową, tęą mamkę chowało się doskonale. Przez czas jakiś mniemała, że dziecko to zniszczyło ją na zawsze i odczuwała doń nienawiść stałą, że zaś nie mogła przyznać się wobec siebie do tego uczucia, przeniosła je na Oliwera, sprawcę złego. Oczywiście przypuszczenie trwałej choroby rozwiało się i Żaklina wyszła z połogu wzmocniona fizycznie. Ale duchowo było z nią gorzej, niż przedtem. Długie rozmyślenia na wieczny temat swego: ja, dokończyły dzieła spustoszenia. Uczuła się absolutnie samotną na świecie i rozgrzeszyła z góry z wszystkiego, co by nastąpić mogło.

Oliwer uczył, a nawet wiedział wszystko i milczał. Nie znalazł w swej słabej duszy innego środka. Ale i to mileżenie usiłowała teraz zburzyć Żaklina, chciała wywołać gniew, twarde słowa, wogóle jakąś brutalność, słowem coś, z czego mogłaby zaezerpnąć nowych powodów nienawiści. Jeśli dał się unieść, pogardzała nim, gdy zaś wracał zawstydzony i przepraszał z pokorą, pogardzała nim tem więcej. Gdy zdołał zapanować nad sobą i nie stracił równowagi, natenczas nienawidziła go.

Zapadało między nimi teraz głuche mileżenie, trwające po kilka dni z rzędu i w tej ciszy desyczał się jad, który miał położyć kres ich współżyciu. Przypadek przyspieszył rozwiązanie.

Od jakiegoś roku bywała u Jeaninów Cecylka Fleury, którą Oliwer poznał u Krzysztofa. Żaklina ją zaprosiła, a Cecylka stała się częstym gościem i nie przerywała wizyt nawet po rozstaniu się małżonków z Krzysztofem. Żaklina bardzo ją polubiła i chociaż była mało muzykalna odczuwała kojący wpływ jej śpiewu i samej nawet obecności. Cecylka

stała się przyjaciółką rodziny. Spokojna szczerłość jej i uczciwość napelniała słońcem cały dom. Ile razy się zjawiała małżonkowie odczuwali wielką ulgę, ile razy odchodziła, omal nie wołali oboje:

— Zostań! Tak nam zimno bez ciebie!

Podezas choroby Żakliny, Oliwer często rozmawiał z Cecylką i nie mógł, a zarazem nie chciał tać przed nią swych utrapień. Jak wszystkie dusze słabe działał pod pierwszym wrażeniem i mówił, czując, że go ból dusi w gardle. Wzruszona Cecylka uspokoiła go i pocieszała po macierzyńsku, ale od czasu tych wynurzeń przychodziła o wiele rzadziej. Nie wiadomo, czy sprawiała jej większą, jak jemu przykrość, czy też miała inne powody. Prawdopodobnie sądziła, że niema prawa wdierać się w tajemnice Żakliny. Oliwer tłumaczył to sobie w ten właśnie sposób i żałował swej szczerości. Został teraz sam i odczuwał czem mu była Cecylka. Nawykł dzielić się z nią myślami i ona jedna umiała zdejmować z jego serca brzemień bólu.

Osamotniony powrócił do nawyczki dawnej spisywania swych wrażeń, podjął na nowo dziennik przerwany w czasie upojen miłosnych. Było to jedyne ujęcie, jedyne towarzystwo, jedyne ratunek. Pisał wszystko, pisał nierównie więcej, niż mógłby zwierzyć Cecylce, a nie krępował się, gdyż wiedział, że nikt tego czytać nie będzie.

Przypadkiem zapiski te wpadły w ręce Żakliny. Stało się to właśnie w momencie, kiedy uczuła się bliższą mężowi jak od dawna. Porządkując w swej szafie natrafiła na stare listy miłosne Oliwera i odczytywała je z wielkiem wzruszeniem. Do oczu cisnęły się łzy, siedziała przy szafie nie mogąc dalej porządkować. Przed oczyma jej stała cała przeszłość i uczuła wielkie wyrzuty sumienia. Wspomniła ile wycierpiał Oliwer i dreszcze ją przebiegły. Mogła go zapomnieć, ale świadomość, że cierpiał przez nią rozdarła jej serce. Byłaby się w tej chwili rzuciła w ramiona męża, wołając:

— Byliśmy głupcami! Pocóż sprawiać sobie ból wzajemnie... dosyć tego!

Ach, gdyby w tej chwili wrócił do domu!

Niestety, zaraz potem znalazła dziennik. Wszystko się skończyło. Czy myślała, że ją Oliwer zdradził rzeczywiście? To nie zmieniało postaci rzeczy. Nie w czynie, ale w chęci mieścić się znamiona zdrady. Raczej byłaby mu przebaczyła posiadanie kochanki, niż to, że pokryjomu oddał innej serce. I miała zupełną słuszość.

Oliwer nie dowiedział się nigdy co przeszła dnia owego, ale gdy wrócił i spojrzał na nią uświadomił sobie, że wszystko skończone.

Od tej chwili rozmawiali ze sobą tylko w obecności innych osób. Szpiegowali się wzajem, jak dwa ścigane, otoczone nagonką zwierzęta, ciągle bacznie, ciągle drżące ze strachu.

Oliwer nie mógł znieść brzemienia takiego życia, usunął się jak najdalej i wypuścił temsamem z rąk ster duszy Żakliny. Ona zaś pozostawiona samej sobie, upojona wolnością przechodziła wprost ekstazy szału. Potrzebowała pana, przeciw któremu mogłaby się buntować, a straciwszy go musiała się wystarać o innego. Dotąd, mimowszystko nie przyszło jej na myśl opuszczać Oliwera, teraz uważając się za uwolnioną z wszelkich pęt postanowiła kochać póki nie będzie za późno (uważała się bowiem za starą). Znała z czytania i słuchu ową namiętność w połowie wyrozumowaną zwąca się: żyć i użyć, wiedziała jak często, jak zawsze niemal kobieta chwytając mężczyznę pierwszego z brzegu i oślepią swą namiętnością oddaje wszystko, by otrzymać samo jeno rozczarowanie. Wiedziała to, a jednak uczyniła, co czynią inne.

Żaklina zakochała się w donżuanie, uwodzicielu, pewnym pismaku paryskim. Nie był on piękny, nie był nawet młody, przeciwnie przeżyty i napół bezzębny. Pustka jego duszy była wprost straszna, a cała zaleta polegała na tem, że był w modzie i unieszczęśliwił niezliczoną liczbę kobiet.

Żaklina nie mogła na swe usprawiedliwienie tego nawet powiedzieć, że nie знаła jego samolubstwa, gdyż sam pysznił się tem w swoich utworach. Wiedział dokładnie co czyni. Egoizm okryty szatą sztuki jest jak zwierciadło samotrzasku, jak połysk światła nęcący ofiary. Przed Żakliną wiele już kobiet z wyższych sfer wpadło w te sieci. Dopiero niedawno uwiódł bez wielkich zachodów, a potem porzucił znajomą jej, młodą mężatkę. Uwiedzione kobiety nie przypłacały tego życiem, wystawiały się tylko na pośmiewisko, nie mogąc dostatecznie ukryć swego rozczarowania. Nawet te, które najbrutalniejszy los spotkał, nie traciły stanowiska społecznego, gdyż miały zbyt wiele rozsądku, by zaburzeń swych stosunków małżeńskich nie osłaniać jakotako, nie doprowadzając do skandalu. Nie budziły publicznego zgorzelenia, wszystko odbywało się po cichu. Były jeno tematami plotek.

Ale Żaklina nie znała połowiczności. Była nie tylko zdolną uczynić, co mówi, ale powiedzieć to, co czyni. Wybryki jej nie były obliczone naprzód i wolne od obłudy. Miała odwagę szczerości i nie cofała się przed skutkami swych czynów. Większą posiadając wartość od ogółu swych znajomych, dlatego też przewyższyła je w złem. Raz pokochawszy, rzuciła się z odwagą rozpacz w przepaść.

Pani Arnaud siedziała w domu sama zajęta robotą na drutach. Pracowała z gorączkową jednostajnością podobną pilnej Penelopie i jak ona oczekując męża. Pan Arnaud spędzał cały dzień za domem. Przed i popołudniu wykładał w szkole. Często przychodził na południowy posiłek, mimo że był kulawy, a gimnazjum znajdowało się na drugim końcu miasta. Zmuszał się do tego spaceru nietyle z tęsknoty, czy oszczędności, co z nawyku, ale bywały dni w których miewał godziny korepetycji, to znów przesiadywał w pobliskiej bibliotece. Wówczas pani Arnaud przesiadywała sama w opustoszałym mieszkaniu. Poza obsługaczką, która wykonywała pomiędzy ósmą

a dziesiątą rano grubsze roboty i dostawcami żywności nikt nie zjawił się u niej. W kamienicy nie znała teraz nikogo. Krzysztof się wyprowadził inni lokatorowie znikli również, tak, że poza Krzysztofem i Cecylką — z nikim nie utrzymywała stosunków. Ale i oni mieszkali daleko i byli po całych dniach zajęci pracą, toteż nie pokazywali się nieraz po całych tygodniach. Musiała poprzestać na samej sobie, ale nie nudziła się wcale. Najdrobniejsze codzienne zajęcia dostarczały jej strawy duchowej. Miała wąż roślinki w wazonikach, których liście oczyszczała codziennie starannie, miała burego kota, który nabrał tychsamych co ona obyczajów. Zdarza się to ze zwierzętami, jeśli czują, że posiadają przywiązanie człowieka.

Całymi dniami siadywała u kominka, albo przy stole w świetle lampy i patrzyła z uwagą na swe pilne palce. Nawet meble stały się towarzyszami pani Arnaud, każdy miał specjalną, znaną jej dobrze minę. Z dziecięcą radością czyściła je, ścierając starannie kurz, i posuwając je potem ostrożnie na dawne miejsce. Rozmawiała z nimi z cicha. Uśmiechała się ze szczególnym wzruszeniem do pięknego, małego biurczka w stylu Ludwika XVI, witając je co ranka z nową ciągle radością. Ważnem zajęciem było też dla niej przeglądanie bielizny. Wchodziła na stół i godzinami tkwiła w wielkiej szafie. Przewracała, porządkowała, przeglądała i badała każdą sztukę, a kot patrzył na nią zdziwiony, niemal zaniepokojony, wlepiając w jej postać wielkie, błyszczące oczy.

Czuła się nader szczęśliwa, gdy po załatwieniu koniecznych rzeczy, po zjedzonym (było jakim) obiedzie wracała około czwartej i mogła usiąść przy kominku, lub oknie z robotą w ręku i kotem przy boku. Często szukała pozorów, by wcale nie wychodzić na świat i zamykała się z lubością w domu, zwłaszcza w zimie, gdy padał śnieg. Nie znosiła zimna, wiatru błota i deszczu i to ją upodabniało do burego, rozpieszczanego kota. Gdy dostawcy żywności nie zjawił się, wołała raczej głodować, niż iść po wiktuały

W takich razach zadowalniała się kawałkiem czekolady, lub odrobina owoców. Oczywiście nie mówiła nic mężowi i to stanowiło jej wybryk.

Siadywała tak w dni szare mgliste, a często nawet w słoneczne, prześwieczone blaskami, z otwartą książką na kolanach, a drutami w rękach. Książki te czerwono oprawne były to zazwyczaj przekłady angielskich powieści. Ale nie czytywała więcej, niż jeden rozdział dziennie, toteż po całych tygodniach książka otwartą była na tejsamej stronie, często nawet zamknięta. Marzyła na temat rzeczy znanych, o nieznanych jeszcze. Długie romansy Dickensa i Tackera przeleżały w ten sposób miesiące, a marzyły jej się całe lata. Ludzie współcześni czytają zbyt pośpiesznie i nie wiedzą co może dać dobra książka zwolna i gruntownie przeczytana.

Pani Arnaud nie wątpiła ani na moment, że wszystkie postaci powieści żyły naprawdę na świecie. Ile razy wyjrzała oknem, dostrzegała je na ulicy, rozpoznawała po ruchach, lub wyrazie twarzy. Zwidowała się jej dramaty o jakich czytała i komedje rzeczywiście. Nie zawsze to było złudzeniem, często odgadywała wszystko, jakby tego lepiej nie mógł uczynić sam autor. Samotność dała jej zdolność wyczuwania rzeczy skrytych, nieznanych samym może dotyczącym osobom.

Ale nie miała potrzeby myśleć o innych. Własne życie dostarczało jej mnóstwa tematów do rozmyślań. Owo zewnętrznie blade i jednostajne życie kryło w sobie nieprzebrane bogactwa. Czy istniały one rzeczywiście? Były dla niej prawdą, porówni z prawdą powieści, a przeto wystarczały jej najzupełniej.

Własne życie wypełniało zresztą tylko część jej marzeń. Przeżywała żywoty i dzieje dawnych i późniejszych znajomych. Stawiała się w ich miejsce i dumiała. W ten sposób rozmyślała o Krzysztofie i o Cecylce. Właśnie dzisiaj myślała o niej. Polubiły się wzajemnie. Dziwnem to było, ale zdrowa, zamaszysta Cecylka potrzebowała bardzo pomocy wątej pani Arnaud. Była zresztą mniej silna, niż się wydawała

z pozoru. Zwłaszcza teraz przeżywała kryzys duchowy. Serca^o spokojne nie są zabezpieczone od niespodzianek. Niespostrzeżenie wkradło się tam uczucie. Zrazu nie chciała się doń przyznać, ale gdy wzrosło, nie dało się zaprzeczyć: pokochała Oliwera. Pokochała dlatego właśnie, że był naturą kobiecą, słabą, bezbronną. To ją pociągnęło prawem kontrastu, oraz z powodu, że Oliwer potrzebował pieczy macierzyńskiej, a ona była nawskróś dobrą. Posłyszawszy o jego przejściach małżeńskich uczuła głębokie współczucie i politowanie, a instynkt ostrzegł ją o niebezpieczeństwie. Przestała bywać.

Uświadomiwszy sobie, że pokochała, rozpoczęła mężne wysiłki by wyrwać z serca ten haczyk. Walczyła bohatersko.

A w walce tej jedyną podporą, jedyną pociechą była jej pani Arnaud. Cecylka nie zwierzała się jej. Przychodziła tylko, kładła swą głowę osadzoną na muskularnym karku na ramieniu wątlęj kobieciny, płakała chwilę bez słowa, całowała przyjaciółkę i odchodziła śmiejąc się swobodnie. A pani Arnaud rozumiała wszystko bez słów, bez opowiadania. Znała świat i uważała go za jedno wielkie, smutne nieporozumienie, którego rozwikłać nie sposób. Można tylko kochać, współczuć i marzyć.

Mimo tych marzeń, pani Arnaud nie zapominała o obowiązkach i gdy mąż wracał wieczorem zastawał zawsze zapaloną lampę, przysposobioną kolację i uśmiechnięte, blade oblicze czekającej nań żony. Nie znał, świata, w którym żyła, ale sam żył w podobnym świetle książek i dzieł sztuki i żywił swą duszę promieniującym z nich żarem. To ich łączyło mimo, że nie przeżywali tegosamego, posuwali się równoległymi ścieżkami, które nie złączyły się nigdy, ale także nigdy nie przecięły się pod ostrym kątem cierpienia.

Pani Arnaud była sama. Wieczór zapadł. Nagle rozległo się dzwonięcie. Zbudzona z marzeń niezwykłym hałasem, przeraziła się zrazu. Złożywszy sta-

rannie robotę poszła otworzyć. Zjawił się Krzysztof, był wzburzony. Chwyciła jego ręce i zapytała serdecznie:

— Co panu jest?

— Ach, — odparł — Oliwer powrócił.

— Powrócił?

— Przybył dziś rano... Krzysztofie ratuj mnie! zawołał — Otoczyłem go ramieniem. Rozpłakał się i powiedział: Tyś mi jeden pozostał! Ona mnie opuściła!

Pani Arnaud załamała ręce i powiedziała:

— Co za nieszczęście!

— Porzuciła go! — powtórzył Krzysztof — Uciekła do kochanka!

— A dziecko? — spytała.

— Porzuciła dziecko, męża, dom...

— Nieszczęśliwa kobieta! — powiedziała pani Arnaud.

— On kochał ją bardzo! — rzekł Krzysztof — nie przyjdzie już do siebie po tym ciosie! Powtarza w kółko: Krzysztofie, ona mnie zdradziła! Jedyna przyjaciółka zdradziła mnie! Daremnie mu mówię: Jeśli cię zdradziła to nie była twą przyjaciółką, ale wrogiem! Zapomnij, albo zabij ją!

— Co też pan mówi, panie Krzysztofie! — zawołała pani Arnaud.

— Mówię co myślę! Zabiłbym ją sam, gdyż zabiła jego duszę...

— Pan się oczernia! — odparła — Panby tego nigdy nie uczynił... Wszakże zbrodnia nie uprawnia do zbrodni... pan to wie dobrze...

— Prawda... prawda droga pani, — przyznał — ale taka szelma...

— Nie mów pan tak! Krzysztofie, pan tego nie rozumie...

— Jakto? — zdziwił się — Pani staje w jej obronie?

— Żal mi biedaczki...

— Ładna mi biedaczka! — krzyknął.

— Co pan sądzi, że nie cierpiała? Czy kobieta porzuca z lekkim sercem swe dziecko? Czy niweczy bez powodu własne życie? Bo przecież zniweczyła także własną egzystencję... Mało ją znam, rozmawiałam z nią tylko dwa razy przelotnie i nie posiadałam jej sympatii, ale wiem, że znam ją lepiej niż pan. Ona nie jest złą kobietą! Ileż musiała wycierpieć...

— Jakto pani to mówi? — zdziwił się — Ależ w tonie pani brzmi coś... coś...

— Cóż takiego? — spytała.

— Wydałoby się, że pani zna te cierpienia...

— Znam je dobrze... przeżyłam je! — wyznała.

— Proszę pani! — zawołał — Znam panią dobrze i wiem, że nie postąpiłaby pani jak ona!

— Kto wie:

— Przysięgam na to! Znam wartość pani!

— Nie przysięgaj pan! Byłam bardzo bliska takiego samego aktu rozpacz. Nie łatwo mi o tem mówić, ale chcę sprawić, by pan sądził sprawiedliwą niefortuną. Tak, to prawda, stałam nad tą samą przepaścią, a jeśli w nią nie skończyłam, zawdzięczam to panu. Było to przed dwoma laty. Przeszłam całe piekło. Przekonana byłam, że nic po mnie na świecie, że niepotrzebna jestem nikomu, że nawet mąż mój obszedłby się doskonale bezemnie, że żyję nadaremnie... Postanowiłam iść sobie precz, gdzie oczy poniosą, zrobić jakieś głupswo... Wtedy poszłam do pana... pan pewnie pamięta... Nie wiedział pan po com przyszła... Chciałam się pożegnać. Już nie wiem co się stało, nie pamiętam słów pańskich... Ale czuję, że niektóre powiedzenia pańskie (oczywiście nie domyślał się pan tego)... owe zwierzenie serdeczne po chwilowej utracie przyjaciela... były dla mnie objawieniem. Może nawet nie to, co pan mówił... może coś innego nieokreślonego, coś, co promieniowało od pana, stało się powodem ocalenia. Była to chwila, kiedy najdrobniejsze słowo, gest, uczucie mogły mnie wtrącić w śmierć, albo wybawić. Od pana wróciłam

do domu, zamknęłam się i przeplakałam cały dzień. Poczułam ogromną ulgę... kryzys minął.

— Czuje się pani szczęśliwą? — spytał wzruszony.

— Tak szczęśliwą, jak można być nią na tej ziemi...

Nagle zarumieniła się i zawołała:

— Ach! Jakże mogłam mówić o tem? Zapomnij panie Krzysztofie... proszę bardzo... nikt o tem wiedzieć nie powinien!

— Dochowam święcie tajemnicy! — powiedział i ścisnął ją za rękę.

— Wygadałam się... Ale chciałam panu pokazać, że nawet kobiety, które pan szanuje... nawet najszcześliwsze małżonki... miewają chwile, nie jak pan to nazywasz: pomieszania zmysłów... ale długie chwile okrutnych cierpień, które sprowadzają szal i są powodem ruiny życia męża, żony i dzieci... Nie należy sądzić... nawet kochając się bardzo, kobieta i mężczyzna zadają sobie mnóstwo ran...

— Najlepsza tedy samotność? — spytał.

— Dla kobiet jest ona... wprost katuszą! — odparła — Kobieta żyje samotnie, walczy o byt, zarobkuje, tylko z musu. Czyż mam panu powtarzać znane dobrze rzeczy, czyż nie widział pan kobiet samotnych, nie dostrzegł piekła, w którym żyją, ich zboczeń, grzechów, cierpień i smutków?

— Droga pani! — powiedział — nietylko kobiecie to los; i my mężczyźni znamy swe cierpienia i walki... Ale są jednak kobiety samotne, a szczęśliwe. Spójrzaj pani choćby na Cecylkę!

— Tak?... Tak pan sądzi? Bardzo łatwy to sąd, czysto męski. Powiada pan: jest szczęśliwa, ale tylko dlatego, że walczy, że dzielnie odpycha zło, że je skrywa... Nie znasz pan jej cierpień i smutków... Zaręczam panu, panie Krzysztofie, że dużo trudniej być kobietą niż mężczyzną. Nie uświadamiają sobie tego mężczyźni. Przed nimi świat stoi otworem. Możecie się zanurzyć w duchową namiętność i rozplynać w niej bez reszty. Pozbawiacie się przez to niejednego, ale

to pogłębia tylko wasze szczęście. Zdrowa kobieta uczynić tak nie może bez cierpienia. Okrutną, nie-ludzką jest rzeczą zdławić część swego istoty. Jeśli kobieta osiągnęła owo połowiczne szczęście, to tęskni tem silniej do drugiej części swego przeznaczenia. Kobieta ma dwie dusze, wy zaś tylko jedną, silną, brutalną, straszliwą. Podziwiam was, ale wyrzeknijcie się samolubstwa!

— Cóż robić? Nie nasza to wina!

— Tak jest! Nie wasza wina, drogi Krzysztofie, ale także nie nasza... Tylko życie samo, zważ to pan dobrze, nie jest tak proste i zrozumiałe, jak wam się wydaje. Mówicie: trzeba żyć zgodnie z naturą! Dobrze! Ale coż jest... naturalne?

— Ma pani słuszość! — zgodził się — Ani celibat, ani małżeństwo dzisiejsze nie są to rzeczy naturalne. Wolna miłość, to wprost wystawienie słabego na łup mocniejszego. Całe społeczeństwo nasze przestało być naturalne! Powiadają: człowiek, to istota gromadzka, społeczna! Głupstwo wierutne! Człowiek zrzeszył się wyłącznie z konieczności. dla celów ochrony życia, celów walki, celów użycia, celów potęgi. Tylko konieczność zmusiła go do podjęcia brzmienia tak zwanej ugody społecznej, która jest niewolą. Ale natura jednostki buntuje się, albowiem ją obcięto, zniewolono! Wależymy wszyscy z naturą, coż więc dziwnego, że często doznajemy porażki? Zwyciężyć może tylko silny...

— I dobry... — dodała pospiesznie.

— Tak! — zawołał — Należy kochać ludzi...

— Kochać winni się mężczyzna i kobieta, jak ludzie. Mężczyzna musi zrozumieć, że jest bratem kobiety, a nie tylko jej władcą, czy łupem. Tosamo kobieta! Niechże odłożą na bok swą dumę i zamiast każde o sobie, myślą wzajemnie o drugim. Wszyscy jesteśmy słabi, przeto należy sobie pomagać. Nie mówmy tym co upadli: nie znam cię! Ale przeciwnie: podnieś się, biedny człowieku, jakoś sobie poradzimy w życiu!

Mileząc siedzieli u kominka. Pomiędzy sobą trzymali burego kota i wszyscy troje spoglądali bez ruchu w ogień. Ostatnie połyski rzucały na drobną twarz pani Arnaud różową poświatę. Była podniecona, dziwiła się bardzo, iż mogła zdobyć się na tak szczere wyznanie. Nigdy jeszcze nie mówiła tak długo i wyczerpująco o bolesnych i bliskich sprawach. Obiecywała sobie poprawę. Nagle położyła dłoń na rękę Krzysztofa i spytała:

— Co pan zrobi z dzieckiem?

Myśl ta nie opuszczała jej od samego początku rozmowy. Mówiła, mówiła, jak zgola inna kobieta, ogarnęło ją dziwne upojenie, a myślała o tem jednym tylko...

Stworzyła sobie naprzód cudną, romantyczną opowieść o opuszczonem niemowlęciu, które bierze samotna kobieta i kołysze jego duszyczkę rytmem marzeń miłości. Mówiła, mówiła, a w sercu jej tętniła nadzieja.

Krzysztof powiedział:

— Myślałem o tem. Biedne małżeństwo! Ani Oliwer, ani ja nie jesteśmy w stanie chować dziecka. Konieczną jest pomoc kobiety. Przyszło mi na myśl, że może zaradzić temu przyjaciółka...

Pani Arnaud wstrzymała oddech.

Krzysztof ciągnął dalej:

— Właśnie chciałem o tem powiedzieć z panią. Nagle przyszła Cecylka. Gdy się dowiedziała co zaszło, gdy zobaczyła dziecko ogarnęło ją ogromne, radosne wzruszenie. Powiedziała: Krzysztofie...

Serce pani Arnaud zamarło. Nic już nie słyszała, mgła zasłoniła jej oczy. Omal nie krzyknęła:

— Nie... nie... mnie je oddajcie!

Krzysztof mówił dalej, ale nie słyszała jego słów. Przewyciężyła się, wspomniła to, co jej zwierzyła Cecylka i pomyślała:

— Jej owo bardziej potrzebne. Wszakże ja mam męża... mam swoje marzenia... Przytem jestem starsza...

Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Niechże tak będzie.

Ogień na kominku zgasł, znikła też różowa poświata na jej twarzy. Przybladła, pochyliła się i miała teraz zwyczajny wyraz pokornej, cichej dobroci.

Nieszczęście sprowadza na człowieka dziwne osamotnienie. Ludzie czują doń instynktową odrazę, boją się zarazić, przytem nieszczęśnik bywa straszliwie nudny. Wszyscy uciekają, niewielu tylko mają dość siły, by mu to przebaczyć.

Zawsze powtarza się historia przyjaciół Hioba. Każdy przypisuje winę samemu dotkniętemu klęską, współczucie, to cnota dostępna jeno wybrancom. Krzysztof posiadał ją, ale w stopniu niedostatecznym. Umiął okazywać politowanie i pomagać, smutek odradzał go, gdyż był naturą silną, aktywną.

Oliwer czuł, że go nudzi. Krzysztof nie mógł tutaj nic poradzić, a chociaż był dobry, choć kochał ludzi, choć umiał przetrzymywać próby czynione własnego cierpienia, nie potrafił współczuć z przyjacielem. Taką jest już natura człowieka. Człowiek najlepszy, miłosierny, szczery, który przeżył piekło mąk, znieść nie może gdy sąsiada rozboleją zęby. Gdy dolegliwość trwa dłużej, skłonny jest mniemać, że chory przesadza. Dzieje się to zwłaszcza wtedy, gdy cierpienie jest niewidoczne, ukryte na dnie duszy. Ostatecznie dla uspokojenia sumienia mówi sobie każdy:

— Cóż ja poradzę? Pocieszenie i rozumowanie nie warto nic, a nic!

Przytem człowiek bolejący, to człowiek słaby, bezużyteczny i ogół wydaje o nim sąd okrutny, a jeśli ulegnie cierpieniu i zginie, powiadają wszyscy:

— Biedaczysko! Był zawsze niedołęgą. — To dziwne, by takie głupstwo mogło go zniszczyć! Ostatecznie dzieją się rzeczy gorsze... Mnie by to nie spotkało... Bardzo się na nim zawiodłem!

Krzysztof wysilał się na cierpliwość, by Oliwer nie spostrzegł co o nim sądzi. Ale wyostrowiona bólem intuicja Oliwera nie dała się zwieść. Czuł, że jest mu ciężarem, przeto oddalał się odeń coraz bardziej, miał nawet nieraz ochotę krzyknąć:

— Idź sobie precz!

Nieszczęście dzieli czasem serca, które się kochają, podobnie jak młyn, odrzucający plewę w jedną a zboże w drugą stronę. To co ma żyć, musi zostać oddzielone od martwoty, a smutek, to brat śmierci. Straszliwe to prawo życia silniejsze jest nawet, niż miłość. Matka patrzy na umierające dziecko, przyłacieł na tonącego przyjaciela. Nie mogąc uratować ukochanych uciekają, salwując swe życie i nie umierają. A przecież kochają tych bliskich swoich „nad życie!”

Krzysztof musiał unikać często Oliwera. Był zbyt zdrowy, zbyt silny, by wytrzymać w tej bezpowietrznej atmosferze rozpacz. Jednocześnie wstydził się tego i czuł wściekłość, że nic nie może uczynić dla przyjaciela. Pasję swą wyładowywał na Żaklinie.

Zachodził często do Cecylki, i przyglądał się dziecku, które jej oddano w opiekę. Cecylkę przeobraziło zupełnie to przybrane macierzyństwo, stała się szczęśliwą, wesołą, a przytem subtelniejszą i czulszą. Nie stwarzała sobie żadnych nadziei szczęścia osobistego, wiedziała bowiem, że postąpienie Żakliny oddala od niej Oliwera jeszcze bardziej, niż gdyby się nic nie było stało. Zresztą kryzys minął zaś to co uczyniła Żaklina stało się tragedją Cecylki, przeżyła ją i ozdrowiała. Odzyskała równowagę i teraz dziwiła się, że mogła ją być na chwilę utracić.

Przypadła jej w udziale część główna i najlepsza miała jego dziecko. Wyobrażnia kobieca sprawiła, iż w dziecku tem odnalazła ukochanego. Odnalazła go w formie najlepszej, mogła kochać dowoli, był jej własnością, zależny, bezbronny, słaby, zdany wyłącznie na jej pieczę. Ta miłość czysta miała niejaki podkład melancholii, ale... myślała Cecylka... i tak wygrałam wielką stawkę życia... mam swój cel, mam miłość swoją.

Krzysztof spoglądał na nią zdziwiony i przychodziło mu często na myśl ironiczne powiedzenie Franciszki Oudon:

— Nie rozumiem, czemu wy oboje z Filomelą nie kochacie się? Jesteście stworzeni dla siebie!

Franciszka wiedziała lepiej od niego, że gdy się jest takim Krzysztofem rzadko zdarza się, by pokochać można kogoś kto może nam uczynić dobrze. Raczej kocha się tych, którzy zadają rany. Sprzeczności przyciągają się wzajem, bowiem natura idzie po linii samozniszczenia i woli raczej silne życie, spalające się samo w sobie, niż słabe, ostrożne i oszczędne. Natury, jak Krzysztof mają przykaz żyć nie jaknajdłużej, ale jaknajintensywniej...

Krzysztof był mniej bystry od Franciszki, przeto powiedział sobie, że miłość, to siła ślepa i okrutna. Łączy tych, którzy znieść się nie mogą, a rozdziela podobnych sobie. To co tworzy, jest znikomością wobec tego, co niweczy. Jeśli miłość daje szczęście, natenczas osłabia wolę, gdy sprówdza nieszczęście, wówczas druzgocze serce. Czy wogóle czyni kiedy coś dobrego?

Tak pytał, tak się gniewał na miłość, a jednocześnie słyszał ironiczny, owiany serdecznością, cichy głos, mówiący mu:

— Ej, ty niewdzięczniku!...

Krzysztof był zmuszony zjawić się znowu na koncercie w ambasadzie austriackiej. Filomela śpiewała pieśni Szuberta, Hugona Wolfa i jego własne. Krzysztof był teraz naprawdę sławnym i wiedziały o nim najszerze sfery publiczności. Tacy Levy-Coeurowie nie mogli już udawać, że go nie znają. Utwory jego grywano na wszystkich koncertach, a jedna z oper przyjętą została do Opery Komicznej.

Ciągle wspomagała go tajemnicza dłoń nieznanego przyjaciela. Krzysztof starał się dowiedzieć kto to taki, ale ów przyjaciel unikał starannie spotkania. Wydawało mu się też iż ów przyjaciel miał żal, iż nie starał się doń odrazu zbliżyć i teraz kryje się z rozmysłem. Zresztą Krzysztof zajęty był ciągle Oliwerem, pracą, a ostatnio Franciszką, wyczytał bowiem

w dziennikach, że ciężko zaniemogła w San Francisco.

Wyobraził ją sobie leżącą w pokoju hotelowym, opuszczoną, samotną, obróconą do ściany i oczekującą śmierci z zaciśniętymi zębami. Przybył na koncert ale unikał ludzi. Poszedł do ustronnego saloniku, zasunął się w kąt, za klomb roślin i słuchał pięknego, elegijnego głosu Filomeli, śpiewającej „Lipę“ Szuberta. Opoдал wisało wielkie zwierciadło odbijające wszystko co się działo w głównej sali. Nie widział nic, wzrok jego bowiem skierowany był ku wnętrzu, a oczy skąpane we łzach.

Nagle śpiew ucichł, rozstąpiła się mgła zasłaniająca spojrzenie, rzucił oczyma w zwierciadło i osłupiał. Przez chwilę stał drżący, blady i patrzył.

W zwierciadle ujrzał kobietę. Spozierała nań wyraźnie. Odrazu uczuł że to... przyjaciółka... Nie poznał jej, nie znał jej nazwiska. Wiedział tylko to jedno, że ją znał dawniej i że jest jego przyjaciółką.

Uśmiechnął się i patrzył. Ale nie dostrzegł rysów jej twarzy, ani linii ciała, ani barwy oczu, nie mógłby powiedzieć czy jest niska, czy wysoka, nie rozróżniał, jaką ma na sobie suknię. Widział jedno tylko: niebiańską dobroć zakłęta w uśmiech współczucia.

Trwało to moment zaledwie. Tłum ludzi zasłonił wejście do salonu i Krzysztof nie mógł widzieć, cofnął się szybko poza klomb kwiatów chcąc ukryć wzruszenie. Uspokoiwszy się, uczuł chęć zobaczenia jej. Obawiał się, że mogła odejść. Wszedł przeto do salonu i zaczął szukać. Znalazł ją zaraz, ale wydała mu się nieco odmienną od tamtej, widzianej w lustrze. Siedziała w fotelu, pośród eleganckich dam i słuchała ich paplaniny z miną roztargnioną i obojętnym uśmiechem. Wyrazem twarzy przypominała młodego Jana wrafaelowskiej „Dyspucie“, zasłuchanego we własne myśli.

Nagle podniosła głowę, spojrzała na Krzysztofa bez zdziwienia. W tej chwili zrozumiał, że poprzednio uśmiechała się do niego. Skłonił się wzruszony i uczynił kilka kroków w jej stronę.

— Pan mnie nie poznaje? — spytała.

W tej chwili poznał:

— Gracja ¹⁾! — wykrzyknął zdumiony.

Zjawiła się małżonka ambasadora, dała wyraz swej radości z powodu, iż nakoniec doszło do skutku tak długo wyczekiwane spotkanie, i przedstawiła Krzysztofa hrabinie Bereny.

Ale Krzysztof nie słyszał nic, nie zapamiętał nawet nazwiska. Dla niego była to zawsze ta sama mała Gracja...

Gracja miała teraz dwadzieścia dwa lata i od roku była żoną młodego attaché ambasady austriackiej, spokrewnionego z kanclerzem państwa, pochodzącego ze starego, szlacheckiego rodu. Zakochała się w tym nadszarpniętym przez życie, eleganckim światowcu i snobie i kochała go dotąd, mimo, że nie tajne jej były jego braki i wady. Ojciec Gracji umarł, a mąż został powołany na stanowisko dyplomatyczne do Paryża.

Płochliwa dziewczynka, drżąca jak osiczyna od lada wietrzyku, prędko się przeistoczyła w zachwycającą, pewną siebie damę. Posiadała duszę czystą, spokojną, serce radosne i współczujące. Piękność swą znała i ceniła, widziała w niej bowiem siłę wielką mogącą sprawić wiele dobrego. Nie starając się o to wcale, samem zjawieniem swem wywoływała w wykwintnych sferach stolicy i osiągnęła znaczny wpływ. Korzystała z niego w sposób tak taktowny i rozumny i czyniła dużo dobrego artystom, oraz opuszczonym i potrzebującym pomocy.

Nie zapomniała Krzysztofa. Nie była już ową nieśmiałą dziewczynką, płonąącą do swego nauczyciela muzyki idealną, niewinną miłością. Dzisiejsza Gracja zapomniała uniesień romantycznych. Ale wspomnienie tych czasów napełniało ją rzewnem wzruszeniem. Postać Krzysztofa wiązała się ściśle z najczystszy-

¹⁾ Postać z tomu p. t. „Targowisko“.

najpoetyczniejszym okresem jej życia, to też cieszyła się słysząc jego nazwisko otoczone aureolą sławy. Śledziła z oddali co czyni i uczuła się dotkniętą napaściami prasy, jakie rozpoczęły się nagle, bez realnego powodu.

Gracja była mądra, znała Paryż i wiedziała, co czynić należy. Zaprosiła zaraz do siebie dyrektora pisma miotającego na Krzysztofa pociski i w mig zawróciła mu głowę. Pomiędzy zupą, a deserem dokonała zupełnego podboju, schlebując jego próżności, a potem rzuciła parę słów wyrażających zdumienie z powodu agresywności pisma wobec artysty tej miary co Krzysztof. To wystarczyło. Dyrektor potargał artykuł skierowany przeciw muzykowi, a gdy nazajutrz autor spytał czemu się nie ukazał, dyrektor zwymyślał go od psów i zagroził dymisją. Autor poszedł precz zdziwiony niesłuchanie i upił się z rozpacz, a dyrektor polecił jednemu z podrzędnych pismaków skreślić niezwłocznie sprawozdanie muzyczne z ostatnich dwu tygodni, przyczem utwory Krzysztofa miały zostać pochwalone w sposób niedwuznaczny. Artykuł wypadł nad wyraz głupio, a Krzysztof zamianowany został genjuszem.

Gracja powzięła także myśl wprowadzenia utworów Krzysztofa na program koncertów w ambasadzie i wiedząc, że Cecylką jest jego pupilką, zaangażowała ją na występy. W ten sposób utorowała obojgu drogę w sfery arystokratyczne. Nie poprzestając na tem, zwróciła uwagę ambasady niemieckiej na smutny fakt, że niemiecki słynny muzyk jest dotąd wygnańcem z ojczyzny. Zwolna, manewrując zręcznie dokazała, że sprawą zainteresowano się u dworu i niebawem miał cesarz zarządzić kasatę bezprzedmiotowego już wyroku. Ponieważ rzecz nie dała się załatwić szybko, przeto, dowiedziawszy się, iż Krzysztof pragnie pojechać do kraju wyrobiła mu krótko terminowy paszport.

Wszystkiego tego dokonała Gracja w sposób cichy, dobry i mądry, a Krzysztof czując niewidzialną opiekę nie wiedział komu ją zawdzięcza. Przyjaciółkę

swą poznał dopiero w lustrze po podobieństwie do młodocianego Jana w rafałowskiej „Dyspucie“.

Rozmawiali o przeszłości, ale Krzysztof nie słyszał jej słów. Nie słyszy się co mówi kobieta kochana. Kocha się ją i basta. A jeśli miłość jest wielka i szczerą, natenczas nie wie się zgola, iż to miłość. Krzysztof nie myślał o niczem. Widział ją i to mu wystarczało. Reszta go nie obchodziła wcale...

Nagle Gracja umilkła. Zbliżył się do nich wysoki, wybornie odżywiony, elegancki, młody panek, z ogoloną zupełnie twarzą, napoły łysą czaszką, znużoną, dumną miną i zaczął się przez monokl przyglądać Krzysztofowi. Po chwili skłonił się z łaskawą uprzejmością.

— Mój mąż! — powiedziała Gracja.

W sali rozbrzmiały głosy, wewnętrzne jaśnienie zagasło. Krzysztof siedział chwilę zlodowaciały, potem oddawszy ukłon wstał i wyszedł.

Cóż za dzikie pretensje rodzą się w duszach artystów, jakże dziecinne są prawa, kierujące ich życiem wewnętrznym i zewnętrznym. Zaledwo ujrzał ową przyjaciółkę lat dawnych, którą wzgardził, o której nigdy nie myślał i oto zaraz wydało mu się, że jest jego własnością, że nikt niema do niej prawa... cowiecej, że sama nie posiada prawa dysponowania sobą. Ktoś mu ją skradł, ktoś zabrał, czy ona oddała się komuś... Same głupstwa, nie mające znaczenia... jest jego własnością i koniec.

Nie wiedział co się z nim dzieje, ale wiedział to talent jego i w czasie tym powstało kilka najpiękniejszych pieśni. Dziwna rzecz. Mimo, że taką odrazu zapłonął miłością nie pokazywał się długo w ambasadzie. Zajęty był bardzo dołą Oliwera. Pewnego dnia odszukał adres, który mu wręczyła i poszedł.

Wchodząc na schody słyszał uderzenia młotków, jakby zabijano paki. W przedpokoju stało mnóstwo skrzyń i kufrów, a służący powiedział, że pani nie przyjmuje. Krzysztof podał swój bilet i pełen rozcza-

rowania zabierał się z powrotem, nagle zjawił się lokaj, przeprosił go uniesienie i wpuścił do pokoju. Znalazł się w małym saloniku, pośród pozdejmowanych i pozwijanych dywanów. Niebawem ukazała się Gracja i wyciągnęła doń rękę. Była promienną, wesolą. Poweselał, ujął jej dłoń i pocałował.

— Ach! — powiedziała — Jak to dobrze, że pan przyszedł. Bałam się, że nie zobaczę pana przed odjazdem!

— Odjazdem? — zdziwił się — Pani odjeżdża?

— Widzi pan przecież! — oświadczyła wskazując nieład w pokoju — Z końcem tego tygodnia wyjeżdżamy z Paryża...

— Na jakże długo? — spytał.

Uczyniła gest niepewności.

— Któż to odgadnie!

Chciał mówić, ale ścisnęło go w gardle.

— Dokądże pani jedzie? — wykrztusił wreszcie.

— Do Stanów Zjednoczonych... mąż mój otrzymał stanowisko sekretarza ambasady.

— A więc... więc... wszystko skończone... — powiedział drżącym głosem.

— Drogi przyjacielu... — odparła poruszona — nic nie jest skończone, wszystko będzie dobrze...

— Odzyskałem panią, poto, by utracić!...

Miał łzy w oczach.

— Drogi przyjacielu... — powtórzyła.

Nakrył oczy dłonią i obrócił się, by ukryć wzruszenie.

— Nie smuć się pan! — poprosiła i położyła dłoń na jego rękę.

Milczeli.

— Czemuż przyszedłeś pan tak późno? — spytała — Starałam się spotkać pana, ale uciekałeś zawsze...

— Ach... czyż wiedziałem? — wyjąkał, a potem dodał: — Wszakże to pani opiekowała się mną... pani zawdzięczam, że mogłem jechać do kraju... Byłaś pani moim aniołem stróżem,... a ja, głupiec, nie domyślałem się niczego!

— Czułam się szczęśliwą, mogąc coś uczynić dla pana. Zawdzięczam panu tyle...

— Jakto? — zdumiał się — Wszakże nic pani dobrego nie uczyniłem?

— Nie wiesz pan, czem byłeś dla mnie! — odrzekła i opowiedziała mu, jaki świat piękna i dobra rozświetlił przed nią muzyką swoją wówczas, gdy napotkał ją u Steffensów jako małą dziewczynkę. Zwolna, wśród opowiadania rozgrzała się i dała mu poznać, że żywiła dlań uczucie pierwszej, dziewczęcej miłości. Mówiła o tem, jak bardzo odczuwała jego troski, wspomniła o koncercie, na którym go wygwizdano, o tem, że płakała przez cały dzień, o liście, na który nie odpowiedział, gdyż go wcale nie otrzymał...

Mówiła swobodnie, serdecznie, po przyjacielsku, a Krzysztof uniesiony pochwycił jej dłoń. Nagle umilkła. Uświadomiła sobie, że Krzysztof ją kocha. I jemu stało się to jasnym.

Kochał ją teraz, gdy odczuwała dlań jedynie uczucie przyjaźni, a zaniedbał miłość, kiedy nią dlań płonęła. Jakże często w życiu mijają się ludzie w ten sposób...

Wysunęła rękę z jego objęcia, a on oie bronił jej tego uczynić. Przez chwilę milczeli zasmuceni. Potem powiedziała Gracja:

— Żegnam pana... życzę panu wszystkiego dobrego...

— Więc wszystko skończone... — żalił się.

— Lepiej może, że tak się stało.

— Czy ujrzę panią przed odjazdem?

— Nie! — odparła.

— Kiedyż się zobaczymy?

Uczyniła gest niepewności.

— Czemużeśmy się tedy spotkali? — spytał gorzko.

Wyczytawszy jednak wyrzut w jej spojrzeniu, dodał pośpiesznie:

— Nie... nie... proszę przebaczyć...

— Nie zapomnę o panu nigdy! — powiedziała...

Nagle zdobył się na pytanie:

— Pani kocha... męża?

— Tak! — odrzekła stanowczo.

Wstał z fotelu.

— Żegnam panią! — powiedział.

Wstały także i teraz dopiero zauważył, że była przy nadziei. Uczuł niepojęty wstręt, a jednocześnie rozrzewnienie, dotkliwą zazdrość i politowanie. Wyprowadziła go z saloniku. W progu zwrócił się ku niej, pochylił ku rękoma i całował je długo. Stała bez ruchu z oczyma napół zamkniętymi. Nakoniec wyprostował się i wyszedł szybko, nie patrząc na nią.

Dzień Wszystkich Świętych. Na dworze mgła i zimny wiatr. Krzysztof przyszedł do Cecylki. Zastał panią Arnaud, która wstąpiła, przechodząc mimo domu. Obie siedziały u kołyski. Krzysztof zatonał w marzeniach. Wiedział, że przeszedł mimo swego szczęścia, ale nie skarżył się już. Wszakże dostępnemu ono było w marzeniach jak słońce, które się kocha, chociaż zasnuć chmurami. Od tygodni całych, przez długie, szare dni marzył tak i czuł coraz mocniej owo szczęście — słońce dalekie, niewidzialne, a bliskie i rzeczywiste.

Cecylka marzyła także. Wpatrywała się bez przerwy w dziecko i na koniec uznała je za swoje. O błogosławiona potęga marzenia, twórcza fantazja życia... Czemże jest zresztą życie? Wszak nie tem, co o niem mówi oschły rozum i zwodzi oczy nasze! Życie jest takie, jak się objawia w marzeniu, a miarą jego rzeczywistości jest miłość!

Krzysztof patrzył na Cecylkę i spostrzegł, że stała się matką. Tak patrzeć mogą tylko matczyne oczy, takie promienie wysyła jeno serce macierzyńskie. Zaprawdę jest matką! Potem spojrzał na panią Arnaud. W bladej jej znużonej twarzy czytał, niby w otwartej księdze długą opowieść cierpień i krótkich radości. Były to dzieje bezdzietnej żony tak obfite w przejęcia, jak romantyczny żywot Julji, czy Izoldy, bogatsze jeno o wzniosłą, pokorną dostojałość.

Po chwili zjawił się Oliwer. Ruchy jego były spokojne, ciche, ukojne rozradowanie opromieniało jego rysy. Uśmiechnął się do dziecka, uściśnął dłońie Cecylki i pani Arnaud i zaczął rozmawiać. Wszyscy patrzyli nań z pewnem zdziwieniem, przepojonem życzliwością. Przeobraził się zupełnie. Wśród długiej samotności, w którą się schronił, przewalczył ból i zrzucił troskę, jak motyl ciasny kokon. Nabył przekonania, że znalazł cel życia i postanowił mu poświęcić się w zupełności. Przyjaciele spoglądali nań, nie wiedząc o niczem, nie śmieli pytać, ale czuli dobrze, że odzyskał wolność i nie chowa już do nikogo urazy.

Krzysztof wstał, podszedł do fortepianu i spytał Oliwera:

— Czy chcesz posłuchać pieśni Brahmsa?

— Jakto? — zdziwił się Oliwer — Grywasz utwory wrogów swoich?

— Dziś Wszystkich Świętych, — powiedział Krzysztof — dzień wzajemnego odpuszczenia win! Potem półgłosem, by nie zbudzić dziecka, zanucił:

Dzięki ci, moja mała,
Za to, żeś mnie kochała...
Niechże w innej krainie
Szczęście cię nie ominie..

— Krzysztofie! — zawołał Oliwer.

Krzysztof przycisnął go do serca.

— Odwagi, odwagi, chłopcze! — zawołał — Wszystko będzie dobrze, albowiem obraliśmy lepszą częśćkę.

Siedzieli skupieni przy zaśnionem niemowlęciu i milczeli. Gdyby ktoś zapytał, co ożywia ich myśli w tej chwili... wszyscy odpowiedzieliby niezawodnie z pokorą i czcią w obliczach:

